

NRLF-1

MAIN

ZŁUDA

Tegoż autora:

Ironia pozorów, powieść

Warszawa, Jan Fiszer.

Złota nić, powieść

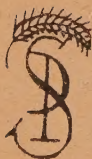
Warszawa, Jan Fiszer.

Lwów, H. Altenberg.

MACIEJ L^r. LUBIENSKI

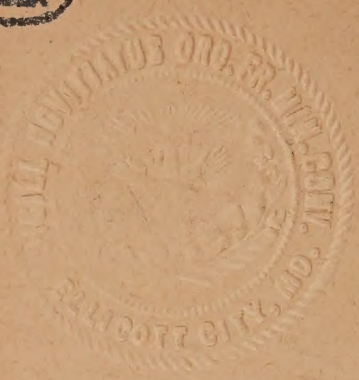
ZŁUDA

POWIEŚĆ



Składy Głównie: Spółka Pedagogiczna Poznań
Dom Książki Polskiej, Warszawa — 1925

Printed in Poland



Wszelkie prawa przedruku
— prawnie zastrzeżone —

Od Autora.

Niektóre karty tej książki wymagają wyjaśnienia. Czytelnicy „Złudy” zdziwią się mianowicie „czytając rozdziały o Ukrainie, mlekiem i miodem płynącej”, bogatej w pola uprawne, promieniejącej kulturą, głównie polską, idącą z dworów i pałaców, rojnej od ludu, zajętego pracą, pokornego i oddanego „panom”, z życiem wreszcie, płynącym równo, bez troski prawie, owianem poezją tęskną ukraińskiej przyrody i czarem niewypowiedzianym stepów, jarów i futorów, marzących w ciszy księżycowych nocy. Ukraina to dawna, przedwojenna, nie dzisiejsza, zbol-szewizowana, szczerząca szkieletami spalonych dworów polskich i budynków gospodarskich, z podeptaną barbarzyńsko kulturą duchową i wykreśloną z powierzchni ziemi polskością, czujną, oddaną ojczyźnie, miłującą ją gorąco i spełniającą ongi sumiennie zadanie swe na dalekich zapomnianych placówkach strażniczych, a promieniającą tak silnie, iż, pomimo kajdan niewoli, pod ręką zaborczą, rusyfikując kraj ten usilnie, oraz ludu prawosławnego — czuło się tam zawsze Polskę! W „Złudzie” zatem, ukazującej się obecnie poraz pierwszy w wydaniu książkowym, drukowanej jednak już w pismach jeszcze wówczas, gdy istniała i żyła pełnem życiem dawna

Ukraina, nie znajdują czytelnicy tak modnych dziś jeszcze, a przejmujących grozą realistycznych scen z najazdu bolszewickiego, ze zgłiszczami ukochanych w pamięci dworów polskich, lub szczątkami tych siedzib, z gnieźdzącą się w nich „czerezwycajką“, mordującą bez litości nieprzejeđnanych i odważnych, pozostałych na stanowisku ostatecznych apostołów polskości. Ukraina tej książki — to Ukraina, którą przesłaniać już zaczyna owal zapomnienia, która umarła i prawdopodobnie, taką jak była nigdy już i nie zmartwychwstanie. Pożółkłe karty książek przypomną ją może kiedyś tylko przyszłym pokoleniom, gdy zmilkną usta tych, co w kraju tym się rodzili, żyli tam, pracowali i pokochali całą duszą tę krainę smętną i rzewną, ku której teraz w marzeniach tylko ulecieć im wolno będzie, jak do królestwa baśni i prześnionych za życia czarownych snów — bez jutra!..

Maciej Łubieński.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

I.

Tęskna i cicha drzemała jesień cudna ponad zżętemi ścierniskami rozległych pól ukraińskiego stepu, omraczała dal zwojami sinawych mgieł, mieniła się krwawo-złotą barwą lasów i tuliła wprost, zda się w objęciach z pieszczotą promieniające smętne równiny.

Tonąc w ogromnych i rozłożystych liściach buraczanych, co tchu starczyło, pomykał duży szarak, a za nim — wyciągnięte, rasowe, w zgrabnych rytmicznych podskokach sunęły charty. Zając zaszył się niebawem w cienistą głąb liści, a charty zdumione stanęły po chwili bezradnie — zupełnie zbite z tropu.

W mgnieniu oka jednak porwały się znowu. Na skraju pola, na miedzy, ukazał się chytry kot, a przesadziwszy rów graniczący z borem, znikł wśród przerzedzonego gąszczu czarnolesia.

Charty dotarły aż do miedzy i stanęły ponownie, wznosząc łby w górę i węsząc, zakłopotane i zabawne. Nie raczyły jednak przekroczyć rowu, uważały to, widocznie za rzecz zbyt już gorliwą i zgoła niepotrzebną, natomiast po-

słyszawszy za sobą tętent konia, odwrócili się i z podwiniętymi ogonami, zawstydzone i pokorne, zaczęły biedz wolno ku nadjeżdżającemu panu.

Właściciel lasu i okolicznych łąnów, Marjan Żyleński, zatrzymał wierzchowca i zeskoczył na ziemię. Rad po parogodzinnej przejażdżce rozprostować członki, dalekim był myślą od karaniania patrzących mu w oczy potulnie zwierząt, które nawykłe snąć do razów po nieudanych łowach, wyuczone i sprawne czekały jakby na to, przeciągając się na przednich łapach.

Nie widząc jednak w ręku pana wzniesionej groźnie szpicruty, odetchnęły z ulgą i ułożywszy się w lesie na murawie, wywiesiły jęzory, odpoczywając z lubością.

Z boru jednocześnie wyszedł leśniczy i uklonił się nisko dziedzicowi.

— Moi kochani — zapytał Żyleński — zdaje się, że przez las to już bardzo blisko do dworu?

— A tak, proszę łaski pana. Oździe*) tą ścieżyną prosto jak strzelił.

— No, to weźcie konia, charty, ja pójdę piechotą.

Rozległ się gwizd przeciągły, charty źdźwione spojrzały niepewnie w stronę Żyleńskiego.

Ten najobojętniej w świecie zaszywał się w las; powstały zatem leniwie i ruszyły śladem leśnika.

Żyleński pod rozłożystym dębem położył się wkrótce na murawie. Zachodziło właśnie

*) tutaj,

słońce. Pożółkłe liście, zabarwione purpurą promieni z innymi pokraśniałymi z natury, zlewały się w jeden niby płaszcz krwawy, który, rozpostarłszy się ponad borem, tulił w fałdach wszystkie drzewa i stroił je w czarowne i cudne mieniące się kolory i cienie.

I z dziwnym jednocześnie smętkiem dnia tego kryło się słońce, hen, gdzieś w oddali. Gasło ono stopniowo, jak młodość, jak szczęścia rojenia i marzenia złudne — w milczeniu szczytami drzew szły jakieś dreszcze i szepty.

— Jesień, jesień, jesień! — koniec — koniec!... — szemrały liście dębu. — Minęły wzloty, porywy, miłość, szal! — gwarzyły dalej cicho liście, nuciły tęskną pieśń przeszłości...

— Jesień, jesień, jesień!...

Żyleński westchnął... Miał lat pięćdziesiątkilka. Jak chwila jedna przemknęły te lata młode, utonęły w przeszłości bezpowrotnie.

I teraz dopiero, na progu jesieni życia, odczuwać zaczynał całą wartość lat minionych. Żyleński miał młodość spokojną... Do czterdziestego roku życia biedny zupełnie, później dopiero odziedziczywszy pokaźną fortunę na Ukrainie po stryju, używał jej umiarkowanie. Lata, w których młodość burzy się zwykle i miota, szaleje i kocha, żyjąc całą piersią, całą potęgą sił żywotnych — przeszły dla Marjana w ciężkiej walce o byt, gdy sam na świecie zdobywał życiowe jutro, jako nauczyciel prywatny, w mieście, lub na wsi.

Kiedy został bogatym, czara cierpień życiowych, które miał poza sobą, była zanadto już

pełną, doświadczenie zbyt wielkie, umysł zbyt poważny, by Żyleński z całem zapomnieniem i lekkomyślnością młodzika mógł już używać darów życia, których dostęp ułatwiło by mu bogactwo.

Dotychczasowe jego gusta nie zmieniły się. Zamiłowany dotąd w książkach i pięknie, stał się w krótkim czasie miłośnikiem sztuki, znany w kraju całym, a bogatej jego biblioteki i zbiorów artystycznych mógłby zazdrościć nie jeden patentowany mecenas, artysta i zbieracz. Obecnie powracał Żyleński z kilkoletniej włości po Europie, wracał znów samotnikiem bezżennym, choć w piersi jego zrywały się często pragnienia szczęścia, choć na dnie duszy tały się marzenia miłości i rozkoszy podzielonych z wybraną, a wyobraźnię nęcił obraz domowego zacisza... Życie odsuwało dotąd stałe projekty te w przyszłość — niweczyło rojenia. Dziś znowu miał pokusę.

Marjan Żyleński przeciągnął się na murawie i spojrzał po lesie...

Pnie drzew stawały się coraz krwawsze, mech mienił się u ich stóp, pieszczony dotykiem świetlistej fali purpurowych promieni!

— Pamięta tę chwilę — myślał dalej — był na cmentarzu w powiatowem miasteczku. Stał oparty o sztachety grobu stryja, gdy posłyszał nagle za sobą szelest sukien i czyjeś kroki...

Towarzysząc znanej mu z widzenia pani Usza-Uszańskiej, najbliższej jego sąsiadce w okolicy, szła młodziutka panna. Nie znał jej — była śliczna! Blondynka, miała cudne ciemno-błęki-

ne duże oczy, przepastne zawrotną jakąś głębią. Gdy ciekawie spojrzała nań, zadrżała...

Dotąd wzroku tego zapomnieć nie mógł! — Jak ją poznać? O tem myślał Żyleński od rana.

— Zglupiałem na starość! — mruknął wreszcie głośno do siebie i przetarł dłonią czoło.

Słońca nie było już w lesie... Czarowna gra kolorów spelzła, liście tylko spadały zrzadka, z cichym szelestem, we wczesnym jesiennym mroku rozpływając się i ginąc, jakby za nim dotknęły ziemi. Stawało się coraz ciszej.

Żyleński szybko skierował się ścieżką. Szelesty rozległy się wokół. Z poza krzaka wyrzwał troskliwie zajac i pomknął w gęstwinię, ponad wierzchołkami drzew przeleciał cicho duży ptak z rytmicznym poszumem skrzydeł.

W dziesięć minut później Żyleński wchodził do zacisznego gabinetu w pałacu Zambrzyńskim. Pokój tonął w półświetle lampy, na skórzanej kanapie, śpiąc smacznie, leżał rasowy legawiec, ulubieniec pana.

Żyleński codziennie godziny wieczorne poświęcał korespondencji, rachunkom gospodarskim i czytaniu dzieł poważnych. Dnia tego jednak nie szła mu praca.

Postać nieznajomej wychylała się z cieniów komnaty, i oczy jej pytające, zawrotne głębią, patrzyły na niego zdziwione i marzące... Tak silnego wrażenia pan Marjan nie doznał od dawna.

Mówiono, że był pięknym. Siostry i młode matki dawnych uczniów kochały się w nim zawsze. On czasem płacił im wzajemnością, nai-

częściej przelotną tylko i czysto platoniczną. Pamiętał wiele spojrzeń kobiecych, na dnie których drzemało nierzadko prawdziwe uczucie — wszystkie przeszły po nim, jak ciepłe słoneczne fale i zgasły.

Żadne wprost — analizował dalej — nie wstrząsnęło nim tak do głębi...

Żyleński odłożył czytaną książkę, powstał i sięgnawszy po lampę, wziął ją do ręki, kierując się ku pograżonym w ciemności pokojom. Minawszy kilka salonów, znalazł się w podłużnym oszklonym korytarzu. Była to jego ulubiona galerja.

Stał wkrótce przed małym obrazem, bardzo staranną kopją jednej ze słynnych główek Greuz'a, z muzeum Luwru. Po to tu przyszedł i nie zawiódł się... Łagodnemi oczyma, w cichem zamyśleniu, spojrzały na niego szafirowe źrenice dziewczęce, takie głębokie — tak bardzo do tamtych podobne! Stał długo...

Zdziwione jakby patrzyły na niego dzieciątki wspaniałych rzeźb i obrazów. O tak późnej godzinie Marjan zaglądał tu rzadko.

Od główki Greuz'a odszedł po chwili. Szukał czegoś wśród swych pamiątek. Było ich jednak tak wiele, że znaleźć nie mógł. Pamiętał doskonale, iż posiadał obraz maleńki, szkoły włoskiej, niewiadomego twórcy. Przedstawiał idącą po wodnej toni nimfę cud-boginkę. Ona także miała jej oczy... Odnajdzie ją jutro.

Żyleński skierował się ku wyjściu. Szedł zamyślony, smutny, poprzez nieme komnaty. Chłodem, martwością dziwną powiało nań od te-

go domu, dokąd z włóczęgi po świetle tak lubiał powracać.

Wydawał mu się on spokojną przystanią, zacisznym ulubionym zakątkiem.

Dziś... wiał pustką, brakiem ukochanego głosu, srebrzystego drogiego śmiechu, mroził nieobecnością słońca, wesołości, a głównie młodości, co owiałyby wiosną te ściany, prądem życia — czarem miłości rozjaśniłaby tę głuszę.

Żyleński skierował się ku sypialni.

W pałacu dzwonić poczęły zegary, odzywając się monotonnie po kątach, niby w zamarym i zaczarowanym dworze.

II.

Białe płatki jaśminu sypały się deszczem na puszysty dywan zacisznego panieńskiego pokoiku, spadały potulne u stóp młodego dziewczęcia, obrywającego bezlitośnie, z jakąś gniewną pasją, listek po listku z każdego kwiatka. Wreszcie z nerwowych rączek Reni wypadł szkielet buketu. Podparłszy głowę ręką, zapatrzyła się w otwarte okno.

Zcicha drzewa ogrodu szeptały... Czasem po szczytach ich przebiegł dreszcz, szumiały głośniejszą chwilę i znów szemrały tajemniczo i jednostajnie...

Żar upalnego popołudnia płynął z parku i obejmował pieśczośliwym uściskiem młodą dziewczynę, budził w niej jakby podstępnie uśpione pragnienia, drażnił łagodnym dotykiem rozpaloną twarzyczkę.

Zerwała się i zbliżyła do okna. Ukryła twarz w dłonie...

Zamknięta, odcięta od świata, w tym głuchym dworze, sama jedna ze schorowaną babką, Renia od pewnego czasu czuła jakiś żal głuchy do życia, do świata — młodość upominała się o swe prawa.

Samotne księżycowe noce, zawrotne i pełne czar, tęsknot i marzeń, długie jesienne i zimowe wieczory, wspomnienia przeczytanych ukradkiem książek, natura przytem bujna, zapalna, skłonna do entuzjazmu — sprawiły, iż dusza młodego dziewczęcia otwierała się, jak kwiat spragniony porannej rosy, żadna wzruszeń, ruchu i życia. Serce jej pragnęło kochać!

Młodość niedoznana nigdy stawiała się w oczach Reni zaczarowaną krainą baśni, do której wejść chciała, wejść całą siłą, całą potęgą młodości wiosnianej — skończonych zaledwie lat osiemnastu...

Była piękną i wiedziała o tem. Nie korzystała jednak wcale z przywilejów, które stworzyć może kobiecie wybitna uroda. Ludzi, świata nie widywała wcale. Babka, dumna z nazwiska, a głównie z koligacji Uszańskich z pierwszorzędnymi rodami w kraju, nie żyła z nikim w okolicy, uważając sąsiadów za niegodnych do przestąpienia progu olanowieckich salonów.

— „Ce n'est pas mon monde!“ — mówiła zwykle, gdy potracano w rozmowie o ziemian okolicznych.

Renia skazaną więc była na samotność. Do tradycyjnego bywania w świecie stołecznym, na szerszej arenie życia, zdaniem pani Uszańskiej, było jeszcze zawcześnie. Czas więc tymczasem schodził tak sobie — w nadziei lepszej przyszłości. Był wprawdzie jeden sąsiad w okolicy, którego dumna babka Reni przyjęłaby chętnie...

Marjan Żyleński jednak, właściciel Zembrzyzna, nie był nigdy dotąd w Olanówce.

Przy myśli o nim twarz dziewczyny zabar-

wiła się rumieńcem. Zoczony przypadkowo na cmentarzu podobał się bardzo Reni. Miał takie śliczne szafirowe oczy, zamyślone, smutne, postawę piękną, rysy twarzy także, wąs polski i ruchy wyniosłe — pańskie.

Renia powstała z krzesła i wychyliła się przez okno, wdychając odurzający zapach róż rosnących pod oknem.

W ogrodzie szukał jej właśnie Grzegorz, stary i zaufany sługa.

— Proszę panienki, waza na stole, starsza pani prosi.

— Zaraz idę! — zawołała Renia i przeczesawszy rozrzucone włosy, zbiegła na dół do jadalnej sali.

Tu zastała już babkę siedzącą za stołem.

— Zawsze spóźniasz się, Reniu! — przywitała ją chłodno. — Siadaj — już zupa wystygła.

Dziewczę usiadło sztywno przy stole. Rozpoczęło się spożywanie darów Bożych w milczeniu.

Od pani Usza-Uszańskiej wiało chłodem, mroziło zimnem zgasłych, zapomnianych porywów i egoizmem starości, myślącej już tylko o własnych wygodach, za nic sobie mającej młodość, rwącą się tuż obok niej w życie i przyszłość, młodość, rojącą z wezbraną pragnieniami piersią o miłości i rozkoszy, o wyrwaniu się bądź co bądź z oków, gniotących jej indywidualne poczucie swobody i chęci korzystania z praw i przywilejów lat młodych.

Co działo się na dnie duszy wnuczki — było zawsze obojętnem babce Reni.

Dbała przede wszystkim o zewnętrzne wy-
polerowanie i o tak zwane wychowanie salono-
we, olanowiecka pani ciepłym słowem ani pie-
szczotą nie starała się nigdy zbliżyć duchowo do
siebie dziewczeczki.

Ta zaś instynktownie oddalała się od babki
coraz bardziej, na tle otaczającej ją przyrody
i myśli własnych stwarzając sobie odrębny
światek rojeń, projektów i marzeń!...

Obiad skończył się wśród półsłówek ze
stron obu.

W pałacu wkrótce zaległa cisza — wszyscy
kolejno rozeszli się do swych zajęć. Renia
z książką wymknęła się do ogrodu.

Tymczasem szerokim traktem, przecinają-
cym piękny olanowiecki dębowy las, jechał
zamyślony Żyleński. Dziwny uśmiech błakał się
po jego ustach.. Przywykły badać w duszy sa-
mego siebie, myślał właśnie z ironją, jakim są
fałszem zawsze i wszędzie stosunki ludzkie. On
naprzykład, stroniący stale od centrów towarzy-
skich, zwanych „hig-lif'em“, jedzie teraz do domu
poczytywanego w okolicy za arystokratyczny
„par excellence“. On wreszcie, ceniący tylko
głównie ludzi wykształconych, stawiający ponad
formy ogłady towarzyskiej — rozum, duszę i
szersze poglądy — nałamuje się oto moralnie do
poziomu umysłu i przekonań takiej pani Usza-
Uszańskiej, znanej ze swej zaśniedziałości kasto-
wej i obskurantyzmu!

Żyleński począł żżymać się w duchu. Na
chwilę jedną zbuntowała się w nim harda dusza
człowieka, przywykłego w życiu iść luzem,

z samodzielnością duchową jednostki, stroniącej od stadowego i banalnego życia!

Jeszcze chwila i rozkazałby zawrócić napowrót do Zembrzyna. Opamiętał się jednak w porę. Po raz setny może od dni kilku spojrzął mu wprost do duszy głęboko cudne, myślące i namiętne oczy Reni. Westchnął i rozejrzał się... Powóz toczył się właśnie po dziedzińcu pałacowym. Niebawem Żyleński wchodził już do dużego przedpokoju w olanowieckim dworze. Stary kamerdyner Grzegorz znał doskonale Żyleńskiego z widzenia, pragnąc jednak ukarać jakby gościa za tak długie omijanie Olanówki, zapytał obojętnie:

— Jak mam zameldować wielmożnego pana?...

— Żyleński z Zembrzyna! — odparł z przełotnym uśmiechem Marjan.

Stary sługa w milczeniu wprowadził gościa do dużego archaicznego salonu.

Żyleński rozejrzał się w nim z zadowoleniem. Choć surowa nieco i jednostajna z portretów i obrazów, z bronzów, rzeźb, makat i mebli stylowych wyzierała ku niemu przeszłość, ujęta w wykwintne i artystyczne ramy ówczesnego arcyzmu.

W Żyleńskim zbudził się miłośnik starożytności, artysta i mecenas sztuki. Zapomniał na chwilę, gdzie się znajduje. Niby w jakimś włoskim muzeum lub w prywatnym „palazzo“, drobniawo i z zajęciem zaczął oglądać wszystko po kolei.

Nagle, spłoszony szelestem zbliżających się kroków, odwrócił się szybko.

I jakby dopełnienie tego archaicznego wnętrza, na progu salonu ujrzał pan Marjan wysoką postać sędziwej matrony, wysokiej, szczupłej, ubranej czarno, z włosami skromnie rozdzielonemi „en handelettes“, w binoklach, z pod których patrzyło na przybysza niemile, zimne spojrzenie szarych, wyblakłych już oczu. Twarz ściągła i blada nacechowana była wyrazem wyniosłości, chłodem i dumą.

Żyleński, bąknąwszy nazwisko, skłonił się.

— Bardzo mi miło powitać pana u siebie! — usłyszał jednocześnie. — Choć co prawda, dawno należało się.

Z uprzejmym gestem wielkiej damy podawała mu rękę Olanowiecka pani. Dźwięk jej głosu wydał się panu Marjanowi dość miłym i uśmiech przyjemnym.

Usiedli i rozpoczęła się rozmowa banalna, złożona z krótkich pytań gospodyni domu i zwięzłych odpowiedzi gościa.

Żyleński kreślił się na krzesło zdenerwowany i spoglądał co chwila w stronę drzwi. Nikt nie zjawiał się jednak.

Niespodzianie tylko odezwała się po dłuższym czasie pani Usza-Uszańska:

— Muszę przedstawić pana wnuczce...

I dzwoniąc na kamerdynera:

— Mój Janie — rozkazała — proś panienkę, pewnie jest w ogrodzie.

— Panienka już wraca, proszę pani.

Jednocześnie po kamiennej posadzce werandy dały się słyszeć lekkie kroki.

W blado błękitnej sukience, ściągniętej nie-dbale białą szarfą, z pękiem astrów w dłoniach i z książką pod pachą, na progu balkonu i na tle purpurowem dzikiego wina stanęła Renia w ramach jesieni w przyrodzie — urocze zjawisko wiosny życia!...

Ujrzawszy i poznawszy Marjana, cofnęła się zmieszana, rumieniec zabarwił jej policzki i spuściła oczy.

Po zapoznaniu młodych ze sobą, pani Usza Uszańska usunęła się niebawem zrećźnie, pozostawiając ich samych.

Żdziwionym wzrokiem przeprowadziła ją Renia. Dawno już bardzo nie widziała babki tak bardzo uprzejmej.

Gdy ta znikła, rzuciła prze'otne spojrzenie na Żyleńskiego i zagadnęła śmiało:

— Wszak to pana spotkałyśmy z habcią parę dni temu na cmentarzu w Mirowie. Nieprawdaż?

Utonąwszy chwilę w przepastnej głębi ciekawych oczu Reni, Żyleński odparł z uśmiechem:

— Tak jest. Więc pamięta pani?

— Ogromnie, przyznaję się, byłem zaintrygowany osobą pani. Dawniej spotykałem zawsze i wszędzie panią Uszańską samą jedną.

Renia spuściła oczy i rzekła:

— Pan, zdaje się, dawniej nie bywał w Oląnowce?...

Żyleński uśmiechnął się znowu pod wąsem.

— Rzeczywiście, dziś jestem po raz pierwszy.

— Ładnie tu — zobaczy pan. Jeśli babcia pozwoli, pokażę panu park... to moje królestwo — dodała z czarownym uśmiechem, podnosząc na niego oczy.

— Pani lubi przyrodę?...

— Niezmiernie! Kocham ją, a ten zakątek, to wprost jakby jaką żyjącą istotę.

— Dawno pani bawi w tych stronach?

— Dwa lata i to sama jedna! — dokończyła z figlarnym uśmiechem.

— Niezbyt tu wogóle wesoło — spowiadała się dalej Renia — szczególnie w zimie.

— A sąsiedzi? Młodzież? Zapewne często tu zaglądają?

Renia zaśmiała się srebrzyście, ukazując szereg zdrowych, białych ząbków. Chciała zwierzyć się z czemś Żyleńskiemu, lecz urwała w pół zdania.

Pani Usza-Uszańska wracała. Rozmowa przeszła na inne tory. Marjan, ożywiony bezwiednie, bawił panie nieźle, mówiąc bezustanku. Opowiadał barwnie wrażenia z ostatniej podróży, przeplatał przytem rozmowę wykwintnymi dowcipami, zaprawionymi dyskretną ironją.

Po podwieczorku wszyscy przeszli na w randę. Po chwili, pod okiem pani Usza-Uszańskiej, śledzącej ich ciekawie, Renia z Żyleńskim przechadzać się zaczęli po parku.

Marjan zagadnął pierwszy, wracając do przerwanego wątku poprzedniej rozmowy.

— Jakto? Więc w Olanowce rzadko bywają sąsiedzi? Wszak, zdaje się, są dość liczni?...

— Renia zaśmiała się znów.

— Ależ panie, nigdy!... Wprost weale, a szczególnie młodzi! Babcia jest tak wybredna co do towarzystwa, jak chyba nikt w świecie... Nikt tutaj wprost nie bywa. Powiadam pani — kończyła Renia z zabawnem oburzeniem — że latem, wiosną i wczesną jesienią dla mnie, co kocham wieść, ujdzie jeszcze, lecz co zimą, to z mądów oszaleć można!...

Żyleński, uśmiechając się wciąż pod wąsem, z zajęciem coraz większem wpatrywał się w młode dziewczę. Szczerłość jej i prostota ujmowały go, bawiły, zaufanie zaś, tak szczerze i szybko zdobyte, lechtało jego męską próżność.

A przytem Reni z oburzeniem tem było tak bardzo do twarzy... Kąciki jej ust drobnutkich srożyły się pociesznie, oczy pociemniałe groziły komuś, czy czemuś, a mars przeistaczał wyraz całej twarzy.

I ubawiony coraz bardziej, Żyleński zagadnął:

— I nie próbowała pani zająć się czemkolwiek?

— Jak to zabawnie pan powiedział! Ma pan mnie widzieć za próżniaka, co się zowie!...

Spojrzała zalotnie z pod długich rzęs na towarzysza. Dodała poważniej nieco:

— Otóż, myli się pan!... Grywam na fortepianie, rysuję, czytuję bardzo wiele.

— Aaa! — zadziwił się wielce Żyleński. — I cóż, jeśli spytać można?

Renia spojrzała prosto w oczy Żyleńskiemu i zatrzymała czas dłuższy spojrzenie na jego pięknej, myślącej twarzy.

— Powieści, poezje, studja, dzieła poważne i historyczne... Co w ręce mi wpadnie! — zaśmiała się po swojemu. — Mówię to panu w drodze wyjątkowej. Szczególna rzecz, — zastanowiła się szczerze — jakie ja mam jednak zaufanie do pana. Znamy się tak niedawno, prawda... Nie dziwi to pana?...

— Cieszy mnie tylko...

— Tak? Doprawdy? — uśmiechnęła się Renia czarująco. — Mówi to pan na serjo, czy tylko tak, pour me dire un compliment?

— Na serjo zupełnie — potwierdził z uśmiechem Żyleński.

— Wie pan, iż zaufanie, to dowód poczynającej się przyjaźni? — rzuciła Renia zalotnie.

— Quand à moi, c'est tout a fait réciproque...

Renia zarumieniła się, jak wisienka, spuściła oczy, a po chwili odezwała się poważnie:

— Wie pan, jak się jest tak wiecznie samotną, jak ja tutaj, z babcią staruszką, nie uwierzy pan, jak miło pogawędzić z kimś ze świata, z kimś... — urwała — naturalnym także i szczerym!...

Spojrzała na niego głębiej... Oczy ich spotkały się i wzajemnie popieściły chwilę. W spojrzeniu Reni, spokojnem tym razem, kojącem i cichem, Żyleński odczuł jakby w istocie rodzącą się ku niemu sympatię. Zrozumiał również, iż to,

co mówiła, nie było pozą, domyślił się, iż to był tylko odruch duszy jej prostej, pocziwej i szczerzej...

Po chwili milczenia zagawędzili się znowu. Przechadzali się bezustannie alejami parku, w pobliżu werandy, gdzie otulona pledem pani Usza-Uszańska odbywała naradę z ogrodnikiem. Zapadał już zmierzch. Podano wieczerzę. Niebawem znaleźli się wszyscy w jasno oświetlonej jadalnej sali, przy stole ubranym wykwiśniętymi kryształami, srebrami i kwieciami.

Ożywiony i podniecony jeszcze bardziej dłuższem obcowaniem z Renią, Żyleński począł znów snuć barwnie i zajmująco rozmowę z pannami. Wieczerza minęła szybko — w salonie zabrzmiały dźwięki fortepianu — Renia grała. Grała nawet wcale nieźle, lecz bez żadnego artyzmu.

Poprawność ta tylko przemówić nie mogła do przesubtelniejszej pod tym względem duszy zagranicznego bywalca, jakim był Żyleński. Równowagę duchową odzyskał natychmiast. Spojrzał na zegarek; kilka godzin już bawił w Olanówce — począł się żegnać. Niebawem elegancka jego czwórka bułanków mknęła hyżo po pustej i gładkiej drodze stepowej. Perłowo-błękitne niebo usiane było gwiazdami, bezksiężycowa jasna noc drzemała nad polami, tuliła je pieśzczośliwie, kołyszając do snu, jak dziecię.

W półcieniach, daleki horyzont, zlewający się kręgiem z obszarami zaoranych pól i ścierisk majaczył jak niewiadoma tajemnicza dal, za którą, zda się, istniała już nicość tylko, niebyt,

czy też kraina jakaś dziwna, półzjaw, mar i dziwadeł, co snuły się tylko w dali niepochwytne, uciekając przed rwącymi się naprzód końmi.

Zagłębiając się zaś tak w to dziwne królestwo niebytu, Żyleński miał również w tej chwili wrażenie, że jakaś niewiadoma siła życiowa, której nie znał dotąd dokładnie, wstępowała weń, porywała go ze sobą.

Był wciąż jeszcze pod wrażeniem Reni. Kobięcość jej pełna miłego wdzięku, czarowne uśmiechy i spojrzenia zalotne, cała jej przytem duchowość, której rąbek uchylić już zdołał, podziały na jego nerwy i wyobraźnię, jak spora doza haszyszu.

W duszy Żyleńskiego, stroniącego stale od kobiet, samotnika, budziło się coś — z iskry małej zapalał się w nim płomień.

Z uczuciem prawdziwem nie obeznany jeszcze, Żyleński nie zdawał sobie sprawy, że to była miłość, pierwsze jej zwiastuny i gońce!...

Krew mu biła do głowy tylko, ilekroć pomyślał, iż ktoś pojąć może z czasem na własność Renię i zapal budził się w nim wtedy korzystania z przelotnych choćby obcowañ z dziewczęciem.

O sobie nie myślał jeszcze...

Czar tylko piękności i młodości Reni owiewał go wciąż, jak tchnienie wiosennego odurzającego ranka, sącył się weń kropla po kropelce, budząc pragnienie i przedsmak nektaru, którego kielich cały już dziś wychyliłby pragnął.

I Marjan przestępował w ten sposób, sam nie wiedząc o tem, próg czarownej krainy, gdzie

rosły obficie upajające kwiaty, gdzie sęczyły się i szemrały strumienie, budząc pragnienie, gdzie wreszcie panowała niepodzielnie wieczysta moc!

Kochał...

Wrota miłosnego królestwa zamykały się już poza nim niedosłyszalnie cicho, przed nim zaś była zagadka... niosąca mu szczęście lub ból! Lecz on nie czuł tego bynajmniej.

Zapatrzony w mroczną dal nocy — widział przed sobą tylko twarz śliczną Reni, wchłaniał w piersi uśmiechy jej, spojrzenia gorejących źreń i piękno całej postaci, wsłuchiwał się w szmery dalekie, echo słów jej, półsłówek i srebrzystego śmiechu!...

Na niebie zapalały się gwiazd mirjady, mru-gały cicho, rozświetlając cienie nocy. Konie parskwały i pędziły coraz szybciej, czując stajnie blisko. Chłód jesienny nocy orzeźwił na chwilę Żyleńskiego. Wstrząsnął się, owinał w pled i burkę, spojrzawszy jednocześnie przytomniej w około.

Powóz wjeżdżał do wsi. Zembrzyn cały spał już po dziennym znoju. Zaparte chaty śniły w cieniach sadów i mrokach nocnych, czasami tylko porywały się czujne psy i rzucały do łbów końskich, ujadając zacieki'e.

Powóz zwolnił biegu — wjeżdżano na gro-blę. Koła dużego drewnianego młyna, krytego dachówką, szeptały tajemnie jakieś zwierzenia... spływały one łagodnie w ciszy nocnej ku tafli dużego stawu i ginęły tam, zapadały się w jego czarne głębie.

Żyleńskim wstrząsnął lekki wewnętrzny

dreszcz nerwowy. Za chwilę powrócić już miał do pustego, kawalerskiego domu.

— O, jakże pusto mu tam dziś będzie!...

I Marjan zapragnął nagle przedłużyć marzeń chwilę. Przymknął powieki, pojąc się obrazem noszonym w duszy...

Wieczysta moc. — Miłość brała go znów w posiadanie, w kwieciste, a tak bolesne nieraz kajdany...

Posłuszni jej piewcy śpiewali mu w duszy porywające hymny, zręczni jej lutniści graли mu harmonijnie, dziewice nadobne zasypywały go upajającym kwieciami... Zasypiał w czarownej krainie, której wrota przed godziną tak cicho i niepostrzeżenie zamknęły się już za nim.

III.

Jesienna, przezrocza noc, czarująca blaskiem księżycowych promieni, śniła, upajała marzeniem. Dwór w Olanówce spał już długo snem spokojnym, cichym, obojętnym, zda się, na wszystko dokoła. Nagle jedno z bocznych okien roz-
tworzyło się szybko. W ramie jego ukazała się główka Reni i kibić jej, otulona ciepłym szalem. Powietrze nocy było świeże, lecz chłodne. Renia dnia tego zmrużyć powiek nie mogła. Namiętna jej natura rwała się zawsze i dawniej jeszcze do innego jakiegoś życia, pełnego wrażeń, porywów i wzruszeń, odmiennego od filisterskiej, równej i jednostajnej egzystencji w Olanówce. A przys-
tem młodość upominała się o przyrodzone prawa. Renia dotąd nie kochała jeszcze nikogo, ży-
wioły tylko uczucia, tlejące się iskry przyszłej miłości, o której w samotności marzyła częstokroć, drzemały na dnie tej duszy dziewczęcej.

Renia potrzebowała teraz tylko ocknąć się ostatecznie i dać porwać uczuciu, wzbudzonemu przez kogokolwiek.

Pierwsze odwiedziny Żyleńskiego i rozmowa z nim tkwiły dotąd w główce Reni... Posia-

dając przyrodzony i żywiołowy talent do rysunku od lat najmłodszych, Renia z pamięci odrysowała pokryjomu głowę Żyleńskiego i zamykając się w pokoju, godzinami wpatrywała się w szlachetne rysy Marjana. I teraz czyniła to również. Srebrnoświatlane blaski księżyca zalewały odrysowany węglem wizerunek, a dziewczę zamyślonem spojrzeniem wpatrywało się w dziwnie drogie już dla siebie oblicze.

Nagle, na lica Reni, które błękitniały i ble-
dły, pod wpływem promieni księżyca, uderzyła
fala krwi... W porywie, uniosła odrysowaną gło-
wę i przytuliła do niej wargi, w pocałunku na-
miętym...

Kochała Marjana, lecz z uczuciem tem dotąd
nie zdradzała się przed nikim. Jak kwiat, co wtula
w listki swe krople porannej rosy, na dnie
gdzieś kielicha, przed ciekawem spojrzeniem
słonecznych promieni — tak dziewczę na dnie
duszy ukryło kielkującą miłość, zazdrosne o ten
skarb życiowy, co nęcił już ją swym blaskiem.
Dłuższą chwilę w otwartem oknie przemarzyła
jeszcze Renia. Wreszcie, objawszy parokrotnie
spojrzeniem śliczną panoramę parku, zasypiają-
cego pod czułą pieśczętą cichych i łagodnych
promieni — ułożyła się do snu.

Noc dawno już zgasła, przedświt jaśniał nie-
śmiało. Łagodne, różowe światło zalało pokoik
dziewczęcia. Korzystając z zapomnienia Reni,
która firanek nie spuściła, tryumfalnie wkroczyła
jutrznia do dziewiczej izdebki. Niby rumieńcem
wstydu, że tak niedyskretnie ogląda słońce wną-
trze komnatki czystej i niewinnej dziewczki,

zapłonily się nagle białe ściany pokoiku i śnieżna pościel jej dziewiczego łóżka.

Jednocześnie pierwsze jaskrawe promienie słońca uderzyły prosto w twarz śpiącej Reni. Zwolna otworzyła oczy, zamglone jeszcze wdzieniem sennem. Po chwili, przytomnie już całkiem, patrzyła ciekawie w okno.

Tam, w dalekiej perspektywie krajobrazu, pod lasem płonęła jutrzeńka.

Czarowny uśmiech nagle rozjaśnił twarzyczkę Reni, na dnie gdzieś dziewczęcego jej serduszka, nadzieja w jutro budziła się z żywiołową mocą, pod pieśczętą wstającego słońca. Zerwała się z łóżka i w kilkanaście już minut później schodziła szybko po schodach, ubrana do wyjścia.

Na dworze chłodny jesienny poranek orzeźwił ją natychmiast. Skierowała się ku rzeczce, przecinającej park. Ponad wąskiem i krętem jej korytem snuły się, wędrowały jeszcze poranne mgły, po przez nie lśniły fantastyczne, opromienione słońcem wierzchołki i pnie drzew, murawa i nadbrzeżne krzaki. Renia minęła szybko mostek, przerzucony przez rzekę, dotarła do końca parku i znalazła się niebawem na łączce, graniczącej z polami. Szła szybko i rażno. Dażyła bocznemi drożynami do pobliskiego lasu, skąd widać było, jak na dłoni, pałac w Zembrzynie.

Cała myślami przy Żyleńskim, utajoną miała w duszy nadzieję ujrzenia go może zdaleka i niepostrzeżenie. Okolicę znała wybornie, tego jednego nie wzbraniała jej babka. Czyniła codziennie dalekie wycieczki, najczęściej konno.

Renia szła bezustannie brzegiem rzeczki. Środkiem, ponad moczarami, przeleciało koło niej niebawem całe stado dzikich kaczek, po drugiej stronie miło pieściła wzrok świeża ruń wschodzących posiewów.

Lasek Zembrzyński był już niedaleko — z mgieł wędrujących wciąż jeszcze po polach, wyłaniały się już pierwsze drzewa.

Weszła do boru. Cicho tu było jeszcze i senne... Zroszone mchy nęciły oko świeżą zielenią, zbudzone ptactwo latało tam i ówdzie, zrzadka czasem odezwał się dziki gołąb, lub przemknęła wśród pożółkłych liści wiewiórka, skacząc z gałęzi na gałąź.

Renia znalazła się wkrótce na małym wzgórku. Przerzedzony z tej strony bór, kończył się — z polany otwierała się daleka perspektywa na stepy, pola i pałac w Zembrzynie. Tryumfalnie błyszczał on w powodzi słonecznych blasków.

Renia zatrzymała oddech i wpatrzyła się badawczo. W piersiach biło jej serduszek przyśpieszonym tętnem, cieszyła się, iż nareszcie była już tutaj, a jednocześnie czuła w sobie nieokreślony lęk. Jakaś siła ją tu przywiodła, usłuchała jej, bo oprzeć się nie mogła. Przeczucie nie zawiodło Reni.

Na stepie snuły się jeszcze mgły i cisza otulała ścierniska i czarnoziemne ugory, gdy Żyleński wyruszył już z domu dwukołową bidadą, ze strzelbą i ulubionym legawcem. Pograżony w myślach, pędził długo po trakcie stepowym, wreszcie skręcił w stronę lasu. Niebawem wjeżdżał

już pomiędzy drzewa, zasnuite jeszcze mgłami, ciche i tajemnicze. Zwolnił biegu... Pod nogami konia, idącego z ulgą stępa po szalonej jeździe, szeleściały suche liście. Czasami chlusnęło błoto o eleganckie skrzydło bidy, koń chlupotał w wodzie kałuży... Koło pojazdu blisko frunęła krasowronka, zamajaczyła po przez drzewa polanka i cicho potoczyła się bida po żółtłej murawie.

Żyleński, zadumany, byłby może przejechał blisko Reni, nie podniósłszy głowy, gdyby nie koń, który na widok rozpiętej czerwonej parasolki, porwał się z miejsca trwożliwie, szarpnąwszy gwałtownie lejcam.

Po chwili Żyleński witał zarumienioną Renię. Śmiali się oboje z niespodziewanego spotkania.

— Leśnej bogini, lub dziwożony — żartował Żyleński — spotkałbym raczej tu spodziewał się o tak wczesnej godzinie, niżeli pani?...

— Widzi pan, co za rozczarowanie! — zaśmiała się Renia — tymczasem to tylko ja.

— Przeciwnie... Z dziwożoną wszak rozmawiałbym nie mógł... Z panią...

— Cóżby pan robił z dziwożoną? — przerwała ciekawie Renia.

Żyleński zaśmiał się szczerze.

— Mniejsza z tem! — odparł. — Mówmy lepiej o pani... Więc tak dziś sobie raniutko, nie mówiąc nic nikomu, wybrała się pani z Olanówki aż tutaj. I nie bała się pani?

— Czego? — oburzyła się zabawnie Renia. — Ładne ma pan, jak widzę, o mnie wyobrażenie.

— Nie, coś znowu!...

— Tylko myślał pan może, że ze mnie taka oł tam chuchraczka wypieszczona, zatrwożona i zahukana, że poza płot wyrzeć się nawet boi?

Zaśmiała się znowu i zadecydowała reżolutnie:

— To pan mnie nie poznał jeszcze wcale!

Żyleński z uśmiechem obserwował wciąż towarzyszkę. Była dnia tego wprost śliczną. Chłód poranny zaróżowił jej policzki i na tle pięknego boru wydać się w istocie mogła leśną boginią.

— Wiec uwierzyć mam koniecznie, że pani jest bardzo energiczna? — zagał znów rozmowę.

Spojrzała głębiej na niego i uśmiechnęła się.

— Nie przypuszcza pan nawet, jak dalece?

Zatrzymała się i odezwała po chwili znacząco:

— Mówiłam już, zdaje się, coś panu o tem... przy pierwszym poznaniu. Noszę w sobie może aż nadto wielkie zapasy energji... Gniotą mnie one nieraz, rozpierają piersi, sprowadzają często-kroć do mózgu myśli szalone! — wywnętrzała się dalej, spuszczając piękne oczy.

— Tak jest! — uśmiechnęła się w zamyśleniu. — Organizacja moja duchowa wymaga ruchu, młodości, życia — czynu! A tu, w Olanówce? Spokój, martwota, cisza.. i starość!..

Podniosła przy ostatnich słowach na towarzysza wylekłe oczy.

— Niech pan tylko czasami nie myśli — rzekła ciszej nieco — że obmawiam moją babkę...

Nie, bynajmniej! Ona jest bardzo dobra dla mnie, tylko tak wogóle...

Umilkła, zmieszana nieco.

Żyleński patrzył na nią badawczo. Obserwował ją ciekawie, lecz z pewnym smutkiem. Po ustach pięćdziesięcioletniego kawalera do wzięcia błakał się uśmiech dziwny.

Zdawał się litować nad tą butną młodością i energją „jasnej panienki“, lecz jednocześnie współczuwał rozterce, której rąbek nieśmiało okazało mu dziewczę.

Była ona przez swą niewinność taką białą i czystą jeszcze, lecz wzburzoną już pragnieniem innego życia.

I Marjan zaroił w tej chwili pozycją swą, majątkiem otworzyć na ścieżaj wrota tego życia, szumiącego, barwnego, pełnego uciech i wrażeń — wprowadzić w grono tych ludzi, do których w myśli już garnęła się cała.

I gdyby Renia w tej chwili podniosła na Żyleńskiego oczy, których spojrzenie cudne spłoszyło mu już sen od paru tygodni — Marjan, pod wpływem namiętnych źrenic dziewczyny, od razu nawet rzuciłby może w tej chwili wszystko na kartę.

Lecz Renia uparcie trzymała wzrok spuszczone, w zamyśleniu cichem.

W duszy zaś Żyleńskiego następował zwrot — zapal jego chłódł stopniowo.

— Stanowczo byłem nad przepaścią — uśmiechnął się w duchu — ocalił mnie traf.

Oświadczyły w lesie, nad ranem, po paru dniach zaledwie znajomości, przy refleksyjnej je-

go naturze byłyby wprost fenomenem, z któregoby później nie mógł nigdy zdać sobie sprawy.

Żyleński zaś nie lubiał wrażeń i zachceń, których wolą swą i umysłem opanować nie umiał, które nie wypływały z szeregu wniosków i wywodów, które nie były owocem niezlomnego postanowienia, uczynionego już w myślach a priori, popartych łańcuchem przemyślanych przyczyn. Niespodzianek w oderwanej krainie ducha, nie uznawał u siebie. Żyleński chęłpić się tem lubiał, iż był już na to życiowo zanadto doświadczonym.

Tymczasem Renia, o sto mil będąca od myśli, dręczących towarzysza, pierwsza przerwała milczenie pytaniem:

— Ciekawa jestem jednak bardzo, która to może być teraz godzina? — i podniosła pytający wzrok na pana Marjana.

— Już po szóstej... Comme ce temps passe w tak miłym towarzystwie pani! Co do mnie, muszę ją nawet pożegnać, choć z przykrością wielką. Ale, à propos, jakże pani wróci?

— Piechotą, jak przyszłam...

— A o której wstaje babcia pani? — rzucił z domyślnym uśmiechem Żyleński.

!Spojrzała na niego filuternie.

— Och, niech się pan o mnie nie obawia — nie spóźnię się! Babcia budzi się zwykle o ósmej. Mam czas...

— Wrócić i udać jeszcze śpiącą! — zaśmiał się przekornie Żyleński. — No, ja na taką loterię pozwolić nie mogę. Pojedzie pani, panno Reniu — tu spojrzał na towarzyszkę z ukosa, pierwszy

raz bowiem tak do niej się zwracał — tym oto kabrioletem. Powozić pani umie?...

— Doskonale!

— Ja zaś — kończył — wrócę do domu piechotą i poszlę natychmiast chłopca stajennego, by dogonił panią. Gdzie pani zechce, odda mu pani konia. Czy zgoda?

— Dobrze! Do widzenia! Niechże pan o nas nie zapomina!

Uścisnęła przyjaźnie dłoń Żyleńskiego i wskoczyła lekko do pojazdu.

Znikła wkrótce wśród drzew lasu.

W pół godziny później szła już cienistymi alejami parku ku pałacowi, zmęczona bardziej wzruszeniem, niż przechadzką. Wreszcie, niepostrzeżona wsunęła się do swego pokoju.

Nikt tu widocznie nie zaglądał — wszystko znajdowało się w poprzednim porządku. Renia odetchnęła z ulgą, a jednocześnie myśl swawolna powstała w jej główce. Roześmiała się głośno, zapuściła roletę u okna i z uśmiechem przekornym w kącikach ust, nieco złośliwym, rozdziewać się poczęła. Po chwili wsunęła się pod pościel, przeciągając się rozkosznie.

Przymknęła powieki i twarz Żyleńskiego ukazała się jej wyraźnie. Uczyniła ruch ustami, naśladujący pocałunek... W myślach całowała usta drogiego mężczyzny, cała jeszcze pod wrażeniem niespodziewanego spotkania. Wkrótce spała już cicho.

Rumieniec świeży zabarwił jej twarz, uśmiechała się ciągle. Śniła...

A sen musiał być to rozkoszny, bo prężyła

od czasu do czasu ciało swe gibkie, śliczne zaś
małe jej usteczka wykonywały od czasu do cza-
su rytmiczny ruch pocałunków i pieszczot, roz-
chylając się namiętnie. W pałacu wybiła godzina
dziesiąta — Renia uśmiechnięta, szczęśliwa, śniła
jeszcze.

IV.

Po obszernej jadalni Zembrzyńskiego pałacu chodził szybkim i nerwowym krokiem Żyleński, słuchając jednak z uwagą słów przyjaciela z lat dziecinnych.

Edmund Rojecki mówił dobitnie, akcentując wyrazy:

— Mój Marjanie... Znamy się już lat trzydzieści, to chyba dosyć, by wzajemnie się poznać! Otóż, nie chwaląc się, znam cię mój drogi, jak własną kieszeń.

— Ho, ho, co za pewność siebie! — zauważył ironicznie Żyleński.

— Mów, co chcesz, lecz tak jest! Otóż, powiadam ci krótko i węzłowato: żeń się z ową panną Renią Uszańską. Lecz, jeśli pragniesz rzeczywiście mieć ją za żonę — to nie marudź, nie zastanawiaj się, nie analizuj wszystkich możliwych pro i contra, lecz pal mosty za sobą i i oświadczaj się o pannę!... To moja rada. Inaczej — sprawa przepadła, jak tyle innych. Bo, wszak o ile mnie pamięć nie zwodzi, miałeś już, mój kochanku, zamiar żenić się kilkakrotnie i wszystko djabli wzięli... A wiesz dlaczego?

I mówiąc to, Rojecki powstał z fotelu. Zbli-

żyć się do przyjaciela i uderzywszy go silnie po ramieniu rzekł dobitnie:

— Bo mnie przy tobie nie było. Jabym cię z rąk nie wypuścił! He, ho, bratku, wiem ja dobrze, co z ciebie za ptaszek! Przeanalizowanie życia — to twoja tragedia. A tyś wart szczęścia, mój drogi! — dodał po chwili Rojecki, dziwnie miękko. — I ja ci je zdobędę!

Umilkł i posadziwszy na kanapie obok siebie milczącego uparcie przyjaciela, mówił dalej:

— Czy wiesz, że znam, to jest znałem wcale dobrze panią Usza - Uszańską, gdy jeszcze za życia męża raczyła się ukazywać na widowni w Warszawie. Powiedzieć ci więc chciałem, że gotów jestem przypomnieć się bardzo czule panią Olanowieckiej pani i oświadczyć cię o rękę panny Reni.

Żyleński wystraszony zerwał się na równe nogi.

— Czyś oszalał?... Ależ ja prawie że jej nie znam! Poznać dopiero muszę! Wiesz przecie aż nadto dobrze, jak bardzo byłem i jestem wymagający, co do kobiet zwłaszcza, z których grona mógłbym wybrać sobie dożgonną towarzyszkę życia!

— Wiem niestety, aż nadto dobrze wiem! — westchnął tragicznie Rojecki. — Ale to nic nie szkodzi! Powiedz to wszystko raz jeszcze. Jaką zatem pragniesz mieć żonę?

— Rozumną, wykształconą i piękną, a głównie dobrą — w najszerszym tego słowa znaczeniu... Bo cóż warta kobieta, która nie potrafi nad cudzym bólem zapłakać, nie odda, nie poś-

więci wszystkiego, by łzę, by cierpienie usunąć, cóż warta kobieta, która nie ma — serca?

Zaległo milczenie.

Cień kobiety ideału stanął pomiędzy tymi dwoma ludźmi i czarem wymarzonego w duszy szczęścia przesłonił im świat cały.

Po długiej chwili zagadnął Rojecki:

— Czy powiedziałaś już wszystko?

— Prawie! Majątku nie potrzebuję, bo go sam posiadam, koligacji i stosunków tak dalece nie pragnę. Życie całe starałem się stawiać po nad to wszystko — wznieść się ponad blichtr i czczość światową, po nad próżnostki i małostki pewnych klanów ludzkich. Noszę zresztą nazwisko zasłużone w kraju.

— His omnibus par! — uśmiechnął się Żyleński — pragnąłbym w końcu móc kochać prawdziwie moją żonę i być przez nią w równej mierze kochanym. Czy pamiętasz Edmundzie, co mówi znakomita poetka nasza w wierszu: „Do kobiety“, i jak ta ostatnia miłość pojmować winna.

Chcę domu twego być białym powojem,
Twojemu czołu od skwaru ochroną,
Chcę być twą myślą i ramieniem twojem
I przyjacielem i żoną!“(“*)

Żyleński umilkł wzruszony i podparłszy dłonią czoło, zapadł w głęboką zadumę.

Zapanowało znowu długie milczenie, którego nie przerwał tym razem Rojecki.

*) Konopnicka

I on zamyślił się, strzepując machinalnie popiół z cygara.

— Szczęście?... Tego zatem ułudnego i rzadkiego, złocistego ptaka pragnął uchwycić Żyleński. A on sam?

Dziwny uśmiech błądził po ustach Rojckiego.

Edmund w swoim życiu miał już dwie żony i obie pochował.

Czy jedna z nich odpowiadała choćby w zarysie duchowemu wizerunkowi ideału kobiecy?

Nie mówiły tego wyraźnie rysy twarzy Edmunda, dziwnie w tej chwili postarzałej i zmiętej.

Otrząsał się on jednak szybko z chwilowej słabości i przemówił zwolna, całkiem poważnie:

— O jakże niezmiernie szczytny postawiłeś sobie ideał! Patrz na mnie. Ożeniłem się dwa razy. Chcesz wiedzieć może, co mnie skłoniło do tego? Posłuchaj!...

Jak wiesz, gdy poślubiałem moją pierwszą żonę, byłem bogaty, młody i szczęśliwy - życie uśmiechało się do mnie. Aniuta była biedną, nawet nie piękną, nawet nie tak bardzo rozumną, a co już dobrą, to wcale nie! Lecz była zalotną, żywą, namiętną i karnację miała cudną! Posiadała przytem w sobie coś demonicznego, południowego. Czy ja wiem? Podobała mi się i basta! Żyliśmy ze sobą lat dwanaście i przyznać muszę, użyliśmy życia oboje, co się zowie! Podróże, zabawy, ruleta, giełda - życie towarzyskie na obu półkulach, najwytworniejsze i

najwyszukańsze. Co tylko chcesz! Straciłem z nią miljonową fortunę własną. Gdy umarła - byłem zrujnowany.

W rok później, ożeniłem się z Benią. Była kontrastem pierwszej. Jasna blondynka, limfatyczna, powolna, bierna, może nawet i dobra. Chi lo sa? Niestety, jednak bardzo mało inteligentna. Żyliśmy ze sobą lat osiem. Jak wiesz, umarła na suchoty. Żałowałem jej, bo była przyjacielską, spokojną, jak to mówią bon enfant. Nie zrobiła mi żadnej krzywdy. Prędejj ja jej. Bo majątek Beni straciłem ja wyłącznie. Po jej śmierci odziedziczyłem po dalekim krewnym. Dziś, gdyby mnie zechciała która, ożenić się jestem gotów, byleby tylko trochę miała grosza, bo jak wiesz, ze mną już krucho. Minister finansów się buntuje. Tak się ludzie żenia! —zakończył, powstając Rojecki. — No i cóż ty na to, mój wielki idealisto?...

— Nic! Chyba to tylko, że tak się żenić, nigdybym nie potrafił. Jesteśmy inni, i może dlatego...

— Kochajmy się, jak bracia! — dokończył Edmund. — Masz słuszość — mówił dalej. — Ale tymczasem do rzeczy. Mam cię oświadczyć, lub nie pani Uszańskiej o rękę wnuczki? Decyduj się!... Każesz zaprzęgać konie — to jadę. Nie — to temi samemi końmi uciekam na dworzec, by ukarać cię za brak decyzji. Pożalujesz, gdy zostaniesz sam jeden w tych murach.

Żyleński milczał. Renię pokochał, czuł to aż nadto dobrze, lecz nie znał jej jeszcze. Głos tajemny mówił mu z głębi duszy, że próba przy-

jaciela udałaby się może. Pokusa okazała się zbyt silną.. Wstał nagle i zdecydował.

No wreszcie — przystaje!

— Wiwat! — zawołał Edmund. — Niech żyje Marjan Żyleński! Każ konie zaprzęgać!

I mówiąc to, Rojecki znikł za drzwiami.

Volens nolens Żyleński spełnił żądanie przyjaciela.

W pół godziny potem elegancka czwórka gniadoszów niecierpliwiła się już przed gankiem Zembrzyńskiego dworu. Niebawem gotów do drogi ukazał się Rojecki, w białym puderman-tlu, uzbrojony w ten sposób przeciw gęstej kurzawie ukraińskich stepów. Uściskał przyjaciela i wskoczył szybko do pojazdu. Faeton ruszył, zadzwoniły greloty i powóz znikł przed oczyma zamyślnego Marjana.

Ten ostatni poczuł nagle potrzebę oderwania myśli. Skierował się ku gumnom.

Na tak zwanym na Ukrainie „toku“ wrzała praca. Parowa maszyna huczała, młóćąc zboże. Wpatrzony w cyferblat manometru, regulującego stopień ciepła, stał maszynista, pilnując jednocześnie robotników i palacza, ładującego w zielejący ogniem otwór lokomobili olbrzymie sno-py słomy.

Z maszynistą tym i rządcą dóbr, który jednocześnie nadszedł konno — wdał się Żyleński w dłuższą rozmowę... Niebawem przystąpił do dziedzica miejscowy żydek, karczmarz, właściciel zarazem wiejskiego sklepiku. Przynosił jak zwykle, różne małomiasteczkowe nowiny.

Żyleński lubił lud, oficjalistów i ludzi pra-

cy; nawet żydami nie poniewierał, obyczajem okolicznych sąsiadów, którzy, kierując się zasadą „kiedy bieda, to do żyda“, po za tą ostatecznością byli zagorzałymi antysemitami, a ich nie nawiść, z którą paradowali — w czynach bywała wysoce brutalną!

Żyłeński zaś, zamożny, rachujący się z groszem, nie potrzebował Moszków, Szmulów i Icków, nie pożyczał u nich, lecz pozwalał zarabiać sprawiedliwie i traktował po ludzku, a ceniąc spryt semicki, lubił z nimi czasem gawędzić.

W około tymczasem nie ustawała praca... Wirowało, huczało, od maszyny i młóconego zboża leciał pył, zmieszany z plewą. Po pod tak zwany elewator co chwila podjeżdżały wozy i wyładowywały snopy, rzucając je zapracowanym, roześmianym i zwijającym się żwawo dziewczętom.

Na szczycie elewatora, podając sobie z rąk do rąk snopy, ukraińskie dziewczyny i młodyce chichotały, przekomarzając się i często bardzo zerkając na pana, pieszcząc wzrok szlachetną jego postać i pięknem obliczem. Pas, łączący lokomobile z elewatoem warczał, koło szemrało cicho — wśród niemożliwego pyłu sy-pała się w worki na dole umłócona pszenica, obok spadał poślad i słała się na ziemię słoma, którą natychmiast zagrabiano, układając w stogi...

Prowizoryczne zaś owe stogi słomy, ledwo ułożone, porywały z kolei natychmiast duże grabie, ciągnione przez linę żelazną, którą

wprowadzała w ruch para pięknych wołów, biegnących wciąż w jednym i tym samym kierunku, hen, na drugim krańcu gumien. Słoma, ciągniona w ten sposób, dostawała się na szczyt układającej się samej dużej sterty, gdzie grabie pozostawiały ją na samym wierzchołku, spadając same zwolna po pochyłości stogu.

Pozostawiony przez nie jednak niewielki ów stos słomy, nie leżał długo bezczynnie. Porywały go natychmiast bowiem inne grabie, które czekały jakby tylko nadejścia w tem miejscu słomy. Automatycznie, zda się, porywały ją i rozgrabiały, równały z powierzchnią sterty. Cud, czy czary? Nie — rzecz całkiem prosta.

Oto na przeciwnym krańcu olbrzymiego toku puszczono w ruch w tej chwili parę żwawych koników, ciągnęły one również długą, żelazną linę, przytwierdzoną do innych grabi, które z kolei wykończyły pracę pierwszych.

Wśród gorączkowej tymczasem pracy, wiecór się zbliżał. We wrotach toku ukazały się niebawem piękne głowy wołów, zaprzężonych w trzy pary do pługów i eksterpatorów dworskich. Jednocześnie rozległ się gwizd jeden i drugi. Maszyna parowa stanęła.

Żyleński skierował się boczną polną drożyną, na step, przez który biegła olanowiecka droga. Stanąwszy na trakcie, spojrzał badawczym wzrokiem w dal.

Królowała przedwieczorna cisza. Na horyzoncie krwawiło się pasmo nieba, szeroki pas purpurowy obejmował widnokrąg - kończył się dzień jesienny wspnianiałym zachodem słońca.

Bezbrzeżna, szeroka, tęskna dal stepu wchłaniała w siebie stopniowo, powoli czerwień gasnących promieni... Pustka i cisza, kołysać się już do snu zdawały, czerń ugorów i świeżą ruń posiewów i szary bez końca, zda się, szlak drogi. Na drodze nie widać było żadnego pojazdu. Żyleński spojrzał na zegarek — mijala siódma.

— Mógłby już Edmund być z powrotem — mruknął do siebie i zadumany ruszył po stepowej drodze na spotkanie przyjaciela.

Obok pana, biegł pies ulubiony, czarny legawiec i prychał bezustannie, wciągając nozdrzami radośnie, świeżą woń pól rozległych i czyste powietrze. Żyleński, z lubością odetchnął również, parokrotnie chłonąc w płuca ożywcze tchnienie stepu. Zapalił cygaro i puścił bieg myślom...

Odparte siłą przez długą gawędę gospodarską i sprawy codzienne — wracały niepokoje duchowe — powracała zwycięska miłość.

— Renia, Renia!...

Żyleński już od pewnego czasu zdawał sobie aż nadto dobrze sprawę, jak silnie pokochał piękne dziewczę! Nie sypiał po nocach — dniami całymi chodził, jak lunatyk... Żył tylko wyłącznie widokiem Reni i wspomnieniem o niej na jawie i we śnie....

W piękny akord harmonijny posiadania duchowego i cielesnego zlały się teraz pragnienia samotnego idealisty i myśliciela, stroniącego dotychczas od mętów życia, o niezużytem organizmie i duszy zdrowej, a pragnieniach i tęsknotach, bardziej młodych może od rojeń i czy-

nów niejednego młodzika. W duszy Żyleńskiego majaczył jednocześnie obraz wymarzony, wypieszczone rojenie młodzieńcze! Mieć ją, ukochaną towarzyszkę, uznaną przed ludźmi jako dopełnienie siebie samego, jako uzupełnienie porywów, tęsknot i marzeń, jako nieodzowną współtowarzyszkę cierpień i radości, bólów i zachwytów, płaczu i śmiechu pustego, wesela i poważnych skupień, trudu i spoczynku! Mieć ją, jako kobietę kochającą i kochaną, wchłaniać w siebie ciągle jej doskonałe idealne piękno, młodość, duszę i ciało. Uczynić z niej matkę swych dzieci, otoczyć szczęściem, dostatkiem, poważaniem, uznaniem!

I ten sen błogi, to rojenie idealisty, sprawdzićby się miało? Renia piękna, śliczna, rozumna, niewinna, młoda, dziewicza, jak tchnienie wiosennego ranka, jak uśmiech majowego słońka - miałyby być jego na zawsze - do grobu?

Żyleński przetarł dłonią czoło i spojrzał znów badawczo w stepową dal. Nie było widać jeszcze nikogo. W pobliskiej tylko bardzo perspektywie zbliżał się wóz kmiecy. Chłop, idąc pieszko, popędzał konie, za wozem szły dwie wiejskie dziewczyny, obok biegł czarny kudłaty pies.

Kundel rzucił się na Trésor'a, ulubieńca Żyleńskiego. Rozpoczęła się zaciekle gonitwa po stepie, w tumanie półświatła, konających promieni słońca i przedwieczornych już cieni.

Refleksy światła tych padały skośnie na idące dziewczyny, załamywały się na torsach zdrowych i gibkich, w fałdach ich białych ko-

szul, wyszywanych barwnie, na rumianych wreszcie policzkach.

Żyleński, niespokojny o ulubieńca, zgromił surowo jadącego kmiotka i zaczął gwizdać przeciągle na Trésor'a.

Piękny pies jednak umknął sprytnie i znalazł się niebawem tuż obok pana, kudłacz zaś ze spuszczoneym ogonem, krwawo ponury od ostatniego przeblysku zachodu, wrócić musiał, jak niepyszny, by zakwiczyc żałośnie pod batem ukrańskiego chłopca!

Drobny ten epizod rozerwał myśli Żyleńskiego. Marzenia pierzchły. Pan Marjan począł iść żwawiej i stanawszy niebawem na wyniosłym kurhanie, objął spojrzeniem widnokrąg. Uśmiechnął się z zadowoleniem. Sokole jego oko wytrawnego myśliwca dojrzało hen, daleko, pod samą prawie Olanówką, duży czarny punkt, przybliżający się stopniowo na tle korallowo - fioletowego nieba.

Rojecki powracał.

Pan Marjan, podwinawszy nogi, usiadł na kopcu mogilnym, postanowiwszy czekać tu cierpliwie na przyjaciela.

Widok z tego miejsca roztaczał się cudny.

Po zachodzie słońca, koloryt całego nieba, z krwawo - ognistych pręg przechodził właśnie w taśmy coraz bledsze, łagodniejsze i bardziej przezrocze. Cała symfonia kolorów rozegrała się przed zachwyconym wzrokiem Żyleńskiego.

Krwawy, purpurowy środek nieba, jak łuna, gorzał jeszcze bezustannie, stojąc jakby na

straży bocznych cieni, koralowych, pomarańczowych i blado żółtawych, lub innych jeszcze: dyszących ciemnym fioletem, kojących naprzemian różanem światłem jutrzeńki.

A z chaosu tego blasków i cieni wylaniał się step, wielki, niezmierzony, jak morze, potężny, wspaniały, znieruchomiały w przedwieczornym mroku, cichy, zmęczony i senny, tkliwy chwilami, zda się, jak tuląca ci się do piersi bogdanka, groźny znów na przemian zadumą, kryjąca może burzę w swem łonie.

Zmierzchało coraz bardziej!

Na stepowej drodze słyhać już było wyraźnie turkot powozu. Czwórka gniadych Żyłeńskiego, potrząsając dzwonkami, zbliżyła się w tumanie lekkiej kurzawy i stanęła niebawem u stóp mogilnego kopca.

Przyjaciele zeszli się u stopni powozu.

Rojecki wyskoczył i zawołał z miejsca po swojemu:

—Wszystko djabli wzięli!

Żyłeński skamieniał. Spodziewał się wszystkiego, z wyjątkiem niepowodzenia.

—Dlaczego? — wyjąkał.

—Przeznaczenie. Nie masz szczęścia!

Wyobraź sobie, iż pani Uszańska dziś rano nagle umarła.

Co? Nie żyje!...

—Anewryzm serca. Panna zapłakana — dom do góry nogami. Niema nikogo, tylko stary proboszcz. Zmęczyłem się moralnie, przyznać muszę. Dom obcy, martwo, boleśnie. Przydałem się jednak. Pracowaliśmy wspólnie: ogłoszenia

do pism, lettres de faire part. Ja, niestety, przeszedłem już wiele w życiu i mam doświadczenie. Tam wszyscy chodzą bez głowy i o niczym nie mają pojęcia! Lecz, mój Marjanie, rzec ci mogę otwarcie, iż panna ci sprzyja.

Pomimo bólu, innem okiem spojrzała na mnie, gdym jej powiedział, że przyjeżdżam od ciebie. No, tymczasem jedźmy do domu na kolację, bom głodny, jak wilk!

Żyleński oszołomiony, wskoczył do powozu. Ruszyli. Po stepowym cichym szlaku rozległ się turkot i tętent.

Po przez otulający już dalekie równiny wczesny jesienny mrok, wśród orgji barw precudnych, na widnokręgu płaszczyzn cichych — oddalać się zaczął miarowo wykwinny pojazd w kierunku majaczących w pobliżu białych murów Zembrzyńskiego pałacu.

V.

W cienistej alei pięknego Olanowieckiego parku siedziała na ławce pochylona Renia Uszańska.

Cudnie piękne południe jesiennego dnia rozstaczało swój czar dokoła. W poblizkiej perspektywie czerwone liście dzikiego wina stroiły w strzepy purpury białe ściany dworu i werandę, a u stóp Reni kobierzec z liści, inny — złoty, słał się rozkosznie, niby łożo królewskiej oblubienicy, szemrał ruchomy, zda się, żywy, za lekkim dotknięciem swawolnego zefiru.

Pachniało jesienią.

Zalatywał od pobliskich sadów aromat pięknych śliw, rynklod, złotych i szarych ber, wyborowych olanowieckich jabłek, znanych w całej okolicy, morel i innych owoców. Wielkie wonne liście włoskich orzechów rozstaczały subtelny i miły zapach.

Babie lato rozpoczęła właśnie swe panowanie. Biała pajęczka nie snuła się wszędzie wo koło Reni, czepiała gałęzi starych lip, dębów i klonów, majaczyła wśród liściastej kopuły dzikiego wina, muskając często w locie swawolnym swych włókien czoło zadumanego dziewczęcia.

Ciężki był dzień dzisiejszy dla Reni Uszańskiej.

Skon nagły zmarłej bez testamentu jedynej opiekunki Reni, majątkowo nie zabezpieczał jej nic zgoła — Olanówka i kapitały nieboszczki przechodziły drogą spadku na jedyne go przedstawiciela najbliższej rodziny, hrabiego Liwskiego.

Przyjeżdżał nazajutrz objąć w posiadanie Olanówkę. By przyjąć jakąkolwiek łaskę od młodego panka, za dumną była Renia...

Postanowiła wyjechać dziś jeszcze. Projektów określonych nie miała. Zamierzała na razie schronić się gdziekolwiek, szukać posady i w walce o byt zdobywać dla siebie miejsce na świecie. Potargane nagle życie stawało stopniowo, tymczasem przed oczyma Reni — pierzchły już z niego projekty, dawne sny i marzenia... konała miłość!

Bo czyż doprawdy mogła ona marzyć obecnie o zbliżeniu się ponownem do Żyleńskiego? Czyż roić mogła o jego wzajemności wobec tak wielkich zmian w położeniu materialnem, a głównie towarzyskiem?

Zginie w tłumie szarym i on jej tam szukać nie będzie.

Renia przetarła dłonią czoło i powstała z ławki. Trzeba było być mężną. Zagłębiła się w park, by obejść go po raz ostatni, pożegnać na zawsze!... Zwróciła się instynktownie w kierunku alei, po której przechadzała się z Żyleńskim. Łzy stanęły jej w oczach.

Jednocześnie zaś teraz dopiero, w zetknię-

ciu się z własnem silnem cierpieniem, poczuła dokładnie cały tragizm wogóle tak zw. końca. Nie było już babki, nie jest już tem, czem była. Żyleńskiego już nigdy nie zobaczy, najpewniej już nigdy tu nie wróci.

I zapłakała Renia cicho, serdecznie i boleśnie, po raz pierwszy może szczerze nad zmarłą. Zarazem płakała bezwiednie i nad sobą — nad złamanem życiem, nad pogrzebaną miłością.

Łzy, jak groch, padały z jej oczu, płacz przechodzić zaczął w szlochanie spazmatyczne.

Rzuciła się na murawę i ukrywszy twarz w dłonie, płakała dalej, płakała rzewnie, zdala od oczu ciekawych, sam na sam z przyrodą jesieni, co łagodnie przytulała ją do łona, osypując złotowłosą cudną główkę złotemi plamami zeschłych liści...

Płakała długo...

Gdy podniosła się wreszcie z miękkiego posłania mchu i trawy, słońce niedostrzegalnie zniżało się już poza drzewa...

Staw pobliski szemrał cicho falą, rozświetlaną po przez gałęzie promieniami słońca, zbliżała się nieubłagana godzina wyjazdu z Olanówki.

Renia szybkim krokiem skierowała się ku domowi. Szukano już jej wszędzie — konie zaprzężone czekały przed gankiem. Zarządziła wyjazd wcześniej, pragnęła jeszcze bowiem zajrzeć po raz ostatni na grób babki i przejechać przez Zembrzyn, jadąc do stacji kolejowej.

Zakrzętała się żwawo... Rozdawszy dro-

bne podarki i pieniądze domownikom i służbie, blada i smutna, skoczyła szybko do powozu. Konie, parskając ruszyły.... Renia obejrzała się trwożnie ze ściśniętym sercem w piersi.

Na ganku stała służba, zapatrzona, żegnająca ją z rozrzewnieniem...

Łzy nieposłuszne stanęły w oczach dziewczęcia.

— Koniec, koniec! — odzywał się smętny głos w jej duszy. — Nie wrócisz tu już nigdy — nigdy ...

Renia wsunęła się w głąb powozu. Dostyc już tkliwości! Wszak Olanówkę w gruncie rzeczy lubiała zaledwie.

Więc cóż? Cóż to?

I znowu łzy były odpowiedzią tylko.

Siłą wreszcie stłumiła płacz i wyrzała z powozu. Pojazd mknął już stepem, w stronę pobliskiego miasteczka.

Renia powoli przychodziła do siebie. Odwróciła się na chwilę.. Nie zapomniano jej rozkazów! Za powozem jechał ogrodnik ze świeżymi kwiatami i wieńcami, którymi po raz ostatni postanowiła ustroić grób babuni.

Zaprzężona w lejce rasowa czwórka rosłych siwych koni pomykała wciąż rączo.

Panorama miasteczka roztaczała się już w jarze, z kościołem na wzgórzu, dwoma cerkiewkami i rzędem brudnych, nawet z daleka żydowskich domków, kramów i kramików.

Wjechało na groblę... Powóz minął wieś i wjechał do krętych szyi uliczek miasteczka, wydostał się z nich, minął znów sioło i stanął

u wrót cichego wiejskiego cmentarzyska, rozrzuconego malowniczo na wzgórzu.

Furman obrócił się w stronę panienki, z dobrotliwym uśmiechem, zręczny kozaczek otworzył usłużnie drzwiczki powozu.

Poprzedzana przez ogrodnika, obładowanego kwiatami, przestąpiła Renia furtkę i skierowała się ku grobowcowi Usza-Uszańskich.

Przedstawiał się imponująco... Duży, okazały, skromny był jednak zarazem.

Żelazne, misternie rzeźbione sztachety, czarne, z białymi ozdobami, otaczały olbrzymią płytę z białego marmuru i pomnik ze szwedzkiego granitu, cały czarny, żałobny, z białymi popiersiami Usza-Uszańskich.

Renia w skupieniu, z pieczołowitością, ustawiać zaczęła doniczki, układać wieńce z cieplarnianych kwiatów: wspaniałych białych róż śnieżnych, złocistych i ciemnych.

Odpocząwszy i pożegnawszy ogrodnika, otworzyła drzwiczki i uklękła na grobie.

Ostatnia, może na zawsze, w tem miejscu wzniosła się za zmarłą modlitwa z jej duszy i popłynęła, hen, wysoko -- do stóp Pana nad Pany!

Modliła się długo.

Gdy wstała, blask zachodu, bledszy dziś, i żółtoróżanych chryzantemów puszczystych, niż zwykle, cały różowy, opromieniał widnokrąg... W dole, u stóp cmentarnego wzgórza, majaczyła niewyraźnie wioska, dalej miasteczko, kościół i step, szeroki, ginący obecnie w po-

zmroce tumanów, prześwietlanych, jak zjawisko czarowne, różano-złotem światłem.

Tumany te składały się częściowo z mgieł, częściowo z kurzawy, wzniesionej po traktach i szlakach ukraińskich, która obecnie opadała zwo'na i słała się leniwie po równinach, niby marzenie senne, zagadkowe i mgliste. Czasem, z kolei, rozdwajały się tajemniczo różano-szarawe zwoje.

Wtedy ukazywał się step, dachy chattek, dzwoniące kościoła...

Trwało to jednak bardzo krótko. Widnokrąg zamykał się i natychmiast oko naciła znów tylko świetlista opona, za którą żył step, wracały do wsi pługi i wozy, biegły stada owiec i roiły się w miasteczku i siole barwne postacie ukraińskiego ludu.

Nagle, niby z zaczarowanej krainy niebytu, niewidzialne, choć donośne i bliskie zabrzmiały sobotnie dzwony w cerkwiach. Ucichły... A w odstępie ciszy, jakby dla kontrastu, samotny, daleki, rzewnie i śpiewnie zagrał dzwon w kościółku na Anioł Pański.

Renia westchnęła.

Dźwięki te i echa były dla niej dotąd tak codzienne, bliskie, a dziś pożegnalne, po raz ostatni może tutaj słyszane.

Ruszyła zwolna ku furtce cmentarza. Na progu odwróciła się jeszcze i obrzuciła długim spojrzeniem zakątek cmentarny z pomnikiem Usza-Uszańskich.

Ukwiecony, świeży, czarno - biały, wspañialej jeszcze przedstawiał się z daleka.

Zapach róż doleciał aż do Reni i owionął ją ostatniem pożegnaniem z grobu zmarłej...

W chwilę później, omroczony zwojami mgieł i złocistej kurzawy, zginął w stepie pojazd, unoszący Renię ku stacji kolejowej.

Zmierzchało już dobrze, gdy zmęczona czwórka ołanowieckich koni minęła wrota Zembrzyna. Pojazd pański, jak zwykle, zbudził ciekawość w siole.

Dzieci zabiegały drogę raczej czwórce, z pootwieranych izb kmiecych, gdzie widać było, jak żarzył się ogień przy gotującej się strawie — wychylały się sylwetki bab, dziewcząt i mołodyc, kłaniały się uprzejmie, łącznie z gwarzącymi na przyźbach gospodarzami.

Renia oddawała ukłony, uśmiechając się blado. Żał ją smutek wewnętrzny.

Te ukłony były już bezwiednem szydersstwem dla niej, bezdomnej, dla niej, której życiowe jutro było zagadką, czarnym woalem zakrytą.

Czuła się wykolejoną, tem wykolejeniem subtelnem, którem życie, nie zmieniając pozorów nic, przekształca w gruncie rzeczy niemal wszystko, jeśli wytrąca daną jednostkę z koła ludzi, stojących dotąd z nią razem, lub prawie że łącznie na jednym poziomie majątkowym i towarzyskim. Schodziła niżej, do tych uboższych, któremi dotąd zarówno ona, jak i jej otoczenie, zajmowało się bardzo mało.

Pograżoną w tych refleksjach Renię zbudził do rzeczywistości pałac zembrzyński. Całą duszą przywarła oczyma do tych ścian, za

któremi żył jedyny człowiek, którego pokochało jej serce, z którym zamarzyła iść przez życie, a którego uważała za straconego dla siebie na zawsze.

Dusza Reni bowiem była typowem wykwi-tem wpływów otoczenia i sfery, wśród której spędziła całą młodość — nie wierzyła mianowicie w bezinteresowną miłość.

Badawczem, bolesnem spojrzeniem objęła Renia raz jeszcze pałac w Zembrzynie, szukając daremnie śladu zamieszkałego w nim właściciela....

Dwór, pogrążony w wieczornym mroku, zdawał się być martwym. Brama szczelnie zamknięta, podjazd pusty, w oknach żadnych jeszcze światel. Cisza...

Turkot pojazdu zakłócił milczenie senne, pałac znikał z oczu wpatrzonej w niego Reni, mijał, jak wszystko, jak dziś, jak wczoraj jej życia, jak przeszłość, dla niej już bezpowrotna!

Spełniało się przeznaczenie, a tam po drugiej stronie Zembrzyńskiego dworu, w gościnnym pokoju, odbywała się właśnie narada pomiędzy dwoma przyjaciółmi, w jaki sposób przygotować Renię do oświadczyn pana Marjana.

Rojecki mówił do zafrasowanego druha:

— Mój drogi, bądź dobrej myśli! Nie dar-mom się podjął wyswatać cię, a przedewszyst-kiem wyrwać życiu szczęście przez ciebie wy-marzone i pomódz losowi dać ci je.

Tylko festina lente. Śmierć przeszła — to wielka pani! Nie naruszajmy majestatu jej i

pozwólmy tej twojej nieboraczce Reni, ochłónać. Zresztą w tych dniach wypada się wybrać z kondolencją. A później — zobaczymy!...

Żyleński milcząc, westchnął i przetarł dłonią czoło. Odezwał się po chwili:

— Ale, mój kochany! Ja cię wciąż męczę sercowemi sprawami, a ty napewno już głodny. Czemu kolacji nie dają? Ach, ten Antoni! Powiadam ci, nie ma nic lepszego, ale i nic gorszego zarazem od starych sług. Pewnie światła jeszcze nie pozapalał w pokojach. Chodźmy przez ogród naokoło. Chcesz?...

— Zgoda! Ruszajmy. Rzeczywiście mam apetyt!

Wyszli przez drzwi, łączące bezpośrednio pokój Rojeckiego z ogrodem i ścieżyną wokoło pałacu skierowali się ku gankowi.

Żyleński niesłusznie oskarżył starego sługę.

Pałac jaśniał od światła, jakby na ekranie widny z daleka, przesunął się po świetlistej smudze Żyleński, pogrążając w cieniu będącego na drugim planie przyjaciela.

Zapóźno jednak... Nie rozradował bowiem widokiem swym serca kochającej dziewczyny, którą samotną i tęskną pochłaniał już daleki mrok stepów. W dali rozległa się nagle trąbka dróżnika i zgłuszony oddaleniem jednoczesny łomot i huk biegnącego pociągu.

Na równinach, hen, zamajaczyły migotliwe światła i znikły.

Żyleński stanął, spojrzał i przestąpił próg pałacu, daleki myślą od spełniającego się w tejże chwili, po za jego świadomością, ślepego trafu.

VI.

W Zembrzynie panował gwar, zgiełk i chaos... Cała służba dworska, wszystek lud wioski uwijał się gorączkowo, w lęku i rozpaczliwej walce ze strasznym żywiołem.

W siole paliło się już kilka chat kmiiecych i pożar — przy lekkim wietrze, który lada chwila przeistoczyć się mógł w wichr, sprzyjający pożodze — groził zniszczeniem całego Zembrzyna.

Rozesławszy gońców do pobliskich wiosek i miasteczek po doraźną pomoc, Żyłęński, wspólnie z Rojeckim, wskoczyli do zaprzęzonego w parę rączych koni lekkiego powoziku i wyjechali pędem, kierując się na kraniec sioła, by pomódz również zagrożonemu mieniu wieśniaków.

Mijała godzina czwarta, był dzień jesienny, pogodny, jasny, promienny. Większość mieszkańców wioski pracowała po polach, nie przypuszczając klęski.

Pojazd Żyłęńskiego mijał błyskawicznie zaparte ciche chaty i gromadki biegnących kmiotków, przeważnie dziewcząt i bab, lamentujących głośno.

Po nad siołem, skryta za zwojami ciemnego gryzącego dymu, przebłykiwała groźnie na czystym lazurze nieba krasno-złota potężna łuna, gaszona jednak mimo wszystko, zwyciężkami promieniami słońca.

Ku temu straszному widmu nieszczęścia, biegli naoslep wszyscy. Dziesiątki beczek miało pędem powóz dworski, niektóre z nich w pośpiechu snąć zaprzężone w woły robocze, ciężkie i syte — sunęły leniwie, nie mogąc nadążyć innym.

W samo serce pożaru i centrum gwaru, ruchu, wiru, nawoływań, krzyków i gorączkowej ratunkowej pracy, wpadł niebawem pojazd Żytleńskiego i zatrzymany przez tłum uwijających się ludzi, stanął nagle.

Dwaj przyjaciele wyskoczyli spiesznie i zmieszali się z rojnym już i czynnym zastępem ratujących. A robota wrzała wszędzie. Dziesiątki ukraińskich dziewczyn i młodyc z podkasanemi wysoko ponad kolana spódnicami, biegały gorączkowo do pobliskiego stawu i z powrotem, znosząc wiadrami wodę.

Na dachach chat parobcy i gospodarze odrywali widłami snopy ze strzech, rzucali je wrotem znosząc wiadrami wodę.

Na ziemi również, pomiędzy ocalonemi jeszcze sadybami, a płonącemi już sąsiednimi chatami, rozścielano spiesznie słomę, oblewano ją wodą, wynoszono z domu dobytek, wyrzucano pościel i sprzęty.

Przeciągłe krzyki powitały sikawki, przybyłe z sąsiednich wiosek. Praca zawrzała ze

zdwojoną energią — czarne zgliszcza poczęły ukazywać się coraz częściej. Wiatr jednak powiększył się tymczasem, zapalały się coraz nowe chaty — paliło się ich z górą kilkanaście..

Żyleński z Rojeckim uwijali się gorączkowo, starając się objąć dowództwo nad ratującymi dobytek mieszkańcami wioski. Nawoływania ich jednak ginęły niezrozumiane w ogólnym chaosie i niewiele przyniosły pożytku. Szczęściem, lud zembrzyński żwawy, ochoczy, przytomny i sprawny, niósł sąsiadom chętną i żywą pomoc i organizował się sam bezwiednie, pod naporem idącej grozy, mogącej przerzucić klęskę zniszczenia na wszystkich.

Pracowało już również kilka sikawek. Za nimi stał faeton dworski, zaprzężony w czwórkę siwych koni. W powozie z lornetką przy oczach, stał wysoki jakiś mężczyzna, ubrany z miejska, w sezonowe palto i melonik.

— Co to za jeden? — trącił Rojecki w ramię przyjaciela.

Żyleński odparł wahająco:

— Właśnie łamię sobie daremnie na tem głowę! Powóz i konie znane mi dobrze — pani Uszańskiej, sikawki z Olanówki. Lecz co to za facet, który ustroił się na pożar wiejski w melonik — o tem nie mam najmniejszego pojęcia.

— Wiesz co? Podejdźmy bliżej zajrzeć mu w oczy.

Okrążywszy zgliszcza pochłoniętej doszczętnie ogniem chaty — zbliżyli się obaj do powozu.

Przybysz odejmował właśnie lornetkę od twarzy i oczom dwóch przyjaciół ukazał się wytworny, młody jeszcze panicz, który widząc, iż furman jego kłania się uniżenie przybyłym, uchylił grzecznie kapelusza i spytał o coś równocześnie starego olanowskiego sługi.

— Po chwili, zaznajamiał się już z dwoma przyjaciółmi.

Nic nie wiedząc, iż ma przed sobą nowego właściciela Olanówki, zagadnął bardzo uprzejmie hr. Liwskiego.

— Niezmiernie mi miło pana poznać i odrazu pozwolę sobie podziękować za tak uprzejmą uchylność sąsiedzką. Czy pan prosto z Olanówki? Jakże się ma panna Regina?

Zaległo chwilowe milczenie. Pan Marjan spojrzał pytająco w stronę hr. Liwskiego, zdumiony, iż ten nie odpowiada.

— Przepraszam! — rzekł wreszcie zagadnięty. — Ale, jak widzę zachodzi tu nieporozumienie. Co do mnie, jadę rzeczywiście z Olanówki, którą drogą dziedzictwa tout derniere-ment otrzymałem po ciotce. Co do panny Reginy, pardon, lecz nie wiem kogo pan ma na myśli?...

— Ależ tu chodzi o pannę Renię, wychowankę i wnuczkę ciotki pana! Wszak jest w Olanówce? — zawołał żywo Rojecki.

— Aha — przerwał. — J'y suis, j'y suis!... Sługa Panów — odparł szybko hr. Liwski. Zaraz się wytłómaczę. Przyjechałem pozawczoraj. Nikogo w Olanówce nie zastałem, po za służbą. Mówiono mi tylko, że panna Uszań-

ska wyjechała pour tout de bon i na zawsze, w przeddzień. Dokąd — niewiadomo. Więc to o niej panowie mówią?...

Żyleński z Rojeckim zdumieni spojrzeli sobie w oczy.

Od słowa do słowa, dowiedzieli się wreszcie o wszystkim i posmutnieli obaj. Rozmowa rwać się poczęła. Pod pozorem zajęć przy pożarze pożegnali się wkrótce, hr. Liwski odjechał również, mając snąć już dość silnych wrażeń.

Pożar tymczasem gasł stopniowo — wiatr ustawał. . .

Idących po przez tłum dwóch przyjaciół, otoczyło wkrótce grono zapłakanych kobiet. Były to żony nieobecnych gospodarzy, których chaty pochłonał już ogień doszczętnie. Nie śmiały dać znać mężom, będącym w polu, o klęsce i otoczone wystraszonemi dziećmi, zawodziły i płakały, błagając Żyleńskiego o ratunek w nieszczęściu.

Zapewniwszy im pomoc, pan Marjan z Rojeckim wsiedli do powozu, który ruszył zwolna, opuszczając plac walki z żywiołem.

Pozostawiał po za sobą ciężką atmosferę gryzącego dymu, rozpalonych główni, zgorzałych strzech i dymiących, rozpalonych, syczących jeszcze pod zalewaną wodą, czarnych, upiornych szkieletów domostw zamierających jakby w rozpaczliwym uścisku konającej już pożogi.

Na dachach ocalałych chat siedziały wprawdzie jeszcze gromadki ludzi, zalewając wodą

iskry, koło wrót i przyźb walały się wyrzucone sprzęty, na ogrodzeniach, w nieładzie, zwieszały się przeróżne szmaty, odzienia i bielizna.

Przy jednej z chat, trójka swawolnych psów podwórzowych rozrywała czyjaś pościel. Przygnębione i smutne kobiety porządkowały gdzieś dobytek, mężczyźni zmęczeni, z obwisłemi rękoma, odpoczywali tam i ówdzie, dzieci tylko, dokazując, śmiały się i bawiły wysmienicie.

Przygnębieni i znużeni dwaj przyjaciele jechali, milcząc. Zamienili ze sobą zaledwie zdań kilka. Rojecki, energiczny, jak zwykle, i decydujący się szybko — radził natychmiast puścić się w pogoń za Renią i ofiarowywał się dopomódz w tem przyjacielowi.

Powóz ruszył nareszcie szybciej, fala świeżego powietrza owiała twarze jadących. Żyleński odezwał się pierwszy:

— Mój drogi, po bliższem rozważeniu kwestji, twój projekt jest niepraktyczny. Bo pomyśl tylko! Czyż wiemy dokąd pojechała Renia Uszańska? Więc cóż? Tak na ślepo jechać w świat i szukać wiatru w polu?

— Rozum, jak to mówią, na końcu języka — odparł Rojecki. — Zresztą, potem o tem. Clo do mnie, tak mnie djabelnie ogłuszył ten pożar, że nietylko myśleć, ale i mówić nie mogę. Musimy się umyć przedewszystkiem i to rzetelnie, później przespać, potem zjeść obiad, a dopiero wówczas coś niecoś postanowić. Zgoda?...

Żyleński potwierdził w milczeniu. Nerwy

iego również wstrząśnięte były ponad miarę. Bolała go głowa.

W parę minut później pojazd zajechał przed ganek dworu.

Zakurzeni, czarni od sadz, znikli dwaj przyjaciele po za drzwiami pałacu, wyludnionego zupełnie i otulonego ciszą kończącego się jesienno-go dnia.

Słońce tymczasem zniżać się ku zachodowi i zalewało czerwienią białe ściany Zembrzyńskiego dworu. I dla kontrastu jakby z szalejącym tak niedawno jeszcze żywiołem, zachodziło dnia tego słońko łagodnie, blado, marząco.

Stopniowo, złocisto - różaną oponą pokrywało się niebo. Odblask ten cały odbijał się w kryształach wód dużego parkowego stawu, przeglądał się w jego głębinach i przemieniał tafle wód w jakąś zaczarowaną krainę baśni, gdzie zdawały się wychylać z toni cudne ogrody i pałace, złociste korowody, zdawała się żyć życiem zjawy baśń - marzenie, baśń - złuda z tysiąca i jednej nocy.

Tam na końcu wioski huczał jeszcze pożar, tu ponad senną taflą wód stawu panowało milczenie zaklęte — wychylał się z tajemniczych głębi korowód zjaw nieokreślonych, a cudnych, złociła się, promieniała jakaś droga świetlana, co łączyć się zdawała i szeroki step i blado różane niebo i ostatnie błyski słońca w jedną harmonijną całość — w jedno zaczarowane, barwne, tło z bajki, w jedną krainę cudów!...

Objawienie ich drzemało tam, na dnie tej różano - złotej tafli wód, w złocistych pałacach

wrózek i królewien — tam, na podłożu wiklin tajemniczych — tam, w kryształowych zamkach królewiczów, śniących o szczęściu i zapomnieniu życia!

I cisza głucha śniła dalej, bez końca! I w parku, i w pałacu, i w siole wyludnionem.

Huk daleki, odgłos krzyków i tu czasami dolatywał wprawdzie.

Lecz to wszystko, co działo się hen, daleko, musiało być bezwątpienia złudzeniem tylko!

Złocisto - różana świetlista droga, idąca od stepu i niebios do tęczyowych promiennych i baśniowych głębin parkowego stawu, była wszak dalej wciąż tak bardzo cichą, złudną i szczęśliwą, tak niezmiernie obojętną!...

VII.

W oświetlonym rzęsiście elektrycznością pokoju jednego z pierwszorzędných hoteli kijowskich, przechadzał się niecierpliwie Marjan Żyleński, oczekując przyjaciela.

Od dwóch dni szukał z Rojeckim uparczywie po mieście Reni Uszańskiej.

O tem, że z Olanówki podążyła ona wprost tutaj, poinformował dwóch przyjaciół kasjer kolejowy na dworcu, który pamiętał, że panience z Olanówki sprzedał bilet do Kijowa.

Para przyjaciół szukała więc Reni uparcie w naddnieprzańskim grodzie, dotąd jednak daremnie. Żyleński chłódł już nawet nieco w zapale, a w duszy jego, wrażliwej i zmiennej, w przeanalizowanej duszy myśliciela, zacierał się obraz Reni.

Zastanawiał się i rozumował.

— Gdyby mnie kochała prawdziwie, nie wyjechałaby tak nagle bez pożegnania. Uczuła by w głębi duszy chęć ujrzenia mnie raz jeszcze i zwalczyłaby tego pragnienia nie potrafiła. A więc — jakże? Innego rozwiązania być nie mogło. Łudziłem się... Traf ślepy odsłonił karty — tem lepiej...

W tej samej chwili otworzyły się z impetem drzwi hotelowego pokoju i wpadł, jak huragan, Rojecki.

— Marjanku! Victoria!... Natrafiliśmy wreszcie na ślad całkiem konkretny. Dowiedziałem się mianowicie przed godziną, że panna Regina bawiła dwa dni w Kijowie, mieszkała w hotelu na Kreszczatiku i tegoż dnia, cośmy opuścili Zembrzyn, wyjechała stąd za paszportem zagranicznym, wydanym przez tutejsze władze policyjne. No i cóż, jeszcze ci mało?

A widząc obojętną minę przyjaciela, zawołał:

— Nie uściskasz mnie za to?...

Żyleński nie ruszył się z miejsca. Edmund, ocierając chustką pot z czoła, rzucił się zmęczony na fotel. Obserwował chwilę z pod oka Żyleńskiego i zawołał wreszcie z niecierpliwością:

— Oho, Marjanku! Cóż ci się znów stało? Chodzisz po pokoju sztywny, jak bocian i nie odezwasz się słowem. Przecież, *que diable*, chodzi tu o Renię, o twoją Renię, ubóstwianą, kochaną, drogą, jedyną!...

— Ech, cicho bądź! — przerwał zgryźliwie Żyleński, skrzywiwszy się pocieszenie.

Rojecki, zdziwiony, spojrzał na przyjaciela.

— Cóż to za volte-face? — zauważył. Wczoraj jeszcze narzekałeś na nieprzychylność losu, a dziś?

Żyleński odparł miarowo, nadając rozmyślnie słowom brzmienie obojętne:

— Dziś jestem zupełnie innego zdania...

— Prędko zmieniasz opinię! — wtracił Rojecki z lekką ironją.

— Zmieniam i nie! Mówiłeś przed chwilą: Chodzi tu przecież o twoją Renię, ubóstwianą itd. Właściwie, to twoje wyłącznie było zdanie, bardziej, niż moje. Ty pragnąłeś głównie tego małżeństwa, ty zużyłeś na nie całe zapasy energii i pojechałeś nawet mnie oświadczać, i wyciągnąłeś mnie tutaj, suggestjonowałeś miłością ową bezustannie! Ja trzymałem się od samego początku odpornie. Dopiero później — uległem. A zresztą niema o czem mówić. Panna Regina wyjechała, a więc kochać mnie nie mogła. Rzuciła wszystko i mnie i par dessus le marche. Finita la comedia.

— Głupstwa pleciesz, Marjanku, bajdy wierutne! — przerwał niecierpliwie Rojecki. — A ja ci powiadam raz jeszcze — victoria!... Marnym kotku jesteś psychologiem i kobiet nie znasz wcale. Że wyjechała, rozumiem ja doskonale. Nie chciała być na łasce jakiegoś tam hrabiczka, któryby może jeszcze chciał ją zbałmucić za tę opiekę. Widzieć się z tobą pewnie jeszcze pragnęła bardzo — tylko nie śmiała niebożatko! A zresztą, co tu długo się biedzić. Zdaniem mojem il faut trancher la question i basta. Jutro jedźmy za granicę. Jak odnajdziemy Renię, moja już w tem głowa, że ona będzie twoją żoną.

Za całą odpowiedź Żyleński wzruszył tylko ramionami i odparł sucho:

— Ani myślę. Przytem to nonsens wierutny znaleźć Renię. Ale gdzież na Boga? Euro-

pa szeroka, świat długi. Jasnowidzącymi nie jesteśmy. Doprawdy, Edmundzie, gotów jestem pomyśleć, że to tyś się zakochał w pannie U-szańskiej. Bo pomyśl tylko. Ja już rezygnuję, natomiast ty gorejesz wprost pragnieniem ujrzenia tej dziewczyny. Jedź więc. Żeń się po raz trzeci. Ja ustępuję.

Rojecki zerwał się z fotelu i z pasją rzucił o stół kapeluszem.

— Oszalałeś! Ja poruszam niebo i ziemię, by zdobyć ci nareszcie szczęście rodzinne, którego wbrew wszystkiemu, co mówisz, pragniesz w duszy skrycie, ten zaś wyjeżdża z mojem małżeństwem! Zwarjować można poprostu. A kiedyś wreszcie taki próżniak, piecuch i panto-flarz — to sobie siedź w swoich pustych zem-brzyńskich salonach. Lecz ja ruszam w świat i przywiozę ci...

Panią Reginę Rojecką — podpowiedział Żyleński.

Edmund spojrzał uważniej na przyjaciela i chwycił go za rękę.

— Słuchajno, Marjanku! Cicho bądź. Chcesz awantury zemną, czy co u licha? Nie bluzgaj ironją, nie pokrywaj rozdrażnienia i smutku niewczesnymi żartami. Pomówimy lepiej poważnie. Oto, siadaj tu, na kanapie, zapal papierosa, uspokój się i do dzieła... Cóż, zgoda? Musimy postanowić coś nieodwołalnie, zamiast przymawiać sobie wzajemnie. Widzisz, co do mnie, jestem człowiekiem czynu i słów próżnych nie lubię.

Żyleński machnął ręką i usiadł na wskaza-

nem miejscu. Rójecki naprzeciwko. Zapalili papierosy, zapanowała cisza.

Po dłuższem milczeniu, odezwał się pierwszy Edmund:

— Słuchaj, Marjanie, pomnij, że rozstrzygasz dzisiaj przyszłość własną. Coś ja na dobre przeczuwam, że jeśli nie poślubisz Reni Uszańskiej, — nie ożenisz się już może do końca życia. Dziewczyna ta zaszła ci w serce głęboko, ja o tem wiem, i nic we mnie nie zdoła zachwiać przekonania, że, jeśli zrezygnujesz, będzie to gwałt, zadany naturze, nerwom, duszy, zmysłom. Potrafisz to uczynić... wiem. Primo, bo jesteś uparty, secundo, bo przeanalizujesz rzecz całą, podszewką odwrócisz, w myślach przetrawisz, przypuszczeniami zepsujesz — obierzesz z czaru, rozdziejesz z marzeń, z zachwyków i tak spreparowane wspomnienie zatrzęsł wreszcie w pamięci. Zmarnieje ci w duszy ten poryw, tak, jak zmarniały tam dawniej porywy, pragnienia inne! Zabijesz miłość raz jeszcze, lecz czyś dobrze pomyślał, iż uczucie to w tem sercu gości już może po raz ostatni? Czyś dobrze już odważył na szalach czystego rozumu, odrzuciwszy precz na razie uczucie, tę całą sprawę twego serca? Czy nie pożałujesz kiedy, żeś zmanierował, żeś zamordował polot duszy? Czy nie zaszklili ci się kiedy w żrenicy niewczesna już łza — za zginieniem, zmarnowaniem szczęściem? Pomyśl, pomyśl dobrze, Marjanku, i dopiero mi odpowiesz.

Żyleński milczał.

Słuchając słów przyjaciela, który duchową

jego stronę znał tak bardzo dobrze, popadł w dziwną i tęskną zadumę.

Minuty płynęły i nie odpowiadał.

Rojecki patrzył na niego z rodzajem współczucia i wypuszczał dym z papierosa rytmicznie regularnemi kółkami, które unosiły się zwolna pod strop hotelowego pokoju i ginęły tam w mgle elektrycznego światła. Czekał cierpliwie, aż Żyleński odezwie się pierwszy. Oparłszy przyjaźnie dłoń na ramieniu Rojeckiego, odezwał się wreszcie Marjan w te słowa:

— Dziękuję ci przedewszystkiem, drogi Edmundzie, za tak szczere i pocziwe wzięcie sprawy mej do serca! Obraziłem cię mimowoli, bądź pewny, że zupełnie żartem i przebacz mi tę chwilę nerwowego rozdrażnienia! Co do przyszłości zaś mojej, którą starałeś się tak wszechstronnie pogłębić, do mego innemi słowy szczęścia rodzinnego, które tak bardzo pragnąłeś rzucić mi pod stopy i wyrwać przemocą choćby życiu — temu narazie dajmy spokój.

Tu Żyleński westchnął, przetarł dłonią czoło i mówił dalej:

— Obstaję przy swoim. Wracam do Zembrzyna i ścigać panny Uszańskiej nie będę! Choć odmawiasz mi znawstwa psychologji kobiecej, twierdzę jednak stanowczo, że kobieta zakochana nie postępuje w ten sposób. Przypuścimy, jak chcesz, chwilową nieśmiałość. W takim razie czas mam przed sobą. Wierzaj mi: kobieta zakochana w mężczyźnie nie potrafi tak, jak on częstokroć, zamknąć uczucie w głębi duszy i zataić je zupełnie. Jeśli nie słowem,

obecnością, listem, to znakiem jakimś szczególnym zdradzi się, tajemnicę serca — jawną uczyni!

Co więcej, choćby oddalona, zapomniana, postara się o to, daleko zřęczniejsz i pewniejsz nieraz, niż męczyzna, daleko subtelniejsz, niż onby to uczynić potrafił. A więc streszczam się, mój Edmundzie! Jeśli Renia, jak chcesz tego, kocha mnie prawdziwie, w takim razie powtarzam, znak taki mi da, choćby z oddalenia, i ja go zrozumieć, ja go pochwycę i stanę przed nią i niewolnikiem jej będę! To wszystko, co przyrzec mogę święcie i tobie i sobie. Poza tem, uważam sprawę całą za zupełnie skończoną i proszę cię nawet usilnie, nie wspominać mi więcej nigdy o tem wszystkim.

Żyłeński umilkł, a tyle było stanowczości i siły w ostatnich jego wyrazach, że Edmund Rojecki pojął aż nadto dobrze, że zabiegi jego nieodwołalnie skończone.

Nie więc nie odrzekł, uściśnął tylko w milczeniu przyjaciela i wyszedł do sąsiedniego pokoju.

Żyłeński machinalnie sięgnął po leżący na stole dziennik i zagłębił się w czytaniu. W przyległej komnacie rozlegały się jakieś hałas, przesuwania sprzętów i kroki służby.

Minęło pół godziny. Nagle roztworzyły się drzwi i ukazał się w nich Edmund gotów do drogi. Żyłeński powstał zdziwiony.

— Jąde do Warszawy za mojemi sprawami! Coż robić, mój kochany, ja energię zużyć

muszę, odpoczywać pod twoim gościnnym dachem dłużej już nie mogę. Chciałem ci dopomóc, ożenić, uszczęśliwić, życie roz pogodzić, odświeżyć cię, odmłodzić, lançons ce mot terrible, wszak w jednym wieku już jesteśmy. To wszystko wzięło w łeb, nic mi tu już zatem nie pozostaje do roboty. Przyszłość moja zresztą w grę już wchodzi. Ratować się muszę! Gonie resztkami, setki spraw na mnie czekają. No, do widzenia, mój drogi!

Rojecki uściskał przy tych słowach serdecznie Żyleńskiego.

— Dziękuję ci raz jeszcze za wszystko — rzekł ciepło Marjan i ucałował przyjaciela.

— A ja za gościnność... Oj, stary druhu, jakżebym pragnął nieba ci przychylić. Cóż, kiedy nie mogę.

Uściskali się raz jeszcze.

— Odprowadzę cię na dworzec.

— Daj pokój. Znużyła cię moralnie ta cała rozmowa nasza -- późno wreszcie, dzień mieliśmy dziś bardzo męczący. Zostań i wypocznij.

— Ale, cóż znowu — jadę!

— Dokąd?

— Do Zembrzyna. Mój pociąg rusza w pół godziny po twoim.

Niebawem jechali już razem, unoszeni szybko przez kręte ulice ku dworcowi.

Kijów, barwny, rzęsiście oświetlony, tłumny i wielkomiejski na Kreszczatku, gdzie koncentrował się ruch cały grodu, tu, w stronie stacji kolejowej, cichy i pusty przypominał raczej prowincjonalne miasto.

Powóz wymijał szybko wille, otoczone ogrodami, słabo oświetlone zaułki — wreszcie dotarł do stacji kolejowej.

Rojecki zdążył zaledwie... Żyleński zaś w krótkie po nim rozmieszczał się w oddzielnym przedziale i gotował do snu.

Zapomnienie jednak spraw bieżących, jakie przynosi ze sobą sen, nie przychodziło bynajmniej. Pan Marjan, zapaliwszy cygaro, stanął w oknie.

Po za szybami wagonu, migały co chwila iskry krwawe, osiadały na ziemi, na krzewach, na drutach, gasły, jak te marzenia i rojenia, które życie przędzie, aby rozwijać je i rozsnuć i tak często zaprzepaścić.

Niebawem wychylił się księżyc i rozświetlił blado płaszczyznę stepu tęskną, cichą i smutną.

Myśli coraz boleśniejsze owładnęły Żyleńskim. I oto znów zamykał w życiu jedną kartę — kartę młodości i szczęścia może i zapomnienia trosk, oraz bólów, zgryzot i cierpień.

Jednocześnie czuł, że się starzeje. Jakiś robak gryzł go przytem i męczył, głos w głębi duszy wołał doń:

— Uczyniłeś dobrze, nie dla ciebie już to wszystko! Miłość — to królestwo młodych, to ich kraina. Nie żałuj Reni. Piękna, młoda, znajdzie młodego, co pochwyci ją w ramiona, utuli, zapali w duszy miłość, silniejszą, niż tybyś ją już mógł wzniecić. Usuń się, zamknij. Na ciebie już czas. Piąty krzyżyk dźwigasz na bar-

kach, nie tobie przykuwać do siebie istnienie młode, bujne, rwące się do życia. Stałbyś się wkrótce dla żony kulą u nogi. Wara ci zamykać życie inne, korzystać z niedoświadczenia młodziutkiej istoty.

Głosy uporczywe ścichły, pan Marjan zwiesił smutnie głowę.

Po za oknem mknącego coraz szybciej pociągu, zmienił się krajobraz. Promienie świetlne księżycy sączyły się teraz po przez w pół nagie od liści drzewa boru i rysowały się w nim fantastyczne sny i marzenia, wcielały je w mary, płasające w srebrno świetlanych cieniach księżycowej nocy, goniące się popolanach boru, kryjące się w tajemnych cieniach grabów, klonów, dębów i brzóz.

Wzrokiem, zasnutym jakby mgłą, smutnym i tęsknym, śledził je Żyleński, dopóki bór nie znikł z kolei, jak zjawą i nie roztoczył się ponownie steś nagi, zaorany, srebrny, rozmarzony i senny.

Utonęły w nim oczy Żyleńskiego i pobiegły w dal, co zdawała się być bez kresu, i pić zaczęły znowu tęsknotę, którą tchnęły równie i którą potęgował jeszcze miesiąc smutny i blade, unoszący się na wyżynach, niedościgły jak szczęście ludzkie. Długo jeszcze bardzo majaczyła u okna pędzącego pociągu sylwetka Żyleńskiego, po za służbą kolejową, będącego jedynym podróżnym, czuwającym w tę cichą i rozmarzoną księżycową noc.

VIII.

Czarna, spieniona, wspaniała, jak huragan, szybka, jak życie młode — silna, bujna i nie okiełznana — pędziła wprost na Renię Uszańską „Czwórka” Chełmońskiego, ze ściany muzeum narodowego w Krakowie.

Do podwawelskiego grodu Renia przybyła w dniu wczorajszym. Przyjechała zaś głównie do jedynych, żyjących krewnych ojca, starszków, których nie знаła wcale, którzy jednak częstokroć zapraszali ją do siebie listownie, gdy bawiła jeszcze w paryskim klasztorze Sacré Coeur. Postanowiła bowiem rozpocząć okres nowego życia, udać się do krewnych ojca i szukać u nich poparcia.

Tymczasem od samego rana zwiedzała kościoły krakowskie, zachwycala się nimi, a obecnie duszą garnącą się do piękna, wchłaniała w siebie czar, którym tchnęły dzieła mistrzów...

Pożegnawszy spojrzeniem „Czwórkę”, „Hold pruski” i „Świeczniki Chrześcijaństwa”, Renia opuściła muzeum. Niebawem mijała już zwolna kościół Panny Marji, ścigając oczyma dziesiątki szarych i białych gołębi, latających około wieżyc wspaniałej świątyni.

Zamyślona, minęła ulicę Florjańską, historyczny „Rondel“, teatr, kościół i skręciła w jedną z bocznych ulic.

Wkrótce lokaj w herbowej liberji, ze złotymi guzami, otwierał Reni drzwi wspartego apartamentu na pierwszym piętrze.

— Czy zastałam państwa Uszańskich? — zapytała nieśmiało.

Służący obejrzał Renię pobieżnie od stóp do głowy.

— Jak mam zameldować? — zapytał niepewnie.

— Regina Uszańska! Przyjechałam wczoraj i wyjeżdżam wkrótce. Pragnęłabym zobaczyć pana, albo panią.

Lokaj w milczeniu otworzył drzwi salonu. Renia weszła, drzwi zamknęły się za nią cicho.

Usiadła na złoconym fotelu, obitym białą materją i czekała cierpliwie, rozglądając się po salonie. Znać tu było na każdym kroku komfort, zamożność i elegancję, aczkolwiek współczesną i niby moderne, tracącą jednak myszką, co zdradzał nagle jakiś wypłowiały portret, miniatura, zegar - antyk, lub mebel dawny, niemodny, pamiętający stulecia! Dyskretnie rozłożyły się w bocznej ścianie drzwi, których istnienia nie przypuszczała Renia, kryła je bowiem ciężka portjera.

Przed nią stał mężczyzna, bez zarostu, zasuszony i stary, lat może ośmdziesięciu kilku. Powitał Renię dość zimno i uroczyście, z pod przymrużonych powiek, obejrzawszy przytem

badawczo. Przejednany jednak niezwykłą jej urodą, wskazał ręką krzesło i rzekł urywanym głosem astmatyka.

— Siadaj, proszę cię, siadaj. Pozwolisz, że cię tak odrazu nazywam. Ale znałem cię dzieckiem, ot... taką! — i wskazał ręką wysokość paroletniej dziewczeczki.

— Tak, widzisz, tak. A twego ojca doskonale znałem, tak jest, doskonale... Bywaliśmy razem w wielkim świecie. Panny kochały się w nim wszystkie. Pamiętam, świetnie to wszystko pamiętam!

Zatrzymał się, odkaszlnął i zapytał:

— No, a cóż tam u ciebie słyszać?

— Ale, prawda, zapomniałem — przerwał nagle sam sobie. — Anielka Uszańska umarła... Wielka to była moja przyjaciółka przed laty. Czytałem w gazetach... No, i ten lalusz, Liwski. Odziedziczył po niej wszystko. Ten chłopiec poprostu w czepku się rodził. Już trzeci spadek. Lecz ten pójdzie, jak tamte. Ho, ho, on to potrafi... Karty, wyścigi, ruletka i tam dalej. Hm, hm! — odkaszlnął, urwał i spojrzawszy przenikliwie na Renię, zapytał ciekawie:

— No, cóż, tobie zapisała może cokolwiek Anielka, co?...

— Nic a nic, panie.

— Stryju! Stryju mów do mnie — poprawił. — I dlaczego to?

— Nie wiem, stryju! — odparła Renia, zarumieniwszy się bezwiednie.

— To bardzo źle, że zapomniała o tobie,

Ten Liwski przepuścił wszystko z kretesem. Powiedział ci — gwarantuję. Przepuści, jak mi Bóg miły!

Odsapnął, odchrząknął i spojrzawszy znów badawczo w piękną twarzyczkę Reni, zapytał:

— No, a cóż ty wobec tego? Cóż myślisz robić, gdzie mieszkać, co?

— Właśnie po to tu przyjechałam — odezwiała się żywo Renia, rada, że nareszcie dano jej przyjść do słowa i powiedzieć cel przybycia. — Prosić chciałam kogoś o protekcję — mówiła dalej z energją. — Możeby jakaś pośada, praca, tu, w Krakowie. Trzeba żyć! Możeby stryj zechciał polecić, napisać list rekomendacyjny do kogo? — wtrąciła nieśmiało, patrząc pytająco w oczy starca.

Pod spojrzeniem tem Usza-Uszański zmieszał się, skrzywił nieznacznie i milczał chwilę. Wreszcie wahająco i niepewnie odparł.

— Chciałabyś mego polecenia... Tak, pojmuję, doskonale to rozumiem. Ale, widzisz, do kogo — to sęk. Tak, właśnie do kogo? Nie każdego mogę o taką rzecz prosić. A przytem...

Tu odkaszlnął, skrzywił się powtórnie:

— A, przytem — powtórzył — widzisz, tu, w Krakowie, osiedlać się wprost nie warto. Dziura, powiadam ci, poprostu dziura! A po za tem...

Tu Uszański w niepewności zatrzymał się znów dłuższą chwilę.

— Widzisz, tobie tego, jako Uszańskiej, przyznam się nawet, nie wypada wycierać tu-

tejsze biura. Co innego jeszcze w takim Lwowie, Warszawie, albo już najlepiej — to zagranicą. Tam zginiesz w masie. Ale tutaj? Boże odpuść, lepiej daj spokój! Z twojem nazwiskiem, a także, hm, hm, z urodą... O, nie radziłbym stanowczo — nie! A przytem do kogo, gdzie, jak, przy czym współudziale i pomocy? Ja, z przykrością nie mogę ci służyć — tak jest, wprost nie mogę, nie wypada mi przykładzać ręki do tej całej sprawy. Bardzo mi przykro, bardzo. Szczerze ci to mówę. Lecz, nawet dla pamięci tego kochanego Edzia, twego ojca, nie mogę tego uczynić!

I roztworzywszy przy tych słowach ramiona, uczynił rękami ruch wymowny.

— Noblesse oblige, ja dopomóż ci w tem nie mogę, iść wbrew moim przekonaniom. Zdaniem mojem, Usza - Uszańska popychadłem za pieniądze być nie powinna. A czemże innem po biurach ty być potrafisz? No, powiedz tylko — przyznaj się otwarcie. Cóż ty umiesz?...

I stary Uszański, stanąwszy przed Renią, odpowiedział za nią samemu sobie:

— Nic nie umiesz, moje dziecko, wiem z góry — nic zupełnie, jak wszystkie panny twojej sfery! Do pracy jesteś niezdatną, zostaw to mężczyznom. Każdą kobietę zresztą czeka całkiem inne przeznaczenie w życiu. Powinnaś wyjść za mąż. Masz urodę, to bardzo wiele. Młody cię nie weźmie może, bo nie masz majątku, ale starszy, kto to wie, kto to wie?

— Ależ stryju! — zawołała zarumieniona

Renia. — Przecież ja sprzedawać się tu nie przy-
byłam, pracować chcę i mogę. Bez przekonania
i przywiązania za męża nigdy nie wyjdę. A co
do tego, co umiem, stryj tak dalece sądzić nie
może. Ostatecznie potrafię być nauczycielką:
znam języki, muzykę, następnie wreszcie kasjer-
ką, urzędniczką w biurze. Czy ja wiem zresztą?

— Może panną sklepową? — podpowie-
dział zgryźliwie stary Uśza - Uszański. — I za-
wijać będziesz kawę i korzenie, lub łokciem
mierzyć towary, z uśmiechem i liczką zachę-
cać do kupna hołotę. Świetna iście karjera. Nie,
moja panno! W tem ja ani stryjenka, dopo-
módz ci nie dopomożemy!

— A stryjenka, czy zdrowa? — przerwała
szybko Renia, która bezwiednie o istnieniu tej
nieznanej sobie krewnej zupełnie zapomniała.

— Hm, hm, zdrowa. Dziękuję ci, moje dzie-
cko. Na razie w domu jej niema, pojechała z wi-
zytami. Rózia, moja żona — objaśnił — był
czas, kiedy ci była nawet bardzo przychylna,
choć nie знаła cię wcale. Lecz, widzisz, jak to
powiedzieć... Nie dopisałaś jej ostatnim razem,
jak prosiła cię do nas na stałe. Jest więc uražo-
ną nieco, no, i wogóle obecnie silnie zdenerwo-
waną i niezdrową. Czy chciałabyś może widzieć
się z nią? — zagadnął przezornie.

Renia zdziwiona nieco tonem nowo pozna-
nego stryja, spojrzała na niego badawczo i od-
parła zwolna, patrząc mu w oczy.

— Tak, rzeczywiście, pragnęłabym widzieć
stryjenkę, poznać ją przedewszystkiem, podzię-

kować za dotychczasową o mnie pamięć i wreszcie, przyznając się, spróbować u niej szczęścia, co do poparcia mnie na nowej drodze życia.

— Hm, hm, zapewne! — bąkać zaczął stary astmatyk, zmieszany nieco. — Ha, spróbuj! — zdecydował wreszcie. — Chociaż wątpię. Rózia, widzisz, ma podobnie, jak ja, swoje stałe, że tak powiem, nienaruszalne zasady. Ale spróbuj i owszem... Kiedy jedziesz? — zagadnął w końcu.

— Za kilka dni! — odparła Renia z przymusem, odczuła bowiem w ostatnim pytaniu chęć pozbycia się jej jak najprędzej.

Jednocześnie poczuła w sobie pewne znużenie moralne i zapragnęła również wyjść stąd jak najprędzej. Widziała przed sobą mur przesądów kastowych i uprzedzeń, których przełamać nie czuła się dość silną. Odrazę w niej budził egoizm starca — powstała sztywnie.

Widząc to, stary Uszański złagodniał i rozpogodził czoło. Chciał widocznie podać jej uprzejmie zdawkową, ozłoconą pigułkę i już usta otwierał, gdy lokaj zjawił się na progu i zameldował uroczyście, z cicha jednak, jakby wprowadzał codziennego gościa:

— Pan hrabia ordynat pyta, czy jaśnie pan przyjmuje?

— Proś, proś! — rzucił skwapliwie Uszański, a gdy sługa oddalił się, spojrzał szybko i niepewnie na gościa swego i odezwał się:

— Wiesz, siadaj, tak, zostań!... Poznasz ordynata. Stary kawaler — milionowy pan. Chi-

vlo sa? — obrzucił krytycznem i taksującym spojrzeniem całą sylwetkę Reni, opiętą w elegancko skrojoną suknię. — Ma przytem wielkie poszanowanie dla nazwiska, zresztą mój przyjaciel i adorator Rózi! Wiesz co? Reste mon enfant. Hm, hm, cóż ty na to?

Renia oblała się powtórnie gorętszym jeszcze rumieńcem i wyciągnęła ku ździwionemu starcowi rękę na pożegnanie.

— Nie, stryju! — wykrztusiła. — Nie jestem bynajmniej ciekawą tego ordynata. Przytem zmieniłam w tej chwili projektu. Wyjadę nieodwołalnie jutro do Warszawy, tam odszukam krewnych matki, oni mi niewątpliwie pomogą.

— Ach, więc tak. No, to w takim razie jedź, moje dziecko. Niech cię Bóg prowadzi.

I mówiąc to, Uszański ucałował pochyloną do jego ramienia złotowłosą główkę Reni.

— Ale! — zawołał żywo. — Może tego... nie masz na drogę?

I zanim Renia obejrzeć się mogła i zaprzeczyć, wydostał szybko z pugilaesu banknot i wsunął go zręcznie w rękę dziewczęciu.

Renia oszołomiona w pierwszej chwili oprzytomniała jednak szybko.

— Nie, dziękuję stryjowi — rzekła zarumieniona, zwracając pieniądze. — Nie po to tu przyszłam. Żegnam stryja.

Czas był wielki. Próg salonu przestępował już wysoki, siwiejący mężczyzna, ogolony i łyśy, o małych wyszwarcowanych wąsikach. Or-

dynat obejrzał ciekawie gospodarza domu, trzymającego w ręku zwrócony banknot i urodziwą, mijającą go pannę, a skłoniwszy się jej grzecznie, z uśmiechem podał rękę Uszańskiemu, mówiąc:

— Bonjour, mon vieux. Comment ça va-t-il?...

Renia nie dosłyszała dalszych słów. Cała w rumieńcach uciekała, biegła wprost ku drzwiom.

Przed bramą domu czekała ją znowu przykra niespodzianka.

Lokaj w barwach Usza - Uszańskich otwierał karetę, z której wysiadała z trudnością poważna i otyła dama. Renia domyśliła się w niej stryjenki. Minęła jednak obojętnie szeleszczącą jedwabiami nieznajomą i podażyła bardzo prędko wąską ulicą z powrotem do hotelu. Dość już miała Usza - Uszańskich i całego Krakowa.

Biegła z silnem postanowieniem spakowania rzeczy i jak najrychlejszego wyjazdu.

Zachodziło już krwawo słońce i zbliżał się wieczór.

W przedwieczornem skupionem milczeniu cichego podwawelskiego grodu odzywały się wokoło idącej uroczyście dzwony kościołów. Grały rytmicznie, donośnie i pięknie, zegnały Renię melodją śpiewną, harmonijną i poważną. I niosły, zda się dzwony te w dźwiękach swych, echa czynów przebrzmiałych dawnej potęgi i blasku Rzeczypospolitej, śpiewały tęsknie z pośród tych świętych i starych murów, pomnących stulecia i chwałę polskiego narodu!

IX.

Renia jechała do Warszawy. Do oddzielnego przedziału drugiej klasy, do którego zaniósł jej rzeczy posługacz, na razie nie zajrzała nawet, stanąwszy w kurytarzyku i obserwując uwijających się na stacji podróżnych i posługaczy.

Dłuższy czas stała jeszcze przy oknie pogrążona w myślach.

Ocknęła się dopiero w jakieś pół godziny. Smutek, zwątpienie i rozczarowanie, które zniewoliły ją do opuszczenia Krakowa, wszystko na razie skłębiło się w jej zmęczonej głowce. Fizyczne zmęczenie jednak zmagало się w niej z duchową troską i dopominało się o przynależny ciału spoczynek.

Pociąg pędził, w wagonie było cicho i pusto. Wsunęła się do przedziału i cofnęła nagle, niemile zdziwiona, zauważywszy, iż jest zajęty przez nieznanomego mężczyznę.

Przestąpiła próg przedziału i spojrzała z bezwiedną ciekawością na nieoczekiwanego gościa. Spał twardo, oddychając miarowo. Wnętrze wagonu oświeślały promienie księżyca bla-

dem niebieskawem światłem, które ślizgało się po leżącej sylwetce śpiącego, nie dotykając jednak twarzy, pogrążonej w cieniu.

Renia w niepewności powstała chwilę, wreszcie wzruszyła filozoficznie ramionami i cicho przymknąwszy drzwi przedziału, rozkładać się zaczęła w swym kąciku. Skrępowana jednak obecnością nieznajomego, wyjęła tylko z zawiniątka skórzaną poduszeczkę i oparłszy o nią głowę, wyciągnęła się z lubością na kanapce, przykrywszy nogi pledem.

Cisza zagościła w przedziale, kojąco poczęła ona działać na Renię. Niepokój o jutro i przyszłość własną pierzchały zwolna, znużenie brało stopniowo górę.

W kilkanaście minut później, Renia zasnęła, zapomniawszy o Bożym świecie. Księżyc wznosił się coraz wyżej, promieniał coraz bardziej, niedościgły gdzieś wysoko w błękicie jesiennej nocy, pociąg mijał stacje, zatrzymywał się, ruszał znowu, a Renia i jej przygodny towarzysz podróży — spali dalej snem twardym i zdrowym.

Cudna, cicha noc zbladła wreszcie, miesiąc roztopił się gdzieś w chmurach i znikł niepostrzeżenie, szarość natomiast zaległa lasy i pola, a lękliwe i nieśmiałe półświatła przedświt błakać się zaczęły po moczarach, które mijał właśnie pociąg.

Wagony stanęły na jakiejś większej stacji, rozległy się gwizdy, huk pociągów mijających się wzajemnie, dzwony i dzwonki sygnałów. Po-

dróżnych przybyło tam i owdzie po wagonach — do przedziału jednak Reni nikt nie zajrzał, pociąg ruszył znowu i nic nie zakłóciło ciszy w przedziale.

Jaśniało tymczasem coraz bardziej. Pociąg mknął, mijając teraz ogromny bór sosnowy, zadumany i cichy. Gdzieś, po za nim, po przez konary wysmukłych drzew, różowiło się już niebo blade, rumieniła się jutrzienka. Znow stacja...

Szum, gwar, nawoływania. Pociąg rusza i mknie przez ciche zaorane pola, po przez ruń świeżą posiewów i wpada na łąki, senne jeszcze, niezmierzone, dalekie i tęskne.

Na niebie, z różanej opony jutrzienki, wychyla się złota kula i tryumfalnie wstaje słońce. Promienny wpada pierwszy blask do przedziału i rzuca się swawolnie na twarze śpiących: Reni i nieznajomego mężczyzny.

Dzień...

Pieszczota ciepłych słonecznych promieni budzi natychmiast Renię. Zrywa się i patrzy w okno.

Pociąg mija mokradła, w mętnej wodzie zapalają się iskry radosne, — życie poczyną wszystko — dookoła. Ptactwo lata tam i owdzie, bociam uroczyście przechadza się samotny po błotach, brzegiem drożyną, stadko żrebiąt pogania chłopczyzna.

Renia nagle przypomina coś sobie, uśmiecha się swawolnie i spogląda w głąb wagonu. Patrzy tam długą chwilę z niewinną ciekawo-

ścią, a niebawem wyraz szczerego i niekłamane-
go zachwytu odbija się na jej wyrazistej twa-
rzy.

Słońce oświeśla pograżone wciąż we śnie
oblicze nieznajomego, rysując i wypuklając rysy
jego twarzy. Twarz ta zaś jest dziwnie piękną
i miłą. Rozrzucone w nieładzie jasno - blond
włosy zakrywają połowę wysokiego, myślącego
czoła, odcinając się charakterystycznie od ciem-
nych, wąskich i ślicznych brwi, zupełnie czar-
nych. Delikatne nozdrza, wąs jasny i usta pie-
szczeniowe ośmnastoletniego podlotka, dopełnia-
ją wdzięku tego męskiego oblicza.

Ślepy traf nasuwa jej porównanie. Jakże
inną w istocie od oblicza Żyleńskiego jest ta
twarz młodzieńcza, świeża i idealna, pociągają-
ca, jak życie, jak młodość, jak miłość!...

Rumieniec zabarwia twarz Reni... Jakaś
chęć swawolna i pusta młodego dziewczątka
świta jej w główce. Pragnie oto w tejże chwili,
cicho, cichuteńko pochylić się nad temi roz-
wartemi wargami, rozchylonemi kusząco i przy-
tulić do nich w pocałunku swe usta. Byłoby to
więcej uściśnienie zachwytu, niż pocałunek na-
miętny — byłby to hołd oddany Pięknu — my-
śli Renia — a tak delikatnie i niepostrzeżenie
złożony, że winowajca tego odruchu nie obu-
dziłby się napewno.

Renia nagle śmieje się do siebie półgłosem.
Podróżny otwiera oczy jednocześnie i przesuw-
a ręką po twarzy. Ruch ten widzi Renia i za-
wstydzona pierzcha z przedziału, jak wystra-
szona sarenka.

— A tom się spisał! Spałem, jak susał wś
à wś sąsiadki! — mówił głośno do siebie, zer-
wawszy się z siedzenia, młody nieznajomy. —
Ciekawy jestem, co to za jedna? — myśli dalej.
— Uciekła, jak zmyła, ledwie oczy otworzył.
Wstydziła się bestyjka. Lecz coś mi mówi, że
ładna. Młoda, bo młoda i figurkę ma zgrabną.
Tom zobaczył doskonale! Pewnie się już jednak
nie pokaże.

Wzdycha filozoficznie, przeczesuje grzeb-
niem bujną czuprynę, poprawia odzienie, i za-
czyna porządkować swój kącik.

Nagle w odemkniętych drzwiach przedziału
ukazuje się konduktor i żąda biletów. Podróżny
podaje swój.

— Jeden tylko ? — pyta konduktor.

— Ta pani wyszła — objaśnia nieznajomy.

W tej chwili weszła Renia. Wrócić musia-
ła, pozostawiwszy bilet w torebce.

Po załatwieniu formalności, konduktor za-
myka szczelnie drzwi przedziału. Chwila mil-
czenia. Pierwszy odzywa się podróżny:

— Muszę wytłomaczyć się przed panią za
moją tu obecność — mówi z uśmiechem w pół-
ukłonie — zdaje mi się, że to przedział wyłącz-
nie damski.

Renia, uśmiechając się również, odpowiada
swobodnie:

— Och, co to — to nie! Patrzałam właś-
nie. Na tafelce napisano: „Dla palących“.

(Nieznajomy dorzuca swobodnie: — W każ-
dym razie trzeba było mnie jakoś usunąć, zbu-

dzić i wyprosić. Przepraszam raz jeszcze, jeśli w czemkolwiek zakłóciłem spokój pani w czasie naszej wspólnej podróży.

— Ależ, w niczem zupełnie! — odpowiada Renia, siląc się na powagę, a oblewa się rumieńcem, za co równocześnie w duszy wściekła jest na siebie.

Pokrywa to żartem, dorzuciwszy lekko:

— A co do tego, by panu zwrócić jakąkolwiek uwagę, nigdybym się najprzód nie ośmieliła, bo wszakże to ja zawiniłam głównie, a raczej mój posługacz. Przedział damski o parę kroków dalej. Co się tyczy zaś zbudzenia pana — śmieje się w końcu Renia całkiem już wesoło i swobodnie — byłoby to trochę trudno. Spał pan tak dobrze...

Spuszcza oczy.

(Nieznajomy ogarnia ją głębokiem spojrzeniem dużych ciemnych oczu, które mówią aż nadto wyraźnie:

— Jaka ty śliczna.

Po chwili odzywa się znowu z uśmiechem.

— Lecz mam nadzieję, że i pani spała równie dobrze?

— Doskonale! — przyznaje Renia, ogarniając z kolei sąsiada śmielszem spojrzeniem, na dnie którego przymglony i zatajony rozmyślnie drzemie zachwyt, ogarniający ją bezustannie dalej, w zetknięciu z tym pięknym chłopcem, który po za tem zdaje się być tak miłym, uprzejmym i naturalnym.

Tymczasem on już pyta dalej:

— Pani również do Warszawy?

— Tak jest.

— A skąd, jeśli wolno spytać?

— Z Krakowa.

— Ja również. Jadę do Warszawy zdobywać jutro mego życia, to jest szukać jakiejś pracy, posady — dla bytu.

— Ja także! — wyrywa się bezwiednie Reni.

Nieznajomy ogarnia ją ciekawym spojrzeniem. Milczą chwilę. Pociąg staje, jest to już ostatnia stacja przed Warszawą.

— Warszawa blisko — zaczyna znów rozmowę nieznajomy, gdy wagony zwolna ruszają.
— Czy pani jedzie do krewnych?

— Tak jest. Tylko tych krewnych moich odzukać jeszcze muszę. Nie znam przytem ich prawie — uzupełnia.

— Lecz ma pani kogoś przecie znajomego w Warszawie? — pyta młody podróżny, z pewną jakby serdecznością w głosie. Zdaje się, iż wprost żal mu się robi młodego dziewczęcia, puszczanego tak samopas w życie.

— Och, tak... kilka koleżanek dawnych. Zresztą, co do krewnych mojej matki, dosyć są mi bliscy i znajdę ich z pewnością.

Renia urywa, lecz chęć nieokreślona podzielenia się z kimś, chociażby zupełnie obcym, projektami i obawami, tyjącącami się tego Jutra — zasłoniętego jeszcze dla niej krepą nieodgadnionej tajemnicy — zwycięża rychło. Mówi dalej, ulegając bezwiednie wpływowi nieujętego

wdzięku, który płynie ku niej od tego pięknego chłopca, patrzącego na nią także od pewnego czasu z silnem bardzo zainteresowaniem.

Po półgodzinnej rozmowie wie już nieznamy podróżny, iż Renia spędziła dwa lata na Ukrainie, w Olanówce, że straciła tam babcię, że w Krakowie pomódz jej nie chciano. Wypowiada się ona dalej ze swych obaw co do przyszłości, głównie z powodu, iż wykształcenie jej powierzchowne, salonowe i ogólne, nie daje jej praw moralnych do objęcia jakiegokolwiek fachowego stanowiska, które dziś tylko popłaca.

Z większą, aniżeli można byłoby przypuścić po tak krótkiej znajomości uwagą, słucha piękny podróżny zwierzeń dziewczęcia. Czasem tylko dorzuci słówko.

Gdy Renia kończy opowieść, oczy jego ze współzuceim spoczywają na ślicznej twarzyczce Reni, i smutek dziwnie łagodny rozlewa mu się po twarzy. Odzywa się dziwnie miękko:

— Serdecznie współczuję pani. Pojmuję doskonale trwogę jej przed tem jutrem, tak bardzo niepewnem. Tak jest. Fachu żadnego nie posiadać w życiu, — to ciężar wielki, czasem po nad siły! Dla kobiety mniej jednak, niż dla mężczyzny. Chcieć być wszystkim, a nie módz być niczem, to dla przedstawiciela płci silnej daleko większa i dotkliwsza tragedia.

Dla kobiety, rzecz tylko zrozumiała. Położenie jej dotychczasowe, warunki, które ją krępują i tak dalej, bez końca, zmuszają kobietę poniekąd do tego biernego stanu, który najczęściej

kończy się znalezieniem męża. Garstka tylko zawiedzionych życiowo, lub szlachetniej myślących, albo wreszcie przysposobionych do życia od młodości, czy też tych zbuntowanych, co garną się do prac społecznych, obowiązków kobiety - obywatelki, kobiety - pracownicy, kobiety - człowieka — garstka tylko, powtarzam, tych wybranych czuje, myśli i działa inaczej! Tak mianowicie, jak pani by urządzić sobie życie pragnęła. Otóż pocieszyć panią mogę... Ponieważ takich, jak pani, jest względnie jeszcze niewiele, ponieważ ruch kobiety wzmacnia się coraz bardziej i posiada wielu tak zwanych sympatyków, może pani być pewną, iż ludzi pani znajdzie, co jej pomogą i rękę podadzą. Otuchy zatem, odwagi i nadziei! — zakończył gorąco młody entuzjasta, a oczy jego i wyraz całej w tej chwili tak były porywające, pociągające i piękne, że Rénia patrzy w niego jak w obraz.

I w oczach jej wyrazistych wiele już snadź w tej chwili zachwytu i uwielbienia, bo nieznamy, spojrzawszy w nie głębiej, uśmiecha się i wyciąga rękę przyjaźnie.

— Pozwoli pani — mówi znów tak samo miękko i serdecznie — uścisnąć dłoń przyszłej emancypantki i kobiety - człowieka, a zarazem przedstawić się jej pozwolę... Jestem Noryński Kazimierz.

— Regina Uszańska — odpowiada Renia z ufnością i podaje rękę młodemu człowiekowi, który ściska ją silnie.

Wagony tymczasem zwalniają biegu, zbli-

żają się do wiedeńskiego dworca w Warszawie. Stają niebawem i zapełniają się rojem posługaczy, ruchem i wirem. Młodzi podróżni są u celu.

Wyraz nieokreślonego żalu, że chwila rozłąki już tak bardzo bliska, bezwiednie sciska im serca, a wyraz pewnego smutku jednocześnie prawie odbija się na ich wyrazistych twarzach.

Renia chmurzy się, Noryński poważnieje. Czuje zarówno instynktownie, iż nie wypada mu już narzucać się dłużej młodemu dziewczęciu. Skłania się nisko i ujmując powtórnie w dłoń pieszczotliwie i miękko rączkę Reni, mówi ciszzej:

— Żegnam panią. Do zobaczenia się. Mam nadzieję, że jednak spotkamy się gdzieś w tej naszej stolicy... Pani do krewnych, czy do hotelu? Może do „Europejskiego“, „Bristolu“? — pyta dalej ciekawie.

— Och, to lokale dla mnie nadto wspaniałe.

— Niech pani weźmie zatem pokój w hotelu „Royal“ skromny i niedrogi. Żegnam panią. Powodzenia na nowej drodze życia.

Uśmiecha się blado, spogląda dłużej w piękne oczy Reni, i schwyciwszy ręczny tłomoczek, kłania się i znika. Renia blednie. W dziwnym jasnowidzeniu jakby przyszłości, czuje w tej chwili, iż w życiu jej przyszedł odegra jakąś rolę ten człowiek. Odczuwa poprostu wyraźnie, iż jakaś karta, ruszona ręką przeznaczenia, odchyła się, szeleści i układa cicho tam, w owej księdze własnego jej żywota, przykrywa karty inne — przeszłość jej całą...

— Dziwny jakiś człowiek — myśli — Kazimierz Noryński? — powtarza głośno nazwisko podróżnego. Podnosi oczy i instynktownie szuka w tłumie zgrabnej sylwetki Noryńskiego, lecz dojrzeć go nigdzie nie może.

Wkrótce ją samą pochłania ruchoma fala strojnych i wesołych mieszkańców Warszawy.

X.

Do obszernego i widnego pokoju na czwartem piętrze jednej z ludnych wielkich kamienic śródmieścia wpadły radośnie pierwsze z poza chmur promienie słońca.

— Nareszcie! — szepnął do siebie rosły mężczyzna, ogorzały, silny blondyn, o marsowej twarzy **wojaka**. Westchnął potężnie i odstąpiwszy parę kroków od wielkiego płótna, rozciągniętego na sztalugach, wpatrzył się w nie z natężeniem i skupioną uwagą.

Po chwili, na ogromnej, zastosowanej jakby do jego wzrostu palecie, wybrał odpowiednią farbę i w natchnionej bezwiednie, bardzo estetycznej pozie, z zacięciem podmalowywać zaczął jedną z licznych postaci, w ruchliwym i barwnym korowodzie sunących na płótnie. Obraz przedstawiał bowiem jakiś pochód fantastyczny, na tle wdzięcznego górzystego krajobrazu.

— Tak! — mruknął do siebie artysta. — Teraz będzie dobrze.

Odstąpił znów od płótna, wpatrzył się dłużej i malował dalej — pracował.

A słońce tymczasem czyniło, zda się, przegląd wszystkich zakątków pracowni malarza. Na ogół, przedstawiała się ona niezbyt imponująco, co do zewnętrznego wyglądu. Nie była to bynajmniej wypieszczona siedziba, pracownia na pokaz. Był to istotny warsztat pracy, wyteźzonej, jednak i obfitej w owoce, o czym świadczyły aż nadto dziesiątki obrazów, kręgiem opartych o ścianę, odwróconych od widza i nagromadzonych tu obficie.

Artysta malarz, Fryderyk Woryna, przygotowywał się właśnie do zbiorowej wystawy dzieł, którą niebawem już, z nadejściem sezonu zimowego, otwierał w jednym z miejscowych salonów sztuki. Od pewnego czasu pracował zawzięcie, całemi dniami i materiału gotowego przybywało coraz bardziej.

Sławnym wielce Woryna nie był jeszcze, był jednak dość znanym, a co ważniejsze miał szczęście. Chętnie kupowano u niego obrazy. Dotąd jednak pomimo sprzyjającej dość fortuny, nie miał czasu i cierpliwości urządzić sobie eleganckiej pracowni. Mebli tu nawet nie było, z wyjątkiem kilku krzeseł kulawych i otomany, na której w tej chwili rozpięta na manekinie barwna szata zadziwiała bogactwem barw. Po kątach walało się kilka pędzli, leżały tam jakieś płachty i brudne szmaty, szczątki ram połamanych i płócień zniszczonych. W rogu tylko pokoju zadziwiała widza tajemnicza fantastycznych barw kotara, podobna do porzuconej na kanapie. Zakrywała ona cały kąt pokoju i zacie-

kawiała niepomieranie. Co też tam za nią kryć się mogło? A tało się coś napewno, kotara ta bowiem rozsiewała po całej pracowni jakiś bezwiedny urok zagadki.

Czy służyła ona dla ukrycia jakiegoś posągu, czy obrazu, czy też może była tylko zwykłym przybytkiem skromności moralnej dla wstydlivych modelek, któż zgadnie?... Oczy pracującego Woryny kierowały się często w stronę kotary. Uśmiechał się przytem ironicznie i mruczał coś do siebie.

Nagle kotara drgnęła — ktoś wyraźnie ruszał się za nią — kołysała się rytmicznie. Malarz dojrzał to natychmiast i odezwał się głosem tubalnym:

— No, przecież, otworzyłeś oczy! Vale Kazik! Wstawajże, do diabła! Na świecie południe.

Kazimierz Noryński odezwał się głosem tubalnym:

— Witaj, artysto, Rafaelu, Van-Dycku, Murillu! Chlubo nasza! Witaj!... Spałem przednio. A ty, co robisz?

— Pracuję, kotku. Nie tak, jak ty, próżniaku. Cóż, głodnyś?

— Jak wilk.

— Mityguj zatem apetyt, nie mam ci nic do zaofiarowania. Tu, u mnie warsztat... Pracuję dwie godziny, a ten śpi i śpi. Aż wściekłość mnie porywała. Lecz myślę sobie: gość w dom, Bóg w dom! Niech śpi nieboraczek. I tak wstać nie szybko, jak żołądek głód ściśnie. I prawda.

Obudził cię pewnie gospodarz naszego organizmu. Szkoda tylko, że napróżno. Powiadam ci, musisz, mój Kaziku, iść na ulicę do cukierni, na herbatę, czy kawę. Chciałem szczerze ze stróżką tutejszą na ten temat śniadaniowy coś nie coś urządzić. Nie udało się. Nienawidzi mnie baba, bo tu nie mieszkam i nigdy wieczorem nie przychodzę, ergo nic nie daję. No i cóż ty na to? Podła gościnność u diatwy Apollina...

— Ho, ho, bratku! poradzę ja sobie. Jeśli nie do kawiarni, to pójde do twojej żony na kawkę z kożuszkim.

— Wara! Nie pozwalam! Moja żona śpi w najlepsze.

— Tem lepiej! — roześmiał się pusto Norzyński.

— No, no, bez dowcipów. Rozgniotę cię, farmazoński eleganciku! Ubieraj się żywo, niechże cię ujrzę po wczorajszym epizodzie.

— Jakim znów epizodzie?

— No, z tą twoją piękną nieznajomą, o której mi cały wieczór dziwne opowiadałeś. Powiadam ci, aż mi się spać chciało od tego. Ale słuchałem cię i studjowałem ukradkiem. No, i wiesz, co ci powiem? Zakochany jesteś, jak kot marcowy, mój Kaziku! Nie ma rady, wóz, albo przewóz, żeń się...

Woryna ucichł i słuchał.

Zwykle, gdy mowa była o małżeństwie, serdeczny jego od lat wielu przyjaciół i towarzyszy, śmiał się pusto i dowcipkował na ten te-

mat, ceniąc bardzo wysoko kawalerską swobodę. Tym razem — milczał.

Zdziwiło to Worynę.

— No, i cóż, milczysz, jak ryba? Gadaj, Kaziku, gadaj, rozwesel ducha mego!...

Zamiast odpowiedzi, na tle kotary ukazał się Noryński, ubrany i uczesany. Trzymał w ręku palto, kapelusz i laskę.

— Jak się masz? — uściskał serdecznie dłoń przyjaciela i zapatrzył się w obraz.

— Wspaniałe! — szepnął po chwili. — Masz, Fredziu, talent. Masz go. Byczy pochód.

Przyjaciele umilkli, zapatrzeni.

— Wiesz co? — zawołał Noryński. — Ale ja przecież nie widziałem wcale tych wszystkich obrazów. Czemużeś ich wczoraj nie pokazał?

— Boś o to wcale nie pytał. I wiesz, chłopie, że mi nawet z tego powodu markotno było. Myślę sobie, druh od serca, zawsze się temi malowankami memi interesował. A tu — nic. Jak pień. Chodzi po pracowni, mija ich i ani spojrzy, ani zapyta. Przecież to trud mój, to praca, to ślady wiecznotrwałego tego, co mam w sobie najlepszego i najszlachetniejszego w duszy — ucieleśnienie, widome przejawy odczutego przeze mnie piękna. Tak myślałem w duchu i złorzezyłem ci, bracie! Lecz wkrótce połapałem się, a to ex re jedynego tematu, którym karmiłeś mnie wczoraj w pogawędce naszej. No i cóż? Sniła ci się twoja Beatrycze?...

— Wyobraź sobie, że całą noc. Ale, mój

drogi. Co do twych obrazów i mojej głupoty, przebacz. Mam nadzieję, że nie żywisz do mnie za to urazy żadnej. Prawdą?...

Serdeczny, czuły — Noryński uściśnął przyjaciela, dorzuciwszy jeszcze:

— Przecież nie wątpisz chyba, że nikt ci, tak jak ja, dobrze nie życzy i nikt tak do serca nie bierze ani twego tak częstego powodzenia, ani tak zresztą rzadkich niepowodzeń. Czyż nie mówię prawdy?

— Ależ, naturalnie! — potwierdził żywo Woryna. — Powiadam ci, głupio mi było, żeś się choćby o jeden obrazek nie zapytał, lecz zarazem otworzyły mi się oczy. Femina! Cherchez la femme. No, teraz ci pokażę. Chcesz? czy też po kawce dopiero? Zapomniałem, żeś syty, ty zaś marzysz obecnie o wikcie?

— Cóż znowu! — zaprzeczył żywo Noryński. — Ani myślę o spożywaniu czegokolwiek. Nie głodnym wcale. Czyż to zresztą możliwe, gdy się jest w takim królestwie piękna, jak tutaj. Urządzać musisz chyba wystawę. Co tu obrazów! Toż to dopiero będzie uczta duchowa! No, zaczynaj, bo nie wytrzymam...

— Siadaj, mecenasie sztuki! — odrzekł na to Woryna, wskazując ręką kanapę.

— Uwaga, zaczynam! — zawołał po chwili, ustawiając na sztalugach obraz dużych rozmiarów.

— „Zaulek w Madrycie“ — zatytułował i spojrzał pytająco na przyjaciela.

Pod niepokalanym szafirem nieba, skąpana

cała w potokach słonecznych promieni, dysząca, zda się, żarem rozpalonych kamieni i murów wysokich domów, wiła się między dwoma ich rzędami, daleka cicha uliczka, pusta i martwa o tej upalnej popołudniowej porze.

— Bardzo charakterystyczne! — pochwalił szczerze Noryński po dłuższem przestudjowaniu obrazu okiem czułego na piękno widza.

Woryna rad z pochwały, którą cenił snadź bardzo, zdjął obraz i kolejno ustawiał coraz to inne, jedne piękniejsze od drugich.

Przed oczyma zapatrzonego pobożnie w dzieła Woryna Kazimierza, przesunął się szereg cały widoków z pod nieba Hiszpanji, Włoch, Konstantynopola i północnych wybrzeży Afryki.

Parę udatnych walk byków, kilka charakterystycznych zaułków miast, kilkanaście morskich widoków i sielskich krajobrazów, czarowało kolejno zachwyconego przyjaciela artysty.

Wrażliwy i czuły na przejawy sztuki i chwytający z dziwną intuicją jej wady i zalety, obdarzony od natury wrażliwem bardzo poczuciem piękna, kształconem stale po za tem na muzeach zagranicznych, Noryński był dobrym krytykiem i wcale niezłym znawcą. Posiadał przytem w tym specjalnie zakresie dziwną pamięć szczegółów. Mógł widzieć kolejno, choćby kilkadziesiąt obrazów i pamiętał je doskonale, każdy z osobna, ze wszelkimi ich charakterystycznymi cechami. Obecnie również stało się to samo.

Woryna już skończył pokaz prac, a przed

oczyma Noryńskiego w barwnym kalejdoskopie przesuwwały się jeszcze, wywołane twórczą mocą przyjaciela, obrazy karawan i beduinów, wizerunki piramid egipskich i wybrzeży Nilu, piękne samotne niewolnice w serajach, wewnątrz dziwne muzułmańskich meczetów, ciche, pełne uroku konstantynopolitańskie mogiły i cmentarze, sceny barwne z życia włoskiego i krainy torreadorów.

W końcu zaś manili jego spojrzenie krajobrazy swojskie, wabiły wdziękiem wybrzeża jezior, skapane w mgłach jutrzeńki i w łunach zachodu, porywały tęsknotą dziwną nocne ciche, rozświetlone od promieni miesiąca, radowały wrzące pracą, rojne sceny z życia ludu wiejskiego przy odpoczynku i pracy, Noryński rósł w zachwycie.

A gdy na zakończenie Woryna postawił jeszcze na sztalugach autoportret, gdy na Noryńskiego z ram obrazu spojrzały dobre oczy przyjaciela i twarz jego szczerą z pod ronda szerokiego kapelusza, zerwał się z kanapy i uściskał malarza, zawoławszy głośno, z entuzjazmem:

— Eviva! l'arte!... Fredziu, głowa do góry! Zdobędziesz laury i nagrody. Co więcej, sprzedasz pewnie wszystkie obrazy, co do jednego. Bajecznie ci się udała ta wystawa in spe. Jestem wprost oczarowany.

Woryna uszczęśliwiony i uśmiechnięty uściskał z kolei serdecznie przyjaciela. Niezmiernie w duszy był rad z tej oceny Noryńskiego, nie zawiódł się bowiem dotychczas na nim nigdy:

Głos przyjaciela, była to opinia przeciętnego ogółu widzów z publiczności, a częstokroć i sąd fachowy krytyki.

Weselej mu się zrobiło na duszy. Począł z kolei żartować i gawędzić.

Trwało tak z dobrą godzinę, zanim dwaj przyjaciele rozeszli się każdy w swoją stronę. Woryna do żony, Noryński na śniadanie.

Posiliwszy się, Kazimierz podążył natychmiast do pierwszego w mieście ogrodnika. Z pięknym bukietem sezonowych jesiennych kwiatów, gustownie ułożonym, zjawił się niebawem Noryński u szwajcara hotelu „Royal“.

Nie zawiódł się w oczekiwaniach. Renia Uszańska w istocie posłuchała jego rady i zajmowała tam pokoik.

Ku wielkiemu jednak zdziwieniu Noryńskiego, pomimo względnie wczesnej pory, już jej nie było. Po chwili namysłu, Noryński kazał otworzyć sobie pokój nieobecnej i zanieść tam kwiaty z biletem wizytowym. Przez delikatność nie wszedł do pokoiku, ciekawem tylko spojrzeniem objął wnętrze siedziby, tak dziwnie sercu już mu bliskiej Reni Uszańskiej.

Gdy ujrzał kwiaty na stole, odetchnął z ulgą i wyszedł z hotelu.

Znikł niebawem wśród tłumów wielkiego miasta, spiesząc za swemi sprawami i piastując w duszy skrytą nadzieję, że w barwnej fali publiczności znajdzie może gdzieś Renię.

XI.

W czasie, gdy porzucony pęk świeżego kwiecia czekał cierpliwie na stole przeznaczenia, by widokiem swym sprawić miłą niespodziankę Reni, ona tymczasem gorączkowo uwiąjała się już od rana po mieście, szukając krewnych matki.

Po długiem poszukiwaniu, zdobywszy adresy w ratuszu, wyrwała się nareszcie z dusznej sali i biegła, ufna, do pierwszej z brzegu niezna-nej ciotki, szukać poparcia i protekcji.

Niestety, los widocznie uwziął się dziś na nią. Z pięciu otrzymanych w biurze adresów, cztery zawiodły. Wujowie i ciotki, kuzynowie i kuzynki, wszyscy byli nieobecni, - upalne lato przepędziło ich z murów miasta i trzymało dotąd jednych po wsiach i letniskach, innych za- granicą.

Piąty tylko z kolei, krewny matki Reni, me- cenas Rwaćki, zamożny, wpływowy i znany ba- wił w mieście. Znużona wędrówką po różnego rodzaju ulicach i piętrach, Renia skinęła na do- różkę i wieść się kazała pod wskazanym adre- sem.

Gdy drzwi jednak wspaniałego apartamentu otworzył jej lokaj, dowiedziała się, iż pan jego przyjmuje wszystkich po południu. Zostawiwszy bilet wizytowy i zapowiedziawszy bytność tegoż dnia o oznaczonej godzinie, Renia zmęczona i zniechęcona, wróciła do hotelu.

Nie zdziałała nic jeszcze, nie pchnęła spraw, tyjących się tego niepewnego jutra ani o krok naprzód. Widok bukietu u siebie w pokoju od progu już zdziwił ją niezmiernie. Kochała kwiaty. Uśmiechnęła się i zarumieniona przeczytała bilet. Były na nim nakreślone te tylko wyrazy: „Dzień dobry! Przyjaciół i sługa Kazimierz Noryński“.

Renia ze wzruszenia upuściła bilet na posadzkę i schwyciwszy oburącz bukiet, przytuliła go do twarzy, jakby ukryć w nim pragnąc rumieniec coraz gorętszy, coraz większy, który obejmował płomieniem dotknięciem szyję jej, twarz i czoło...

Kwiaty nie pachnęły, lecz pieściły, zda się, dotknięciem, pieściły wspomnieniem nowopoznanego przyjaciela.

Obraz pięknego chłopca stanął przed oczyma Reni, pociągający i tak dziwnie sercu jej już miły. Myślała o nieobecny od wczoraj bezustannie. Wdzięk jego ogarniający, natrętny i tak bardzo pieszczotliwy i jakby wprost obezwładniający, połączony z entuzjazmem młodzieńczym, z zapalem i wiarą w jutro, a nadewszystko może z tem pięknem fizycznym, tak doskonałem w wykończeniu i prostocie, — działał na

Renię obecnie, z równą prawie siłą, jak tam, w samotnym przedziale pędzącego pociągu.

I ona śniła o Noryńskim, marzyła od wczoraj, nawet dziś niedawno, wśród bezbarwnej wędrówki po mieście. Jakaś dziwna potęga brała w posiadanie młode i piękne dziewczę! Na progu nowego życia obalała ją, chwytając w słodkie, aksamitne szpony.

Miłość prawdziwa, żywiołowa, młoda, a nie jej słabe, nikłe odbicie i złudzenie, któremu się poddawała, wierząc, że kocha Żyleńskiego — brała ją w posiadanie wszechwładne. Nie wiedziała jeszcze, co jej jest, nie mogła zanalizować uczucia, co zagnieździło się podstępnie w jej sercu, co zapalało skrycie jej krew młodą i zwycięsko podniecało wyobraźnię.

. Swawolny uśmiech zagościł znowu z kolei na ustach Reni. Przypomniła sobie zechcenie puste wczorajszego ranka i zaśmiała się, jak wczoraj, tylko całkiem głośno, srebrzyście i dziwnie razem wyzywająco i zalotnie.

— Może dziś znowu przyjdzie? — przemknęło jej przez głowę i poczęła się krzątać po pokoju, czyniąc porządek.

mierz Noryński zdala od niej błakał się po ulicy

Renia nie myliła się w przeczuciach. Kazi i miejsca sobie znaleźć nie mógł.

Psuty przez kobiety, kochał się już w życiu niezliczoną ilość razy. Czy kochał się prawdziwie choć raz jeden, nie umiałby może nawet w tej chwili odpowiedzieć. To, co czuł obecnie względem Reni, było bardzo żywiołowe i silnem,

Z tego zdawał sobie doskonale sprawę. Poprostu owładnęła nim szalona i niepohamowana namiętność do pięknej dziewczyny, połączona z bezgranicznem uwielbieniem dla fizycznego piękna i zalet duchowych, w które ubierał ją w wyobraźni, jak wiosna ubiera ziemię w zieleń i kwiaty.

Noryński od lat kilku prowadził życie tułaczę, bezdomne w znaczeniu stałego gdzieśkolwiekbytu.

Straciwszy najbliższą rodzinę, po ukończeniu szkół, wziął się do zarobkowej pracy, która jednak szła mu niesporo.

Bujny temperament, miłości, lekkomyślność i usposobienie gwałtowne, zmienna, rogata jego dusza — psuły mu równowagę codziennej walki o byt i wysuwały z rąk zarobek. Miał jednak, dotąd przynajmniej, szczęście. Zatonawszy, wypływał.

Życie to całe jednak obrzydło mu już na dobre. Tęsknił za spokojniejszym bytem, za ogniskiem rodzinnem, za jego ciepłem, czarem i wdziękiem.

Rodzice odumarli młodo Kazimierza, straciwszy mienie; krewnych bliskich nie miał, kształcił się ze stypendjum w kraju, później za granicą. O ożenku zaś myśleć na serjo nie mógł. A to z kilku powodów: nigdzie stałego miejsca nie zagrzał, zdobywał wogóle serca i kobiety zbyt łatwo i szybko, nowe zdobycze zaś stałe zacierały wspomnienia dawniejsze.

Niemniej atoli Noryński nie przestawał nigdy myśleć o tak zwanej żonie.

Czuł tylko, iż nigdy nie byłby mógł poślubić kobiety niekochanej, lecz zasobnej w grosze. Od wczoraj zaś działo się z nim wprost coś niepojętego.

Z osobą Reni mianowicie łączyć się począł w jego duszy zamiar dziwnie natarczywy i uparty. Jeśliby go zechciała — poślubiłby ją po prostu. To, o czem marzył częstokroć — ucieleśniać się zaczynało w jego wyobraźni. Trochę tylko energii, stanowczości, czynu i kto wie, może szczęście oto schwytać mu się uda?

Noryński nie radził się nigdy nikogo. Ambitny, dumny, bardzo inteligentny, zarozumiały, zwykł był w życiu polegać tylko na własnym rozumie. Stało się podobnie i tym razem. Pomyśl szalony zrodził się i krystalizował samodzielnie w jego duszy. Niezdecydowany jeszcze, ale wzburzony i dziwnie podniecony, stanął wkrótce Noryński w progu pokoiku Reni i kłaniając się nisko, pytał z uśmiechem:

— Czy można zakłócić spokój pani?

— Ależ proszę! — zaśmiała się Renia i życzliwie, ufnie, z radością wyciągnęła ku niemu rączkę.

Noryński uściął ją serdecznie i usiadł naprzeciwko Reni.

Pomiędzy nimi, na małym stoliku stały kwiaty w dużym szklanym dzbanie, napelnionym wodą.

— Dziękuję bardzo panu za śliczny bukiet —

zaczęła swobodnie rozmowę Renia. — Sprawiał mi on wielką przyjemność. Ogromnie lubię kwiaty — dokończyła, zarumieniwszy się lekko. — Przytem osłodziły mi wdziękiem swym niepowodzenia dzisiejszego ranka. Niech pan sobie wyobrazi, że z wszystkich moich krewnych, na których poparcie tak liczyłam, niema w Warszawie nikogo. Naturalnie, że pamięć pańska była mi bardzo miła! — dokończyła Renia z czarownym uśmiechem i życzliwem skinieniem głowy w stronę Noryńskiego.

Ten odparł żywo z widocznem zadowoleniem:

— I przyznać muszę, że odruch ten u mnie był całkiem naturalnym. Niema pani wyobrażenia nawet, jak też pani jest łatwą w obejściu z ludźmi. Może pani nawet sama sobie z tego nie zdaje sprawy. Widziałem wczoraj panią po raz pierwszy, a zdaje mi się, że od tej chwili upłynęły już lata całe, że znamy się dawno, od dzieciństwa może.

Renia za całą odpowiedź roześmiała się szczerze.

— Bardzo mi miło, że tak jest, a nie inaczej. Ale i z panem mam wrażenie, że i inni zaznajamiają się szybko, a może z przyjaźnią. Czy zgadłam?

— Wie pani, że tak, wielokrotnie miałem sposobność przekonania się o tem. Ale mówmy o pani. Więc spotkało panią niepowodzenie?

— To jest niezupełnie może. Jeden z krew-

nych mojej matki, mecenas Rwański — urwała i zapytała nagle: — Słyszał może pan o nim?

— Ależ naturalnie! Też przecie jeden z luminarzy palestry tutejszej, przytem człowiek czynny bardzo, wszędzie go pełno, przy wszystkich wybitniejszych w kraju zabiegach, czy to w polityce, czy w sprawach społecznych, czy sztuce. Więc cóż mecenas Rwański?

— Jest w Warszawie. Przyjmuje o piątej i zapowiedziałam mu przez lokaja moją bytność.

— To bardzo dobrze, ale nie wiem, czy on na coś się przyda. Zanadto wielki. A wielcy ludzie do małych spraw są zwykle do niczego. Zresztą, nie przesadzam, może się mylę. Bo co do mnie, widzi pani, wywalczyłem sobie wszystko sam w życiu, albo za pomocą przyjaciół, a nigdy krewnych. Ludzie a krewni — to dwa całkiem odmienne gatunki osobników. Pani by raczej potrzebowała mieć w życiu życzliwego, prawdziwego przyjaciela, lub przyjaciółkę. Nie posiada ich pani?

— Niestety, wcale.

— To źle, a co już najgorzej, że pani jest osamotniona na świecie, bez opieki, bez najbliższych. To tak trochę, jak ja.

Tu Noryński westchnął i mówił dalej:

— A to, wie pani, niedobrze. Brak domowego ogniska, rodziny najbliższej po pewnym czasie bardzo dokuczy. Jeszcze za mało żyła może pani o własnych siłach sama, by móc wreszcie sądzić o tem. Ale ja? Ho, ho! Miałbym wiele

na ten temat do opowiedzenia. Tylko milczeć wolę, by nie bardzo zniechęcać pani do życia.

Noryński znów umilkł. Renia patrzyła na niego ze współczuciem i milczała również, oniesmielona i zmieszana nieco tem wstępem, jakby przeczuwając, że dalsze słowa tego dziwnego człowieka będą niespodziane, a może bardzo dla niej ważne.

Noryński zaś spoważniał bezwiednie również i podniósł na Renię piękne, pociągające i marzące spojrzenie, popatrzył na nią głęboko prosto w oczy.

Renia drgnęła i zarumieniła się, od wzruszenia, wargi zadrgały jej lekko. W spojrzeniu bowiem Noryńskiego była siła jakaś magnetyczna, która łącznie z męską jego i wytworną pięknnością działały, niby upajający duszę i zmysły narkotyk. W oczach Kazimierza wreszcie było więcej jeszcze.

Renia instynktownie odgadła w nich głębie uczucia, miłość piękną, wymarzoną, czarowną, tą samą, co ujarzmiła ją od wczoraj, za której rozkazem i wolą lgnęła tak dziwnie do tego człowieka.

Mieniła się cała, opanować się nie mogąc, rumieniła się i bladła, na przemian. Utkwione w nią źrenice męskie ślizgały się po niej całej, pieściły, całowały, pragnęły i kochały.

Noryński wreszcie spuścił oczy i przysunął się nieznacznie do Reni. Wargi mu również zadrgały lekko i głos miał niepewny, gdy przemówił w te słowa:

— Pani! Słowa, które wypowiem, uprzedzić z góry muszę, wydać się mogą dziwnymi, natarczywymi, śmiałymi nad miarę, mogą obrazić nawet panią. Czy ja wiem?

Kazimierz zatrzymał się chwilę i odzyskał nagle równowagę, śmiałość, wyzbył się pierwotnego zmieszania. Podniósł oczy i ogarnął znów Renię płomiennem i rozkochanem spojrzeniem.

— Ale muszę słowa te wypowiedzieć! — mówił dalej. — Gdybym bowiem nawet dziś milczał, siła, co mnie tu przywiodła, kazałaby mi powrócić!...

Noryński zatrzymał się znowu. Renia milczała, a serce kołatało się w jej piersi zalekniotne, wzruszone, biedne...

— Czy pani kochała kiedy? — spytał nagle Kazimierz dziwnie miękko, lecz stanowczo zarazem.

Renia struchlała w duszy i zapłoniła się gwałtownie. Odparła niedosłyszalnie cicho:

— Prawdziwie dotąd nigdy.

— W takim razie — podjął żywo Noryński — nie wie nawet pani może i nie rozumie, do jakich szaleństw miłość prawdziwa doprowadzić może, jak łamać zwykłą wszelkie zapory, przeszkody, jak bardzo one dla niej są małe, jak karleją przesady kastowe, konwenanse światowe, zwyczaje i obyczaje ludzkie. Ona zmoże wszystko i zlekceważy, by tylko dopiąć celu. Przed niczem się nie cofnie, by otworzyć sobie wrota wymarzonego szczęścia.

Oczy Noryńskiego zapłonęły nagle jakimś

wprost nieprawdopodobnym, natchnionym i fantastycznym blaskiem. Był w tej chwili porywająco pięknym.

Renia wpatrzona w niego, jak w obraz, zawisła, zda się, cała na jego ustach. A on wybuchnął nagle, jakby powstrzymać się dłużej nie mogąc:

— Kocham panią! Kocham bez pamięci od wczoraj, od chwili poznania! Nie mogę dłużej zataić tego... Marzę już dawno o idealnej towarzysze życia, któraby zapełnić chciała pustkę moralną, którą otacza mnie życie. Otóż wiem i czuję, że pani jest tą wybraną. Proszę i błagam, nie zrażaj mnie pani! Rozumiem, iż jestem jej nieznany. Gotów jestem przed panią wypowiadać się, gdy tylko pani zechce, z całego życia mego, z najtajniejszych myśli i czynów. Wiem nawet, że i to pani może nie wystarczy... Wszak nie zna mnie pani wcale. Dać poznać się muszę. Błagam więc o to jedno. Zechciej pani nie odtrącać życzliwego przyjaciela od siebie. Później mi pani stanowczo odpowie. Teraz słyszeć nie chcę o niczem. No, cóż, czy zgadza się pani? Proszę podać mi rączkę na znak, że wysłuchanym zostanę.

I Noryński, zerwawszy się, pochwycił dłoń dziewczęcia, i zanim spostrzedz się mogła, przycisnął ją do rozpalonych ust.

— Czy zgoda? — szeptał teraz cicho, tonąc zachwyconym wzrokiem w jej zapłonionej twarzy, czując, jak drży cała.

— Czy polubi mnie pani nawzajem, choć tro-

chę? Więc nie odtrąci mnie pani? Przychodzić mogę i starać się o przyjaźń?... Czy zgoda? — nalegał coraz namiętniejszym i natarczywszym szeptem.

Reni tymczasem brakło tchu w piersiach. Płomienie przebiegały po jej całym ciele. O, jakżeby pragnęła rzucić się w tej chwili w te męskie ramiona, które utuliłyby ją samą i bezdomną. Jakżeby pragnęła usta przy ustach szeptać temu ślicznemu chłopcu słowo „kocham“ i dać się później całować, całować!... Nie żądał jednak tego, nie chciał, nie pragnął, czy nie śmiał?... Żądał przyjaźni tymczasem. O, jakże był cierpliwym!...

Lecz niech i tak będzie! Obdarzy go tem, czego pragnie. Przyszłość wreszcie wyjaśni wszystko. Zrozumie on, że go kocha i że opierać się jego miłości nie będzie. Stanie się jego towarzyszką dożgonną, wierną, czułą, jedyną. Boże! jakże go już bardzo kocha!...

Wszystkie te myśli przebiegają chaotycznie przez umysł Reni. Przy myśli ostatniej, podnosi na Noryńskiego cudne oczy, promienne uczuciem i ogarnia niemi miło postać ukochanego już mężczyzny.

Zapanowawszy nad sobą, mówi cicho, lecz wyraźnie:

— Za wzbudzone uczucie wdzięczną panu jestem i zaofiaruję mu z chęcią to, czego pan żadasz na razie. Bądźmy przyjaciółmi! — kończy Renia i zapłoniona, wzruszona podaje towarzy-

szowi drugą rękę, którą on natychmiast ujmując i do ust przyciska.

Stoją tak bez słowa długą chwilę.

Nagle, panujące wokoło milczenie przerywa znienacka trzykrotne pukanie.

Noryński nerwowym ruchem wypuszcza szybko dłoń Reni i zbliża się machinalnie do okna, ona zaś, poprawiając włosy, ze spuszczo-
nym wzrokiem mówi głośno:

— Proszę...

Na progu staje sługa hotelowy i oznajmia:

— Przed windą czeka pan mecenas Rwacki i pyta, czy wielmożna pani pozwala mu złożyć wizytę?

— Powiedzcie, że proszę — mówi spokojnie Renia.

Noryński sięga odruchowo po kapelusz i pyta:

— Jutro będę o tej samej porze, czy wolno?

— Po tem, co zaszło pomiędzy nami, czyż pytać się pan potrzebuje? — odpowiada Renia z czarownym uśmiechem i podaje rękę.

Kazimierz całuje ją ukradkiem i znika.

Nastaje chwila zupełnej ciszy. Renia spuszcza oczy i zamyśla się głęboko... I nie słyszy niebawem pukania, nie widzi, jak uchylają się drzwi zlekka. Budzi ją dopiero głos męski:

— Rwacki jestem! — przedstawia się jej mężczyzna lat około pięćdziesięciu.

Renia na powitanie wyciąga rękę, którą przybysz ściska lekko, oglądając ciekawie przytem całą jej postać.

W oczach odbija mu się wyraz zachwytu i mówić zaraz zaczyna głosem prędkim, dobitnym i potoczystym:

— Miło mi niezmiernie poznać córkę Niuni... Matka pani była jedną z tych moich licznych kuzynek, którą za młodu lubiłem niezmiernie. Przyjaźniliśmy się potroszę, kochaliśmy się pono. Bardzo była miła i wszyscyśmy ją ogromnie kochali. Tak, pamiętam doskonale. Później, gdy poślubiła ojca pani, drogi nasze rozeszły się w dwie biegunowo przeciwne strony.

Przy tych słowach gość zatrzymuje się chwilę, chrząka i mówi dalej, w tym samym tonie:

— Dziś, gdy zobaczyłem u siebie bilet wizytowy pani, ucieszyłem się poprostu. Fala dawnych wspomnień przypłynęła do serca, do duszy. Postanowiłem sam pierwszy pójść do pani, tembardziej, że dzisiaj wyjechać muszę i to niebawem już, bo za godzinę. Do żony i dzieci — objaśniał. — Są pod Warszawą: w Konstancinie mamy wille. Co tydzień spędzam tam niedzielę. Dziś sobota. Gdyby pani była przyszła do mnie o piątej, jużby mnie nie było. Pragnąłem zaś niezmiernie poznać nową siostrzeniczkę! — tu ukłonił się z uśmiechem.

— Obecnie zaś zapytać się jeszcze chciałem, czy nie miała pani czasem do mnie jakiego interesu? Usłużę, z ochotą i przyjemnością, radą, fatygą, czem kuzyneczka tylko każe?

Z uśmiechem spojrzał na Renię pytająco...

Ta słuchała go z uwagą i przez czas cały obserwowowała go ciekawie. Podobał jej się coraz

więcej nowoznaleziony w Warszawie wujaszek. Najprzód zdobył ją wyglądem zewnętrznym. Z piękną siwiejącą już brodą, utrzymaną starannie, miał twarz i ruchy młodzieńcze jeszcze i żywe, postać i obejście salonowe i bardzo rozumne ładne oczy. Chwytały one w lot, zda się, wszystko, niczego nie przeoczyły, wszystko pojmowały, przeczuwały, zgadywały i pogłębiały.

Renia więc, usposobiona przychylnie, wyciągnęła doń rączkę, z ujmującym wdziękiem i rzekła zarumieniona:

— Rzeczywiście, miałam do pana pewną sprawę... Ale przede wszystkim pragnęłam poznać krewnego mamy, którą tak bardzo kochałam!... Słyszałam przytem o panu z ust matki tyle pochwał... Choć zdala, interesowała się ona bezustannie pańską karierą, jego życiem, tak czynnem i owocnem, a oddaniem krajowi i bliżnim. I ja również niezmiernie rada jestem, że poznałam nowego wujaszka — uśmiechnęła się.

— A co do sprawy mej, opowiem ją zaraz ze szczegółami.

— Ależ, proszę bardzo! Słucham z uwagą! — rzekł uprzejmie mecenas Rwałcki, uściskawszy przyjaźnie podaną dłoń.

Usiedli oboje i Renia poczęła opowiadać z żywością cel przybycia do Warszawy.

Opowiadała w streszczeniu życie z ostatnich lat kilku, w końcu naponiknęła o chęci znalezienia posady i braku protekcji.

Rwałcki, w zamyśleniu nie przerywał jej ani jednym słowem. Umiał on zarówno dobrze długo

mówić, jak i słuchać cierpliwie. Gdy skończyła, milczał jeszcze chwilę, zanim zapytał z uśmiechem:

— Powiedziałaś mi pani, zdaje się, wszystko. Za szczerość i zaufanie dziękuję. Ale pozwoli kuzyneczka zadać sobie niedyskretne pytanie. Czy nie starał się nikt dotąd o rękę kuzynki? Czy w jej życiu przeszłym nie było ani razu mowy o małżeństwie?...

Renia spłonęła rumieńcem i zawahała się dłuższą chwilę.

Wreszcie podniosła na gościa z ufnością oczy, promienne jeszcze wbrew jej woli, wzruszone i rozmarzone po bytności tak niedawnej Noryńskiego.

— Owszem! — rzekła poważnie. — Ale tylko dwa razy.

— Tylko! — zaśmiał się Rwałki. — Ależ to dosyć! Wszak kuzynka tak młoda. Ile wiosen liczy sobie kuzyneczka?

— Dziewiętnaście tylko! — zaśmiała się figlarnie Renia. — Dużo czy mało?

— Mało! — zaśmiał się z kolei Rwałki. — Ale wracajmy do spraw nas obchodzących. Czy spytać jeszcze wolno, kto był tym odtrąconym niešťczęśliwcem?

Renia spuściła oczy i spłonęła gorącym rumieńcem. Nie spodziewała się tych pytań, krępowwały ją i onieśmiewały. Wreszcie, zdobywszy się na odwagę, w krótkich słowach opowiedziała wszystko. O Kazimierzu Noryńskim jednak wspomniała tylko ogólnikowo, pobieżnie, bez wy-

mienienia nazwiska, zmieszała się przytem, zapłoniła, jak róża i po wypowiedzeniu zdań kilku, urwała, spuściwszy oczy, zalekniona i zła na siebie w duchu.

Rwacki słuchał ciekawie opowieści Reni, śledząc grę uczuć, wrażeń i myśli, odbijających się plastycznie dla jego oczu, na wyrazistej twarzy dziewczęcia. Gdy skończyła, rzekł zwolna:

— Dziękuję powtórnie za szczerość. Co do pana Żyleńskiego, nie śmiem nic przesądzać. Nie znam go wcale. Słyszałem tylko o nim, że porządny człowiek i bardzo zamożny. Co się tyczy jednak tego innego, starającego się o rączkę kuzynki, sądę jakoś i przeczuwam, że ma u niej większe widoki powodzenia od pierwszego. Czy zgadłem?

Renia, odzyskawszy już panowanie nad sobą, podniosła śmiało oczy i rzekła z uśmiechem:

— Może...

— Czy to człowiek również zamożny i z tej samej sfery, co Żyleński?

— O, wcale! — zaprzeczyła żywo Renia. — Nie ma nic z tamtym wspólnego. Piękny za to, młody i bardzo, niezmiernie miły. Wszystko winien samemu sobie, pracuje na byt.

Rwacki spoważniał na te słowa i zastanowił się chwilę. Z zapału Reni odgadł kielkującą miłość. Rzekł po chwili:

— Co za pochwały — pozazdrościć można. Szkoda jednak, że nic nie ma. Życie bez pieniędzy nigdy różami usłanem nie bywa. Choć z

innej strony, biorąc rzecz ściśle w sposób oderwany, w złoconych klatkach szczęście rzadko także gości. Lecz przestańmy mówić o tem. Nie wiem sam dlaczego, ale w myślach ciągle swatam już kuzynkę z tym drugim, otaczanym tak wielką tajemnicą. Czy jest może w Warszawie?

— O, za wiele ciekawości! — szczerze zupełnie zaśmiała się tym razem Renia. — Nic już nie powiem.

— No, wola kuzynki. Lecz proszę nareszcie zmienić ze mną etykietałne pan. Czy zgoda?

— Dobrze — uśmiechnęła się Renia. Lecz jakże mam mówić? Wuju, czy kuzynie? — spojrzała figlarnie i dorzuciła: — Nie, stanowczo kuzyn, na wuja, jakoś mi za mało poważny.

Rwacki uśmiechnął się, rad, że oswoić już potrafił Renię. Rozmowa potoczyła się swobodniejsza i żywsza.

Nagle, spojrzawszy na zegarek, pan mecenas powstał i podał rękę Reni.

— Zasiedziałem się u kuzyneczki — rzekł — pora mi wracać. Zdamę wpaść do domu po rzeczy i jazda na kolej. Na zakończenie jednak rozmowy naszej, jako jej streszczenie, powiedzieć muszę jeszcze słów parę.

— Otóż, mojem zdaniem, kuzyneczka powinna koniecznie wziąć corychlej posadę. Ja, jeśli będę mógł, dopomogę z miłą chęcią. Po za skromnem kołem znajomych i zakresem stosunków moich, kuzynka znajdzie i inne.

Rodzina jej ojca skoligacona jest z wieloma domami wpływowemi tu w Warszawie. Usza-

Uszańscy zresztą są znani w kraju całym — rodzina można, tylko, że już ich tak bardzo niewiele. Po za tem dziś wieje prąd nowy, ożywczy, kobieta młoda, ufna w swe siły, garnąca się do pracy i pragnąca zdobyć miejsce kobieczo-człowieka, spotyka we wszystkich kołach u nas sympatię. Ale jedno zastrzeżenie, póki będzie sama. Małżeństwo niewłaściwe wykoleja ją tylko, utrudnia byt i wyrzuca, że tak powiem, po za nawias, przekazując lwią część wszystkiego — mężczyźnie.

— No, ale nie chcę kuzynki zasmucać przedwcześnie. Sam wreszcie ożeniłem się bez majątku i to wszystko, co dziś posiadam, sobie i dobrym ludziom zawdzięczam. Życzę więc powodzenia i żegnam! Na wszelki zaś wypadek, zostawiam kuzyneczce mój adres wiejski.

Rwacki wręczył Reni bilet wizytowy, ucałował rączkę i znikł za drzwiami.

Renia stanęła w oknie zamyślona. Na dworze promieniał piękny, jesienny dzień.

Na pustym placu było dość cicho. Milczenie przerwał tętent i zgłuszony turkot parokonnej drożki, którą odjechał Rwacki.

Dziewczę analizowało w myśli wrażenia ubiegłego dnia.

Renia czuła w sobie jakiś spokój dziwny, jakąś cichość i wielkie zadowolenie. Przeczucie mówiło jej, że dzień dzisiejszy był przełomowym w jej życiu, że na wpół już prawie zdecydowała się jej przyszłość. Piękna twarz Noryńskiego i

cudne zakochane jego oczy zamajaczyły przed jej wzrokiem.

Rzuciła się na kanapkę. Ciche i słodkie marzenia opłotły ją przedzą złudzeń, wspomnień słodkich i mamiących nadziei. Promienie słońca ślizgały się po sprzętach i ścianach, łagodnie muskały włosy Reni i pieszczotliwie gładziły dotykem zręczne jej młode kształty.

Renia przymknęła oczy. Zdało jej się w tej chwili, że oto u stóp klęczy piękny Kazimierz Noryński i szepcząc słodkie słówka, pochyla się nad nią coraz bardziej i już, już wargami dotyka ust jej świeżych.

Renia uśmiecha się z wyrazem nieograniczonego szczęścia i z przymkniętymi powiekami, wywołując złudne w wyobraźni obrazy przyszłości, może już bardzo bliskiej, śni dalej na jawie i marzy, roi bez końca.

XII.

Życie pełne czaru i wiosny uczucia rozpoczęło się dla Reni Uszańskiej. Widywała Noryńskiego codziennie. Przychodził regularnie o tej samej godzinie, otaczał ją dyskretną opieką, spełniał wszystkie jej zachcenia, a nieraz kaprysy, usuwał jej z drogi wszelkie drobne życiowe kłopoty, gawędził bez końca i zakochany, patrzył jej ciągle w oczy z uwielbieniem, podziwiał i kochał... Renia zaś kochała go również coraz bardziej, silniej i goręcej.

Przyszła wreszcie przełomowa chwila w jej uczuciu. Gdyby wówczas Noryński zażądał od niej rzeczy najniemożliwszych, starałaby się za-
dość mu uczynić we wszystkim. Z całym znan-
stwem duszy kobiecej, chwilę tę wyczuł Noryń-
ski, lecz nie skorzystał z niej podstępnie i lekko-
myślnie.

Głębokie snadź w duszy jego zapuściła ko-
rzenie miłość dla dziewczęcia, czystsza i
wznioślejsza od innych w życiu jego miłostek,
a może poprostu nieprzeparta chęć założenia ro-
dziny i posiadania własnego domowego ogniska,
wyparły w nim wszelkie inne poziome pragnie-
nia,

Oświadczył się Reni. W słowach, tym razem niewyszukanych, lecz rzeczywiście prosto z serca szczerze idących, płomiennych miłością i błagalnych niemal pokorą, by nie odtrąciła samotnika i bezdomnego sieroty, rzucił piękny chłopak pod nogi Reni Uszańskiej perły swej duszy, dumnej i niezależnej, bogatej, szlachetnej i zmiennej.

I wieczoru tego, w ciszy jesiennego mroku, co siał się nad miastem miękki i pieszczotliwy, zabrzmiało po raz pierwszy w ścianach małego pokoiku Reni wyznanie miłości, niekrępowane niczem, śmiałe i wolne — zabrzmiały bosko w uszach dziewczęcia słowa:

— Kocham cię! A ty? Czy kochasz? Czy chcesz być moją na zawsze?

— Kocham cię! kocham! — odparła cichutko zwyciężona, bezsilna, zarzuciła ramiona na szyję Noryńskiego, który przytulił ją, ujął w ramiona i po raz pierwszy w płomiennym pocałunku zawrotnym przywarł ustami do jej warg bladych, rozpalonych i drżących.

Od tej chwili pieścili się bez przymusu coraz częściej i mówili coraz poważniej o wspólnej przyszłości.

Noryński brał z góry wszystkie trudności i koszty na siebie samego.

Dzięki Worynie, który z hojnością nie liczącego się z groszem artysty — pożyczył przyjacielowi sporą sumkę pieniędzy, Noryński mógł ślub przyspieszyć.

Zdecydowano się szybko i już szła z ambo-ny druga zapowiedź. Od Reni Kazimierz przyjąć

nie nie chciał. Zabronił nawet wydać reszty zaszczędzonych pieniędzy na wyprawę i sam ją pewnego dnia przysłał narzeczonej, a gdy mu to wymawiała, urażona nieco tem nieliczeniem się zupełnie z przyjętymi powszechnie zwyczajami, z tak wielkim żalem i tak miło, oraz serdecznie ją ją przepraszać i błagać niemal o przyjęcie tego daru, że rada nierada uledez musiała i w pocałunkach zawrzeć zgodę.

Na przejrzystem jednak niebie, promiennem szczęścia Reni, ukazała się niebawem chmurka. Był nim list mecenasa R'wackiego. Gdy tylko Renia przyjęła oświadczyzny Noryńskiego, natychmiast napisała do nowopoznanego wujaszka list, pełny wiary i ufności w przyszłość.

W odpowiedzi otrzymała pismo dość chłodne, a w nim następujące słowa:

„Aczkolwiek przykro mi bardzo — pisał R'wacki — obowiązek jednak każe mi być vis-à-vis kuzynki zupełnie szczerym. Otóż wybór jej pana Kazimierza Noryńskiego na męża zasmucił mnie poprostu i rozgniewał nawet. Szkoda, że kuzynka zaraz nie wymieniła mi nazwiska. O panu Noryńskim bowiem, nie znając go osobiście, słyszę bezustannie od lat kilku. Pracował u paru mych dobrych znajomych. Choć piękny i ulubieniec pono kobiet (aż nadto), wśród mężczyzn, a głównie ludzi pracy, opinię ma nieszczególną. Miły ma być bardzo w obejściu i tem zjednywa sobie ludzi na pierwszy rzut oka. W gruncie rzeczy jednak, wad różnego rodzaju ma bardzo wiele. Nigdzie posady utrzymać długo nie po-

trafi. Chociaż bardzo pono zdolny. Innych rzeczy zasłyszanych nie powtarzam, bo nie pochodzą od ludzi dobrze mi znanych, lecz za ogólną powyższą charakterystykę ręczyć poniekąd mogę, bo uważam tych, co mi to mówili, za ludzi wiarygodnych. Przytem, dodać winienem szczegół, tyżący się wyłącznie kuzynki, jako Usza-Uszańskiej. Położenie to jest odmienne z natury rzeczy od stanowiska kobiet innych. Wpływowi i możni, zamieszkali w Warszawie, krewni Usza-Uszańskich, wspomogliby i protekcją pchnęliby niewątpliwie kuzynkę na szerszą arenę życia. Otóż do końca szczerym być muszę. Szlachectwo pana Noryńskiego nie istnieje wcale. Co uczyniliby hr. Liwscy, Lyrońscy, Onieccy i inni krewni bliżsi i dalsi dla Uszańskiej, nie wiem — znając psychologję tych sfer — czy zechcą uczynić dla pani Noryńskiej i przyznać się do nowego i nieoczekiwanego kuzyna, a jej męża...

W tem miejscu Renia zmieła list gniewnie i podarłszy go, wyrzuciła przez okno, nie doczytawszy do końca.

— Co obchodzić mnie mogą wszystkie te względy i względziki! — wybuchnęła głośno. — Ja kocham Kazimierza i wszystko mi jedno. Po-dły świat!

I Renia, siadłszy do biurka, odpisała z miejsca list zwięzły, stanowczy, suchy i prawie niegrzeczny do wuja Rwałkiego, myśląc w duchu, iż po otrzymaniu go, zerwie on z nią na zawsze wszelkie stosunki.

Sądzonem jednak było widocznie Reni iść z jednej niespodzianki w drugą.

W kilka dni później odebrała znowu listy od Rwałkich. Tym razem bardzo serdeczne i czułe, nawet od nieznajomej zupełnie wujenki i kuzynek.

W dopisku mecenas dodał słów kilka. Żał mu się widocznie zrobiło dziewczęcia. W serdecznych słowach przeproszał ją, pisząc w ten sposób na końcu:

„Co do mnie, czułem się w obowiązku — bardzo mi osobiście, proszę mnie wierzyć, przykrym — wypowiedzenia tego, com pisał. Przyznaję jednak, iż potraktowałem może nieco sprawę tę całą zanadto po adwokacku, a także czysto po męsku, wykluczając kobiece nerwy, serca czułe i... miłość. Proszę więc przebaczenia u zakochanych. By zaś kuzynka wierzyć nie przestała, że zarówno ja, jak i rodzina moja, życzliwymi jej pozostajemy, pozwalam sobie wespół z żoną i córkami, prosić kuzyneczkę i jej narzeczonego, na wieczór w wilję ślubu. Dziewiczy ten wieczór, mam nadzieję, stanie się mostem zgody między nami. Proszę tylko o podanie terminu ślubu, który nam jest niewiadomym, byśmy wcześniej zjechać mogli i wieczór wspomniany na cześć państwa urządzić.“

Po przeczytaniu tego listu biedna Renia rozplakała się...

Pobiegła do Worynów, gdzie zastała Noryńskiego i podzieliła się z nimi radością. Projekt dziewiczego wieczoru u znanych w szerokich kołach miasta mecenasostwa, ucieszył ich wszystkich bardzo i polechtał próżność.

W przeddzień właśnie tej uroczystości, a na dwa dni przed wielkim przełomowym dniem ich życia, narzeczeni w towarzystwie Worynów, powracali wieczorem z przechadzki do Łazienek przez rojne od publiczności ulice.

Rozmawiali żywo i swobodnie. Noryński przekomarzał się z Worynową, pulchną i miłą blondyneczką, za nimi, niby dla kontrastu rozmawiał bardzo poważnie artysta z Renią. Mówił właśnie, kończąc jakieś zdanie:

— Tak, pani, życie tu w naszym mieście uślanem nie bywa różami dla nas ludzi talentu. Zawieść, konkurencja, plotki, fałsz na każdym kroku w tym tak zwanym światku artystycznym. Publiczność zaś, przeważnie dla nas artystów, zupełnie bywa obojętną. Szerokie masy zresztą po za kulisy życia naszego prywatnego nie wchodzi, i uznają tylko uznanych — reszta cała to dla nich tłum bezimiennych.

— No tak, ale przecie to ostatnie tyczyć się pana nie może! — zaprzeczyła żywo Renia. — Wystawy pańskie tłumnie są zwiedzane, obrazy przez krytykę i publiczność powszechnie chwalone, dzieła w końcu zaś wszystkie idą pomiędzy ludzi, rozkupywane bywają, często rozchwytywane!...

— Tak! — potwierdził zwolna Woryna — o sobie więc obecnie nie mówię. Rzeczywiście obecnie dość dobrze mi już idzie. Lecz niech pani nie sądzi, aby było tak samo dawniej. Ciężkie ongi przechodziłem ciągi, choć pracowałem może więcej, niż dziś. I ja także miałem swój czas,

byłem bezimiennym. Mówiłem zaś to dlatego, aby wytłomaczyć pani, że mnie tu z tem mia-
stem nie tak bardzo miłego nie wiąże.

— Świątek artystyczny — ciągnął dalej Wo-
ryna — dla nowicjuszków, wydający się ra-
czestokroć, mnie już nie nęci, ni jego strony u-
kryte, ni jawne, ani jego życie cygańskie po ka-
wiarniach i knajpach, ani towarzyskie na po-
wierzchni życia tegoż świątka. Mam tego wszy-
stkiego już dosyć. Ludzi tych samych i twarzy
i typów i środowisk salonów, buduarów i tak
dalej. Jednem słowem mam Warszawy powyżej
uszu. Mam jej stanowczo dość! Dlatego też, jak
to już pani oświadczyłem, nieodmiennie wyjadę
zaraz po otwarciu mej wystawy. Pojadę z Anią,
gdzie oczy poniosa. Wrażen, wrażen pożądam!
Pani może tego nie pojmuje?... Moje wnętrzo-
ści duchowe, że się tak opisowo wyrażę, trawi
głód wrażen, przejada je!... Muszę widzieć inne
miejsca, innych ludzi, inne twarze, inaczej muszę
jeść, spać, mieszkać, żyć! Rozumie pani? Inaczej
jako twórca — caput, nieboszczyk! Pojmuje
pani?

— Rozumiem doskonale! — odparła Renia
z uśmiechem. — Tylko mnie poprostu pana i pani
Anny niezmiernie żal! Pokochałam was... Tacy
dobrzy byliście dla mnie, tak kochacie pana Ka-
zimierza!

Umilkła, nieco wzruszona i po chwili dopiero
rzekła:

— No, i na jak długo pojedzie pan i dokąd?

— Och, na lat kilka conajmniej... Włochy,

Hiszpanja, a w końcu Paryż i to na dłużej. Nie ma pani pojęcia, co to jest Paryż. Centrum intelektualizmu wszechuropejskiego, umysłowości i środowisko piękna, atmosfera świetna dla sztuki. Talent tam nie zanika, nie ginie, nie zamiera. Przeciwnie. Wchłania w siebie soki odżywcze, płynące zewsząd, oddycha pełną piersią, rozwija się tam, potężnieje, żyje!... Tak, pani! Tam inne życie, tam pracować, tworzyć i iść na wyżyny Piękna, Sztuki — łatwiej, korzystniej i milej! Jeśli się tam nie zaczyna, to trzeba tam kończyć.

Umilkł Woryna i zmienił nagle temat rozmowy. Zaśmiał się szeroko, po swojemu i wskazał na idącą przed nimi parę.

— Słyszysz pani, jak się kłócą? Pewnie Kazik doprowadza do rozpacz i wściekłości moją żonę jakąś dysputą. Posłuchajmy, chce pani?...

— Ale — przerwał sobie nagle i obejrzał się wokoło — wszak to już dominium pani. Za chwilę będzie pani w hotelu. Czas leci w miłym towarzystwie — zwrócił się uprzejmie do Reni.

— Och, chyba w pańskim! — zarumieniła się Renia. — Ja tylko przeważnie słuchałam, co pan mówił. Tak lubię, gdy pan mówi o ukochanej sztuce i życiu waszem — artystów!

— Lecz ja za to patrzyłem w piękne oczy — odwzajemnił się z dobrym uśmiechem Woryna i krzyknął:

— Hola! Stać! Jesteśmy już na miejscu. Kazik, nie zapalaj się! Nie przekonasz mojej żony. Uparta, jak kozieł!

Zagadnięci stanęli i zawrócili.

— Twój przyszły mąż jest niemożliwy — mówiła z zacierzewieniem pani Anna, a wargi jej drżały, pałały oczy. — Wyobraź sobie, plótł takie brednie o małżeństwie i przewadze mężczyzny nad kobietą, że musiałam mu dać porządną burę.

— Przyjmuję wszystko z podziękowaniem! — odparł na to Noryński, całując w rękę młodą kobietę i patrząc jej z przymileniem.

— Mniejsza o to, com mówił i com myślał zarazem na serjo o tem wszystkiem, lecz cośmy się nadyskutowali, to aż miło. Ja panią zresztą tak bardzo lubię rozgniewaną, że pani nie da wiary. Gdybym był Fredem, ciąglebym się z panią kłócił. Ale on fujara, woli malować...

— Cicho, bałamucie, nie psuj mi żony. Wara! Na sztukę ani słowa, bo kwita z przyjaźni. Gotów jestem obrazić się.

— Daj buzi, niecnoto, niech cię uściskam! — zawołał Kazimierz. — Widzisz, szlachetniejszym jestem od ciebie, choć bałamuciłeś mi wciąż pannę Renię.

Noryński zbliżył się z kolei do Reni i ucałował jej rękę.

— No, dobranoc. Nie czuł się, Kazik. Do ślubu jeszcze daleko. Już hotel. Pora spać, późno. Do jutra, na dziewiczym.

XIII.

Apartamenty mecenasostwa Rwałkich jaśniały od światła. Przed tańcami popisywała się artystka - amatorka, śpiewając dość miłym i w miarę uczonym głosem liryczno-rzewną romanzę. Goście udawali zasłuchanych, gwarząc zcicha.

W przerwach rozlegały się oklaski i zdawkowe pochwały, wyrzeczone specjalnie głośniej. Co chwila dzwonił ktoś w przedpokoju i wsuwał się dyskretnie do salonu. Jak dotąd rautowano tylko od niechcienia, bez ożywienia i zapалу. Znać było, że zarówno starzy, jak i młodzi, przyszedli tu rozmyślnie wcześniej tylko przez wzgląd towarzyskiej grzeczności, by uczcić obecność protegowanych przez mecenasostwa narzeczonych.

Dzięki urodzie, oboje mieli duże powodzenie... Renia jednak zwyciężyła Kazimierza. Prawda, że panny i młode mężatki błyskały zalotnie ku Noryńskiemu oczyma i oglądały ciekawie pochyloną przed nimi w ukłonie piękną jego głowę, nastrój ten jednak mijał u nich szybko. Odbierać „tamtej“ narzeczonego w wigilię ślubu wprost nie wypadało jakoś.

Noryński czuł się chwilami osamotnionym i przeflancowanym jakby na grunt niewłaściwy. Aureola znanego w kraju nazwiska, sympatja, iż wychodzi za mąż z miłości, uroda niezwykła i miłe obejście — wszystko to uczyniło z niej bohaterkę wieczoru!

Wszyscy panowie garnęli się do niej, starali się ująć ją sobie, rozweselić, zabawić.

W jasnej, blado - różowej sukni, na tle czarnych fraków, uśmiechnięta, rozbawiona, szczęśliwa, Renia czyniła rzeczywiście dziwny na razie kontrast z piękną, lecz chłodną, wymuszoną i nieco sztywną sylwetką Kazimierza.

Noryński, stroniąc rozmyślnie od pań i pannen, stał za krzesłem narzeczonej i słuchał tylko w milczeniu poszumów uwielbienia, który ją otaczał.

Panowie wszyscy, wchodząc i bardzo grzecznie przedstawiając mu się sami, po banalnem podaniu ręki, zwracali się ku Reni, powiększając koło wielbicieli i pozostawiając Noryńskiego w zupełnem zapomnieniu.

Nowopoznani, obcy, nie zwracali już na niego potem żadnej uwagi, garstka znajomych, po paru zdaniach, czyniła to samo.

Nareszcie jednak zostali sami. Obok nich teraz stali tylko Rwąccy z dwiema córkami. Mecenasostwo uśmiechali się porozumiewawczo, dzięki ich to bowiem zręcznym zabiegom, rozpieczył się rój przygodnych wielbicieli Reni. Pani mecenasowa Rwacka nachyliła się ku narzeczonym i rzekła uprzejmie:

— Męczącą nieco jest ta cała ceremonja... Wkrótce już jednak rozpoczną się tańce, wszystkim będzie weselej. Wśród tłumu rozbawionych — izolować się łatwiej, a o to zawsze narzeczonym chodzi. Wszak prawda? — kończyła z dobrym uśmiechem w stronę Noryńskiego.

Wstała i przeszła do innej grupy gości.

Zosia Rwaćka, ładna blondynka, zwróciła się w tej chwili do Noryńskiego, ogarniając go zalotnem spojrzeniem.

— Przed tańcami zadeklamuje nam jeszcze pan Karol. Widzi pan tego bruneta o rozwichrzonej czuprynie. To Karol Ojewski, bardzo zdolny i rokujący wiele na przyszłość poeta. Zwrócił już na siebie uwagę w kołach literackich. Tylko nie cierpi deklamować w salonie i zawsze się droży. Obiecał mi wypowiedzieć dziś nigdzie nie drukowany jeszcze króciutki wierszyk o jesieni. Ale oto już zaczyna, słuchajmy...

W salonie uciszyło się. Przy fortepianie stanął młodziutki poeta, o ładnej twarzy i drobnych rysach. Rzekł z miłym uśmiechem w ukłonie:

— Widzę, iż wszyscy niecierpliwią się przed tańcami i z upragnieniem ich oczekują. Muzyka zabrzmi za chwilę... Zapełnić ją mam poezją. Kto ciekaw, słuchać proszę.

— Prosimy, prosimy! — odezwały się liczne głosy, głównie kobiece i rozległo się parę przyciszonego oklasków.

Poeta przybrał zlekka natchnioną pozę i po chwili zadeklamował:

Z jesiennych strof.

„Jesienna cisza tuli świat,
Po stepie błądzi srebrna nić,
Sny zapomniane z dawnych lat,
W przędzę marzenia zda się wić...

W poranki ciche tu i tam,
Majaczą u kurhanów mgły...
Wspomnień i rojeń — nie wiesz sam —
Skąd taka moc w twem sercu drży?...

Nad stepem krwawo gaśnie dzień,
Venus urocza wschodzi już!
Z mrokiem wieczoru spływa cień —
Minionych rojeń Anioł Stróż.

Cmentarz stepowy tęsknie śni,
W jesienną cichą, srebrną noc...
Szeptem ci ona: „Wierzaj mi,
Kochaj przeszłości dziwną moc!“

Poeta umilkł i skłonił się z wdziękiem. Ulu-bieniec pań otrzymał sporo oklasków. Renia je-dnak zapomniała złożyć ręk do brawa. Wiersz przypomniał jej jesień na stepach, Olanówkę i tak niedawna jeszcze przeszłość, całkiem inna, przemknęła przed wzrokiem jej duszy...

Zamyślona, podniosła oczy i zbladła nagle. Wcielenie żywe przeszłości drogiej, jakby echo słów ostatnich wiersza i cząstka tych wspomnień właśnie — stały przed nią.

Podczas deklamacji ktoś zadzwonił. Słyszeli to wszyscy, słyszała i ona. Do salonu cicho wsu-

nał się gość, który nie pragnął widocznie zakłócić ciszy, bo skrył się gdzieś na uboczu.

Przed Renią stał obecnie Edmund Rojecki, we własnej osobie. Z wdziękiem i swobodą wielkoświatową witał ją serdecznie, przyjaźnie, z pewnym jakby jednak smutkiem w spojrzeniu.

Podawała mu dłoń machinalnie i słuchała, gdy mówił, patrząc jej w oczy badawczo.

— Nigdybym temu dwa miesiące jeszcze nie przypuszczał, że spotkam panią tu, w tych warunkach i już... narzeczoną...

Uśmiechnęła się blado i odparła z pewnym przymusem:

— Ja zaś dziwię się wogóle, żeśmy się spotkali. Przypuszczałam, iż to nigdy nie nastąpi. Należymy już do dwóch oddzielnych światów!...

— Ale, cóż znowu! Pani żartuje! — zawołał żywo Rojecki. — Co do mnie, pozostanę chyba na zawsze przyjacielem pani, choćby przez wzgląd na Marjana, druha mego!...

Renia podniosła na mówiącego pytające oczy.

— Pan mówi o panu Żyleńskim, prawda?...

— Tak, pani, o nim. O tym pani niewolniku, zakochanym w pani do dziś dnia po uszy!...

Renia zakwitła cudnym rumieńcem i spuściła oczy...

Edmund Rojecki sięgnął po krzesło i przysiadł się do niej.

Śnieżny gors koszuli i nieposzlakowany krój fraka, oraz starannie przystrzyżona broda, czy-

niły go bardzo jeszcze pociągającym, a rasowa dystynkcja w każdym poruszeniu zdradzała pana.

W salonie tymczasem szeptano nazwisko Rojeckiego, znanego w Warszawie i kraju całym i z ciekawością oglądano nowego gościa, który tak bezceremonialnie nie przedstawiał się dotąd nikomu i przywłaszczał sobie „narzeczoną“.

Rojecki nic sobie z tego nie robił. Nie raczył nawet obejrzeć pięknych twarzyczek, wpatrzonych w niego kobiet i pochylony zlekka ku Reni Uszańskiej, mówił dalej przyciszonym głosem:

— Ależ pani, panno Regino! Na miłość Boga, czemu pani od nas tak wtedy wprost uciekła! Czy wie pani? Puściliśmy się za panią w pogoń do Kijowa i mieliśmy już jechać za nią za granicę. Lecz Marjan się oparł. Opowiem to pani innym razem. Teraz pilno mi przystąpić do rzeczy. Cóżes pani uczyniła! Przecież Marjan chciał już lada dzień oświadczyć się pani. Pani zdawała się być jemu również wzajemną. I... nagle... Dotąd pojąć tego nie mogę! Lecz mniejsza już o przeszłość! Wszystko jeszcze naprawić będzie można... Niech pani skinie tylko, powie słówko jedno, a Marjan przyleci i rzuci się pani pod stopy, złoży fortunę i siebie.

— Ależ panie! Co pan mówi? — zawołała żywo Renia z rumieńcem oburzenia. — Czy pan nie wie, że jutro mój ślub?

— Wiem, i mój także.

— Pański?...

— Tak, żenię się z panną Wreng, siostrą żony mego dobrego przyjaciela, Artura hr. Liw-

skiego. Ce sont des roturiers, a właściwie niemi byli, bo dziś już przez Artura weszli do towarzystwa. Sprzedają się. Narzeczonej mej nie kocham wcale. A wie pani, dlaczego się żenię?... By ocalić Rodanów. Mój majątek rodzinny. Od dziecka pokochałem to miejsce. Grożą mi, że pójdzie pod subhastację. Jestem zrujnowany. Panna Wreng bardzo bogata. Ocale rodzinne gniazdo. To mi wystarczy, o resztę nie dbam wcale! Przytem, będąc całe życie panem, nie potrafiłbym już być biednym. Vogue la galère! Ślub mój jutro, o szóstej, u Św. Krzyża.

— I mój także o tejże godzinie i w tymże kościele! — zawołała zdumiona Renia.

— Pewno w kaplicy. Mój przy wielkim ołtarzu. W takim razie, w orszaku ślubnym zobaczy pani Mariana. Dziś przyjechał... Lecz tego nie będzie! Błagam pania, niech pani pod byle pozorem ślub odłoży. Niech pani zastanowi się, pomyśli rozsądnie. Odrzuca pani serce zacnego, szlachetnego człowieka. Odtrącając go, wykoleja go pani na całe życie. Ten człowiek z nikim już nigdy się nie ożeni. Reczę pani za to słowem honoru. Gdy tymczasem z państwa byłaby nie wiem, jak dobrana para. Zresztą, zastanowić się chyba warto. Traktujemy rzecz praktycznie, życiowo, nie idealnie. Żyłekski Marjan ma majątku blisko milion rubli. Byłaby pani wielka panią do końca życia, nie wyszłaby pani ze swej sfery... Tymczasem pan Norwiński, narzeczonej pani, nie ma. Wreszcie ne précisons pas!

— Panie Rojecki — dosyć! Ani słowa wię-

cej! — zawołała Renia przyciszonym głosem, lecz bardzo stanowczo. — Ten narzeczony, z którym dotąd nie raczyłeś się pan nawet poznać — jutro stanie się moim mężem. Kocham go tak bardzo, jak dotąd nie kochałam nikogo i w przyszłości kochać nie będę. Z panem Żyleńskim nie łączyło mnie nic po za znajomością światową. Nie zupełnie — dodała Renia z przyciskiem. Nie rozumiem wogóle ze strony pańskiej tych wszystkich wyrzutów i oburzeń? Miałabym nawet prawo śmiertelnie obrazić się na pana! — kończyła ze drżeniem w głosie. — Jeśli tego nie czynię, to tylko z powodu, iż pan, panie Rojecki, przez to, żeśmy się poznali w Olanówce, stanowi część drogiej mi, a niepowrotnej już przeszłości. Rozstajemy się więc w zgodzie. A teraz, przypuszczam, że zechce mi pan może rzucić choć jedno dobre słowo na przyszłą drogę życia? I... poznać tego, kogo wybrałam na męża duszą i sercem, a nie rachubą!...

Policzki Rojeckiego — na słowa ostatnie — rumieniec zabarwił, zepsuła nimi Renia może wszystko. Odparkł twardo:

— Nie, pani! Słowa tego nie wypowiem. Byłoby ono z mej strony kłamstwem. Łamię pani życie memu najukochańszemu przyjacielowi, a sama się wykolejasz. Kiedyś wspomni pani moje słowa i cofnie wyraz „rachuba“, wyrzeczony przed chwilą. Miłość w chatce — to efekt operowy i rozdział z bajki. Życie wymaga zgola czego innego i za chwilę szalu pokutować każe, mści się bez litości i drogo za to płacić trzeba

męką i bólem! Lecz — dość o tem! Narzeczonemu pani nie przedstawiam się. Wybacz mi pani, lecz nie zamyślam wogóle uczynić tego nikomu z obecnych tutaj. Całe to grono — tu wskazał lekceważąco po salonie ruchem kolistym — nic a nic mnie nie obchodzi! Samego pana do mnie prawie nie znam. Przyszedłem tu tylko i wyłącznie dla pani, by ocalić ją i Marjana. Spotkała mnie porażka — żegnam panią!

Rojecki wstał i podał rękę Reni.

— Do widzenia! — szepnęła. — Przebaczam panu raz jeszcze w imię przeszłości...

Rojecki zmiękł na te słowa, spojrzał przychylniej, jaśniej i szepnął:

— Niech pani zawsze pamięta, iż we mnie posiada oddanego jej przyjaciela.

Mówiąc to, Rojecki oddalił się spiesźnie.

Ostatniem, bolesnem prawie spojrzeniem objęła go Renia.

— Czy to jutro rzeczywiście będzie tak ciężkiem? Czy on mówił prawdę? Czy nie jest to w istocie wcieleniem i przepowiednią przyszłości? — myślała, drżąc wewnątrz, z sercem zatrutem i żalem w duszy jednocześnie do tego człowieka, co tak twardo złudzenia zdzierał jej z oczu, i to... w takiej chwili...

Lecz była wszak na wieczorze dziewiczym, w wigilję własnego ślubu. Trzeba było być mężną. Okoliczności dopomogły temu.

W chwili, gdy zatrzymywany usilnie przez mecenasa Rwałkiego, przeprowadzony zdziwio-

nemi spojrzzeniami gości, wymykał się z salonu Edmund Rojecki, zabrzmiały nagle miękkie tony pieszczotliwego i popularnego walca.

Powstał ruch w salonie. Zawirowały pary i uniósł Renię szal tańca, wbrew jej woli i usposobieniu.

XIV.

Czarowny, oczekiwany od lat dawna dzień nastał. Wesoła, niefrasobliwa i nadziei pełna, rozpoczęła go złotoróżana jutrznia dla innych codzienna, zwykła, dla Noryńskiego i Reni dziwnie odmienna, a w życiu jedyna.

Jutro nowe, następne, miało już być dla nich erą inną, przełomem życia. I życie to, co kryło po za zagadkowym woalem przyszłości niejedną może dla nich przykrą niespodziankę, postanowiło dziś hojnie zapłacić, wynagrodzić im za wszystko.

Po szeregu słot i dni chłodnych wstał dzień jasny i pogodny, cudny dzień wczesnej polskiej jesieni, rozłożony promieniami ciepłego słońka i symfonji barw w przyrodzie, otulony pieśczętą mgieł, dyszący świeżością chłodnego ranka.

Pogoda, większa jeszcze radość, żywsza, niż w przyrodzie, gościła dnia tego w duszach Kazimierza i Reni. Opromieniła im ona nimbem wesela każdy drobiazg i najnniejszy epizod, który zdarzył się im w dniu tym, uwieczniając go w ten sposób, otaczając na życie całe urokiem niezapomnianych chwil oczekiwania i przeczuć mającego nastąpić szczęścia.

Przyznać też trzeba było, że los w udziale nie poskapił im wszystkich drobnych uciech i radości, wzruszeń i drgnień rozkochanych serc.

Od kilku tygodni żyli już we śnie, a dzień dzisiejszy dopełnił miary.

Zmysły ich paliły się ogniem miłości bujnej, nieokiełznanej, zamkniętej w egoizmie osobistych pożądań i pragnień, dusze śpiewały hymn wzajemnego samouwielbienia i roztwierały się do czekających ich wzruszeń, jak kwiaty, spragnione ożywczego dotyku chłodzącej rosy.

— Kochać, kochać i kochać raz jeszcze! — oto był dziś krzyk ich duszy, jedyne pragnienie, cel życia jedyny i marzenie jedno.

Po za tem czy istniało cośkolwiek?...

Może... Lecz w każdym razie stało to na drugim, trzecim miejscu, bo miłość wszechwładna, miłość, pani i królowa, wyparła im z dusz i serc wszystko, co nie było jej państwem, co śmiałoby stanąć opornie i rzucić pyłek drobny na złocisto - srebrzystą jej szatę, na kielichy uroczych jej kwiatów, co śmiałoby zagłuszyć zgrzytem melodję niebiańską — chór elfów miłosnych.

I życie w istocie było znów nad wyraz hojnym. Dawało im bowiem to, czem nie obdarzało bynajmniej setek ludzi innych, tych wszystkich, których łączyły ze sobą dozgonne nici inne, niż ich nić promienna i jasna, których parły ku sobie: wyrachowanie, próżność, względy socjalne, materialne i towarzyskie, lub wreszcie brutalna tylko namiętność i słomiany ogień przelotnych pożądań i pragnień, nie opromienionych szlachet-

niejszym wzlotem duszy, nie skąpanych w prze-
zroczych czystych krynicach miłości duchowej, a
będących tylko chwilową życiową miłością, o-
pancerzoną sakramentem małżeństwa. I tego, co
los rzucił im w zamian za to wszystko, czego w
życiu nigdy nie posiadają, Renia i Noryński
wchłonęli w siebie z całym ogniem i zapałem
młodości z całą jej lekkomyślnością i wiarą śle-
pą w jutro...

Jednaka radość zatem zbudziła ich dnia te-
go, po nieprzespanej nocy, z powodu późnego
dość powrotu z balu i marzeń o... jutrze!

Z taką samą dziecięcą niemal uciechą powi-
tali oni ten dzień i tak samo w ciągu godzin, od-
dzielających ich od upragnionej chwili ślubu, cie-
szyli się z każdego szczegółu i szczegółiku ży-
cia, z każdej błahostki i każdego spojrzenia, u-
śmiechu, zdania, z innych i ze siebie.

Wśród gorączkowych ostatecznych przygo-
towań, wśród żywych utarczki zdań, śmiechu
i wesela, jak złudny sen, przeszły godziny...

Na placu, przed kościołem św. Krzyża, obok
dawnego pałacyku Staszica, roіło się od karet.
Do kościoła zjeżdżał się tłumnie hig-lif społecz-
ny na ślub Edmunda Rojeckiego z panną Wreng.

Cicho zajechały trzy karety, wioząc Wory-
nów, Renię, drużbów, druchny i pana młodego.
Cicho również wsunął się do kaplicy Matki Bo-
skiej szczupły orszak weselny i stanął u ołtarza.

Niebawem, daleko po za nimi, na końcu ob-
szernej świątyni, rozbrzmiał chór pierwszorzę-
dnych artystów teatru i zagrzmiał *Veni Creator*.

Rojecki stawał u ołtarza.

Jednocześnie, bocznem wejściem wszedł do kaplicy ksiądz, znajomy Noryńskiego, kolega jego ze szkolnej jeszcze ławy.

W pustej prawie kaplicy, bez gromadki nawet zwykłych ciekawskich, których pociągnął za sobą widok wystawnego arystokratycznego obrządku zaślubin, odbywać się począł w skupieniu, uroczyście i cicho, akt sakramentu, złączyć mający dozgonnie Kazimierza i Renię.

Tam, po za boczną, zamkniętą kratą kaplicy, za kotarą, kryjącą wielki ołtarz, w kościele, szeleściły jedwabie, szemrały jakieś głosy, huczały organy, to cichły z kolei i dolatywał aż tutaj głos kapłana mówcy. Tam łączyło dwoje ludzi, obojętnych sobie zupełnie, wyrachowanie ludzkie i cynizm, okryte wytworną szatą jaknajlepszego wychowania i aureolą wyżyn towarzyskiego świata — tu, szły na wspólną drogę doli i niedoli dwa serca, dwie dusze proste, nie złożone, lecz szczere i czujące głęboko, łączyły się dwa światy — tamten, co szumiał i błyszczał, po za tajemniczą kratą i ten inny: świat pracy, świat jutra!...

Miłość tutaj, tratując przesady i kastowe różnice, skuwała nierozzerwalnym węzłem potomka plebejuszów, nieszlacheńca, z córką dawnych panów, noszących imię, zapisane chlubnie na kartach dziejów Rzeczypospolitej.

Jednocześnie prawie skończyły się obie ceremonje zaślubin. Dwa orszaki zetknęły się u wejścia i otarły niemal o siebie.

Tamten butny, wytworny, lecz zimny i obojętny — przesunął się majestatycznie przed oczyma ciekawej gawiedzi, ten drugi, przeszedł niepostrzeżenie.

Skupienie jednak na twarzach uczestników, głębokie odczucie ważności chwili i promieniące oblicza oblubieńców, w pustce kościoła zostawiły, zda się, po sobie jakąś smugę świetlistą.

I znowu, na trotuarze, u podnóża schodów kościelnych, zetknęły się powtórnie ze sobą i zmieszały dwa ślubne orszaki.

Dwie panie z „wyższego świata“ lornetować zaczęły ciekawie czekających na karetę państwa młodych.

— Regardez, comtesse, comme ils sont beaux! Deux Chèrubins pas yrai?...

— Effectivement! — wycedziła druga, oglądając impertynencko od stóp do głowy zapatrzonych w siebie Renię i Kazimierza.

— Vous n'avez pas d'idée, ma chère — ciągnęła dalej pierwsza w tym samym tonie — comme quelquefois tous ces deux sexes, de la seconde société — sont beaux physiquement!

— Et — moralement! — z wolna dorzuciła tamta.

Renia spochmurniała bezwiednie, słysząc te słowa i wspomniała rozmowę wczorajszą.

Rojeckiemu twierdząco odpowiadało już życie. Już oto dzisiaj nawet, właściwa jej dotąd sfera ludzi zaliczała ją do tamtych, nie należących do „świata“, już dla nich była przedstawicielką bezimiennego tłumu.

Kareta ślubna zajeżdżała, mijając po drodze inny pojazd. Do powozu tego wskoczyło dwóch mężczyzn. Jeden z nich długim, głębokim spojrzeniem objął Renię i z wyrazem pewnego smutku i wielkiego uszanowania, w milczeniu, odkrył przed nią głowę. Później zwrócił się w stronę rozmawiających pań i skłonił się grzecznie.

Przedstawicielki hig-lif'u spojrzały na siebie zdziwione uważniej, a mniej już lekceważąco, z równą ciekawością zajrzały obie w twarz Reni. Ta jednak była już w karecie. Za nią znikł Noryński i pojazd ruszył z miejsca, pędem, ścigany ciekawie przez widzów.

Szczególniej przez kobiety niezamężne i młode. Dla nich bowiem ślub każdy, widok śnieżnobiałej szaty i wdzięcznego welonu oblubienicy — to dziwne zwykle wstrząśnienie nerwów i wyobraźni.

Zazdrość — czasem — że nad tą wybraną spełnia się już przeznaczenie, bardzo często żal.

— Zakochani! Szczęśliwi! — myślała niejedna z westchnieniem cichem i gonila wzrokiem pędzącą w stronę alei karete.

Tymczasem powóz Noryńskich mijał spieszenie ulice. Wśród kwiatów powodzi kryły się wstydliwie ładna główka Reni i czoło pochyłego ku niej Kazimierza.

On szeptał żonie czułe słowa, obejmował dyskretnie ramieniem, tulił do siebie i pieścił. Czasem na zakręcie drogi, gdy pustka alei uwalniała karete od spojrzeń ciekawych, usta ich łączyły się w pocałunku serdecznym, namiętym i długim.

I szczupłą przestrzeń śnieżno - białej od kwiecia karety wypełniał wtedy jakby niewidzialny rój cherubinów, krył się, niby świat lilipuci za liśćmi paproci, w kielichach róż i lilij i patrzył — podziwiał swe dzieło.

Miłość czuwała nad tem dwojgiem i sypała jej hojnie dary.

W jakieś strefy nieznane, po za świat, po za ludzi, wyrывały się dusze Noryńskiego i Reni.

Dorodni przytem oboje, tem pięknem, które siłą jakby magnetyczną parło ich jeszcze bardziej ku sobie, silni młodością, co przypinała im skrzydła i rozpierała piersi, i dawała wiarę w życie i unicestwiała przeszkody — zakochani, szczęśliwi zapominali o wszystkim, co nie było niemi, i dając unieść się chwili, byli od rzeczywistości tak dalecy, iż nie zdołali na razie wytłumaczyć sobie zatrzymania się nagłego karety, która stawała już u celu — przed domem, zamieszkiwanym przez Worynów.

Przyjęcie ślubne, uczta, powinszowania i ludzie inni, po za ich dwojgiem!...

Noryńscy ocknęli się wreszcie — u windy czekała już ich niespodzianka, malarski pomysł Woryny.

Lokajczyk, przybrany uroczyście, z białym pękiem kwiatów w butonierce, otworzył im drzwi szklanego pudła. Komnatka wyłożona była białą materją, ukwiecona na biało, a z białych pąków różanych wił się napis:

„Sercem witajcie“!

Na progu otwartych na ścieżaj drzwi skrom-

nego mieszkanka, przeistoczonego również ad hoc pomysłowością artystyczną gospodarza — stał Woryna z żoną i gromadką gości, witając nowożeńców chlebem i solą.

W małym saloniku ustawiono stół, przybrany kwiatami. Czekala tu na nowożeńców uczta weselna, po której Noryńscy dziś jeszcze udawali się za miasto, do przygotowanego przez Kazimierza gniazdka w zaciszu wiejskiem.

Gromadka gości, z nowożeńcami na czele, zapełniła gwarem salonik, przekształcony przez Worynowa na hallę, ubraną skromnie, lecz nader gustownie zielenią tylko i szeregiem przeznaczonych na wystawę obrazów Woryny.

Kilka rzeźb znanego rzeźbiarza Stalskiego, obecnego na przyjęciu, uzupełniało dekorację komnaty. Rzeźby te, w liczbie dziesięciu, wychylały się nader wdzięcznie z poza różnych krzewów i zieleni, a wespół z dziełami Woryny, stanowiły iście artystyczne tło do odbyć się mającej wieczery.

Ze względu na brak czasu, rozpoczęto ją niezwłocznie. Goście byli nieliczni, ale dobrani.

A więc odnaleziony w ostatniej chwili daleki krewny Noryńskiego, pan radca Orowski, rzeźbiarz Stalski, pejzażysta Narwicki, przystojny, o marz. cem spojrzeniu brunet, wielomówny, czytany i piszący krytyki, portrecista Wrębski, wreszcie Worynowie z córkami i przyjaciel ich domowy, stary dziennikarz i literat, Lwicki.

Nie skrepowana etykietą, swobodna, wolna, iskrząca się dowcipem i szczerym humorem, po-

trącająca zlekka o sprawy społeczne, literackie, a głównie artystyczne, potoczyła się rozmowa, wśród dań, zmiatanych z prawdziwie artystycznym apetytem.

Znalazł się węgryz i miód staropolski i kosz zamrożonego szampana.

Worynowie gościnni, uprzejmi, pamiętali o wszystkim, ugaszczali, jak mogli, on zaś z subtelnością artysty, urządził wszystko w ten sposób, że w istocie nowożeńcy zapomnieć mogli na razie, iż zarówno oni, jak i wszyscy goście, wyjąwszy Rwałkich, byli to wyrobownicy tylko życiowi, tembardziej nieszczęśliwi, że częstokroć tak lekkomyślni i nieopatrzni, żyjący zawsze dniem dzisiejszym, a nie myślący o jutrze.

Ze wszystkich tu obecnych nikt jednak dziś o tem nie myślał. I Noryńskim — w czasie swawolnej, wesołej rozmowy, wśród dzieł sztuki, piękna zieleni i kwiatów, wśród szczęku szkła i przy perlącym się szampanie, zdawać się mogło, że życie bywa lekkim, wesołym i na troski w niem niema miejsca, pomimo, że z kapitałów, dóbr i imion, nikt tu z obecnych wylegitymowaćby się nie mógł.

Wesoło było! Zapatrzeni w siebie, zakochani, Kazimierz z Renią, słuchali więcej, niż mówili, dziękując tylko od czasu do czasu za toasty, wygłaszane na ich cześć.

Rozpoczął je ciepłemi słowy gospodarz domu, po nim, z kolei, każdy dorzucił słów kilka, nawet małowówny pejzażysta Narwicki wydeklamował, aczkolwiek cudzy, lecz ładny wierzyk okolicznościowy.

Podtatusiały tylko przedstawiciel rodziny pana młodego, pan radca, zlekka podpity, palnął mówkę, nie mającą wiele sensu i składu, którą zamknął słowami:

„I jak każe zwyczaj stary,
Pijmy zdrowie młodej pary!“

Chrzaknął przytem, zatoczył się niepostrzeżenie i usiadł nareszcie, tracony przez sąsiadów, którzy z humorem dali mu rześiste brawa i bisy.

Na zakończenie powstał z krzesła stary literat Lwicki i zadzwonił o kielich szampana. Słuchano go zwykle z uwagą, gdziekolwiek przemówił, i teraz więc błyskawicznie uciszyło się wokoło stołu.

Wśród skupionego milczenia odezwał się w te słowa:

„Inne dla mnie własne niebo,
Inny w oczach moich świat,
Dla mnie kochać jest potrzeba,
Liczę dziś dwadzieścia lat!“

— W wierszu tym, prostym a szczerym rwało się niegdyś serce ludzkie do miłości! Ojców i dziadów naszych owiewało wówczas jeszcze tchnienie epoki romantyzmu, a oni dzieci tych czasów przebrzmiałych, sami serdeczni, wylani i w małżeństwie również szukali przedewszystkiem — serca!...

Dziś wieją prądy inne. Pokolenie najmłodsze, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, pokolenie, stojące na progu dwudziestego stulecia, stawiają warunek ten częstokroć na ostatniem niemal

miejscu. Przewyższają względy inne. Stopniowo i wytrwale rozum zwycięża uczucia, a ono, odepchnięte, usuwa się w cień pokonane...

I dlatego coraz rzadziej i rzadziej spotkać się zdarza obecnie parę małżeńską, wstępującą w życie z wezbraną uczuciem pierśią!

Dziś jednak — wyjątkowo, bierzemy tu udział wszyscy w uroczystości zaślubin, mających podkład moralny, idealniejszy, lepszy! Bezinteresowna, czysta miłość, doprowadziła dzisiejszych nowożeńców do ołtarza, by połączyć ze sobą dożgonnie. Aby opromieniła im życie całe! Jak wiązanke kwiecica, na drogę przyszłą wspólnego pożycia — całym sercem rzucam młodej parze życzenie to serdeczne.

Niech przywiązanie ich wzajemne nie wyczerpie się nigdy! Przeciwnie, niech spotężnieje tylko w ich sercach, a kiedyś, za lat wiele, gdy włos siwy osrebrzy już skroń dzisiejszych państwa młodych, miejmy nadzieję tu wszyscy, iż ani, obejrawszy się w życiu po za siebie, ujrzą tam tylko radość i wesele, a zadowoleni, szczęśliwi, rozpamiętując wówczas obecne chwile narzeczeństwa i ślubu, przy wspomnieniu młodości własnej, będą mogli z zapalem zawołać słowami śpiewaka z Ukrainy:

Świeć się, świeć się, wieku młody,
Śnie na kwiatach, śnie mój złoty,
Ideale wiary, cnoty,
I miłości i swobody!...

Zadźwięczały kielichy. Wszyscy tłumnie, porwani mową, winszowali nowożeńcom. Gdy u-

cichło wokoło stołu, powstał Noryński i w serdecznych wyrazach podziękował zebrany za życzenia, a Worynom za gościnność i serce, któremi otoczyli jego i Renię. Wreszcie wzniósł zdrowie gospodarzy i mecenasostwa Rwałkich. Uczta była skończona, powstawano od stołu, pojawiała się kawa i likiery. Państwo młodzi ulotnili się, czas nagił i należało już zmienić strój uroczysty na podróżne szaty.

Mecenasostwo Rwałcy, z córkami, pożegnali również towarzystwo, obiecując być na kolei i w saloniku, pozostała tylko gromadka przyjaciół Woryny.

Rozpierzchli się wszyscy po pokoju i z ciekawością, jak na wystawie, oglądać zaczęli nowe rzeźby i obrazy, nie wszystkim jeszcze znane. Z poza girland świerkowych, zieleni i krzewów cieplarnianych, wdzięczniej jeszcze wychylały się teraz rzeźby i dzieła pendzla, zlekka zarumienione złotawo - kraśnym odbłaskiem słonecznych promieni zachodu.

Pomiędzy artystami rozpoczęła się żywa dyskusja na temat rzeźb i obrazów. Woryna, Stalski i literat Lwicky, przyjaciel obu artystów, znający oddawna każdy szczegół rozwieszonych dzieł, pokazywali i objaśniali pozostałym.

Wrębski wydobyl ołówek, czyniąc notatki do przyszłych krytyk w pismach. Żyłka artystyczna ogarnęła wszystkich. Woryna zaś i Stalski postanowili sobie w duszy skorzystać z okazji, iż mają pod ręką krytyka, rzadkiego gościa w pracowniach. Wrębski bowiem oficjalnie tyl-

ko oglądał obrazy, już na wystawach i unikał stale wszelkich zaprosin.

Wszystkich ostatecznie porwało piękno, którem tchnęły dzieła sztuki, aczkolwiek nie wszystkich szlachetnie i szczerze.

Mający zwykle mało powodzenia wśród publiczności, lekceważony przez krytykę, zapoznany nieco, choć zdolny, pejzażysta Narwicki w milczeniu oglądał nagromadzone dzieła sztuki i gryzł się wewnątrz, złorzeczył kolegom po fachu i wzbierał zawiścią i żółcią.

Wreszcie nie wytrzymał i zawołał, wskazując na duży krajobraz morski we Włoszech:

— Ależ kolego, na Boga! Gdzieżeście widzieli na Adrjatyku kolor wody tej barwy? Cudaka namalowaliście i chcecie dać na wystawę. Zastanówcie się i cofnijcie przynajmniej ten okaz — popsuje wam inne...

Uśmiechnęli się wszyscy, znana była bowiem żółciowa gorycz Narwickiego.

Wrębski jednak odparł sucho:

— Myli się pan kochany. Kto wie, czy obraz ten właśnie nie zwrócił uwagi bajecznym wprost kolorytem! Patrz pan, jak naturalnie mienią się fale, jak piana na nich odcina się subtelnie, perli i srebrzy. A ten odblask łagodny jutrzni dalekiej, zamglonej i niepewnej... Do diabła! Wyrodnije pana poczucie piękna, czy co, że pan tego nie widzi, a raczej zobaczyć nie chce! — zakończył złośliwie Wrębski i zaczął pilnie zapisywać coś w notatniku.

Narwicki spojrzał z pod oka. Chęć do dys-

kusji, obrzucenia zjadliwemi przycinkami Woryny i jego dzieł, wrzała w nim, przemocą wyrywała się na usta, siłą woli tylko powstrzymywał się. Znał na wylot Wrębskiego i wiedział z góry, iż czem więcej znęcać się będzie nad obrazem, tem bardziej tamten reagować zacznie, a w rezultacie gotów jeszcze temu właśnie krajobrazowi morskemu całe szpalty poświęcać w dziennikach. Zagryzł więc wargi i umilkł.

Lwicky skorzystał z przerwy i, dopiwszy kawy i likieru, rzekł cichym głosem:

— Doprawdy, iż was młodych nie rozumiem. Po co się gryźć? Służycie przecie jednej, a tak bardzo szlachetnej idei piękna. I poniewieracie ją! Wstyďte się! Myśmy dawniej byli inni. Każdy piał się w górę, wzwyż. Jeden jednak drugiemu nie przeszkadzał nigdy w promiennej drodze ku ideałom.

— Ależ, panie Lwicky! Cóż znowu? — zawołał na to oburzony pejzażysta. — Mówisz pan chyba pod cudzym adresem. Co do mnie, ani myślałem nigdy szkodzić nikomu. Każdemu jednak wolno wypowiedzieć, co myśli i zdanie swe wyjawzić całkiem szczerze i bez konwencjonalnych obsłonek.

Lwicky nie odrzekł i uśmiechnawszy się tylko, wypuszczać zaczął powolnie regularne kółka dymu.

Natomiast Woryna i Stalski, pilnujący malarza - krytyka, wypuścili go wreszcie z opieki. Wrębski zamknął notes, schował ołówek, i zbli-

żyli się wszyscy do rozmawiających. Woryna odczwał się pierwszy:

— Zastrzegam się z góry, że nie mówię ad personam. Przyznaję rację koledze Narwickiemu, że każdemu wolno mieć własne niezależne zdanie — uśmiechnął się nieznacznie i ciągnął dalej.

— Lecz, mój kochany Edwardzie — tu zwrócił się już wprost do Łwickiego — muszę ci powiedzieć, ot tak prosto z mostu — Paniedzieju, bajdy prawisz. A to mówię ci ex re tych tam młodych i starych. Mylisz się, mój drogi, i to grubo, a raczej rozplynęły ci się wspomnienia, lub prawdę podeptać chcesz i wyjawic nie pragniesz. Jak świat światem, było, jest i będzie tak samo. Straszną, skalistą i cierniową jest droga, wiodąca do rozgłosu, uznania i sławy. Zawistnych nigdy nie brak. I to gołosłownych, nietylko krytyków, lecz tych gorszych jeszcze, co potrafią postarać się o nieprzychylną dla ciebie wzmiankę, co zamkną ci podstępnie wejście na wystawę, co odbiorą ci model, co oczernią poza oczami, a tak mądrze i przebiegle, że nie domyślisz się nawet, kto, co, jak?...

— Czy wy myślicie — ciągnął dalej Woryna — że ja, zanim doszedłem do tego co mam, co dziś umiem i zarabiam, nie przeszedłem w kraju i zagranicą przez to wszystko?... Czy przypuszczacie, że to tak łatwo wybić się, choćby się miało talent nawet najprawdziwszy?... Gościńcem ad astra nie pójdziesz nigdy, musisz się dostać do sławy przez manowce częstokroć i ścieżyny, a dobrze jeszcze, gdy cię po drodze

pseudo - przyjaciele nie wtrąca w jaką norę, lub nie strąca w przepaść — bezpowrotnie! Czyż mało mamy takich w sztuce żyjących nieboszczyków? Ale dość o tem. Chciałem tylko przypomnieć również, że nietylko młodym trudne są do zdobycia wyżyny, do których pnie się każdy. Wiem z opowiadań starszych, ile zawziętości, niechęci, zawiści, miało dawne pokolenie artystów. Kopano pod sobą wzajemnie dołki, mamiono publiczność zręcznie, podstępnie kierowano prasą i tak dalej bez końca. Smutną była, jest i będzie dola dla tych, co gonią za sławą. Nie zaliczam się zaś bynajmniej do ich grona, tylko malarzy i rzeźbiarzy. Mówię wogóle o tych wszystkich, co wyniósłszy z kolebki iskrę Bożą, nie tłumią jej w sobie, nie marnują, lecz z podniesieniem czołem wybierają sobie jakąś dziedzinę sztuki, mówię o wszystkich męczennikach Piękna we wszelkich jego przejawach!

Woryna skończył. Milczeli wszyscy, w duchu przyznając mu rację. Po chwili odezwał się Stalski.

— Choć nie wszyscy. Pamiętasz braci Molskich, Ryszarda i Ludwika. Obaj zdolni, można rzec śmiało, że równie. A jednak? Jakże bajeczny inny w skutkach rezultat ich pracy! Jednemu wiodło się wszystko i wszędzie. Stał na wyżynach uwieńczony za życia. Umarł, otoczony aureolą sławy i w dostatkach. Drugi, Ludwik, biedował życie całe, było można powiedzieć zawsze na utrzymaniu brata. Nawet sława braterska nie pomogła mu nic w karierze artystycznej.

nej. Malował i malował, a żadnego nie dobił się uznania.

— Zawdzięczając to właśnie rodzonemu bratu! — przerwał zgryźliwie Narwicki. — Znałem go i wiem, że sława Ryszarda Molskiego paraliżowała w zarodku bezustannie powodzenie Ludwika. Publiczność, ludek, motłoch — bydełko to całe, jednym słowem, stając przed obrazami Molskich i oglądając podpis Ludwika, wzruszało ramionami, uprzedzone z góry i szło bezmyślnie dalej, lecz, gdy tuż obok wisiał przypadkiem obraz Ryszarda, wytrzeszczało gały, tajało w ciętym zachwycie i bajało trzy po trzy!...

— Bo jeden Molski miał talent prawdziwy, a drugi był miernotą, — zawołał energicznie krytyk Wrębski i wszczął znów dyskusję, w której wszyscy z kolei wzięli szczerzy i gorący udział. Posypały się również przy tej okazji wspomnienia, epizody z życia cyganerii artystycznej, anegdoty i opowiadania smutne, rozdzierające tragizmem bólu, rozczarowań, nędzy diatwy Apolina, ich zapasów z szarą, pospolitą walką o byt. Wszystko to zaś tylko w imię idei nieśmiertelnego piękna, w imię dalekiej, a promiennej i wabiącej czarem gwiazdzistej drogi ku szczytom, ku nieśmiertelności i sławie, dlatego tylko znoonej i w trudach, ponad siły, lekkiej jeszcze, bo uświęconej gorącą miłością sztuki.

I oto, w biesiadnej salce, dalecy już od odbytej tak niedawno jeszcze uczty weselnej, nieobecni myślą wśród małości codziennego życia,

cali oddani rozpamiętywaniu przeszłości wspólnej — artyści zagadali się na dobre.

Nie zauważyli nawet, iż po chwili, na progu saloniku stanęła żona Woryny, pani Stefa, przybrana w strój wizytowy, w towarzystwie gotowych już do drogi państwa młodych.

Żona artysty, słysząc gwar głosów i widząc, co się dzieje, zwróciła się z politowaniem w stronę nowożeńców i rzekła:

— No, widzicie państwo, co to za ludzie: artyści! Wszyscy narwani, nienormalni, nieprzytomni. Czy pamięta aby z nich który, że tu odbyła się uczta ślubna, że dziś właśnie rozegrał się tak ważny akt w życiu dwojga ludzi?... gdzie tam! Cali sobie oddani i egoistycznemu ukochaaniu swej sztuki...

Zwróciwszy się w stronę dyskutujących, zawołała głośno, by zagłuszyć wrzawę:

— Hej tam! panowie, dosyć już tego, dosyć na Boga! Państwo młodzi czekają już, aby jechać na kolej!...

Przerwała się utarczka zdań, powstało zamieszanie i posypały się w stronę nowożeńców żarty, serdeczności i dowcipy.

Niebawem cała gromadka rozmieszczała się już w powozach i dorożkach, i pędziła, co sił starczy, na dworzec kolejowy. W istocie zdążono zaledwie.

Mecenasostwo Rwaczy z córkami czekali tam oddawna, niepokojąc się i niecierpliwiąc. Mecenas był zły i zdenerwowany. Cały coup de théâtre, który urządził, nie udał się.

Sala pierwszej klasy stała otworem, w niej kwiaty, upominki i tak dalej... Zaledwie zdążono wyściskać się i pożegnać, gdy pociąg ruszył już, unosząc szczęśliwych i zakochanych.

— Narwani! — zdecydował Rwałki. — Takim będzie ich życie, jakim był ślub!

— Ależ ojczulku, oni tacy zakochani, tak im się szczęście uśmiecha! — zawołała Zosia Rwałka.

— Taka nadzieja w promienną przyszłość z oczu im patrzy! — podchwyciła z kolei starsza jej siostra.

Mecenas machnął tylko ręką.

Tymczasem artyści urządzili ostatnią owację państwu młodym. Powiewali kapeluszami, chustkami i rzucali celnie w okna uchodzącego zwolna wagonu małe bukietiki kwiatów. Wreszcie pociąg znikł z oczu zupełnie, przecinając na zawsze dla gromadki pozostałych na peronie wspomnienie ubiegłego dnia.

Pożegnali się wszyscy na dworcu, dążąc za własnymi sprawami, przyjemnościami i obowiązками. Wreszcie pozostali tylko na platformie stacyjnej Worynowie. Stali zadumani i zapatrzeni w znikający pociąg — ten ślub był potrosze ich dziełem.

Artysta objął kibić żony, przytulił do siebie zlekka i rzekł cicho:

— Stefuś, pamiętasz? I z nami przed laty było to samo. Cośmy się nie nacierpieli od tego czasu — nie zliczyć. A oni?...

Zatrzymał się, wstchnął i odparł, biorąc pod rękę żonę i kierując się ku wyjściu:

— No, zobaczymy. Szczęść im Boże!...

Ostatnie życzenie Woryny pomknęło za giniącym w perspektywie pociągiem, złączyło się jakby z echem dalekiego, tłumionego huku pędzących hałaśliwie kół wagonowych i rzuciło Noryńskim ostatnią wiązaną kwieciami przyjaźni ludzkiej w zagadkową dal Życia!

XIV.

Zaczarowane, ciche stały drzewa boru.

Na końcu małej polany, do pni wyniosłych i smukłych sosen, tulił się domek, w stylu szwajcarskim, miniaturowa willa z letnisk podmiejskich. Odosobniona stała zdala od innych, zdawała się być samotną zupełnie.

Wszystkie okna domku były otwarte, szyby tonęły w zwojach pnącego się wokoło nich dzikiego wina, którego krwawe liście otoczyły ich aureolą czerwieni, spotęgowanej jeszcze od promieni słońca.

Na taflach okien mieniła się łuna zachodu. Purpurowe blaski i złotawe cienie, ścieląc się po posadzce i ścianach, wpadały do wnętrza domku, który składał się tylko z trzech pokoików na parterze i małej facjaty na piętrze.

Dolne komnatki były otwarte... A więc najprzód mały salonik, później jadalnia. Apartamentik ten zrezygnowała sypialnia — istne gniazdko maleńkie.

Wszędzie stało pełno kwiatów, a w sypialnym, o dziwo, było ich całe królestwo. Głównie białe. Pięły się po ścianach i tuliły do łoża, czekając nowozaślubionej.

Willa była wynajęta do końca jesieni przez Noryńskiego. Urzeczywistniały się dawne jego marzenia, Kazimierz zawsze roił bowiem mój kiedyś na tle przyrody, zdala od ludzi, przeżyć sen rozkoszy z wybraną towarzyszką życia, ukochaną zmysłami i duszą.

Rojenia wcielały się w życie. Willę w istocie nazwać było można samotną. Miejscowość była prawie nieznana i mało uczęszczana przez letników. Noryński otrzymał willę po wielu zabiegach i trafił szczęśliwie, wszystkie domki w okolicy stały pustkami. Cud się spełnił. W ciszy i zapomnieniu czekało tu Kazimierza kilka tygodni zupełnego szczęścia, manił go sen czarowny, wymarzony miłości sen!...

Tymczasem w ślicznym, szwajcarskim domku dźwięczała wszędy jakaś przytłumiona nuta oczekiwania... Sypialnia mieniła się obecnie od promieni słońca, w odbłaski i cienie barwy bladego koralu, i przedstawiała sobą tak bardzo zaciszny i wdzięczny kącik, że w istocie żał było, iż w ową minutę właśnie nowożeńcy wkroczyć tu jeszcze nie mogli.

W minjaturowych kielichach dzwonków leśnych i polnego kwiecica zbratanych tu gustownie z okazami kwiatów cieplarnianych, załamywały się świetliste cienie zachodu i pieściły dotykem cały pokój, przemieniając ukwiecone na biało ściany, posadzkę, sprzęty i gustownie przybrane łoże w jakąś iście zaczarowaną konchę. I gdyby można było przytulić do uszu tę symboliczną muszkę, rozplomienioną w tej

chwili, zarumienioną od blasków — to, tak, jak i tamta, co w szumie swym niesie zakłęta jakby w sobie na wieki skargę oceanu, jego tęsknoty i fali rozkowory — tak samo i to gniazdko oblubienicy zaszeptałoby, zda się, i zaszeptałoby setkami kwiatnych kielichów cichą pieśń miłości i oczekiwania...

~ Miłością bowiem, zda się, zamagnetyzowane były te ściany, miłością Noryńskiego, za której podszeptem stworzył tę niespodziankę dla Reni.

I zarówno arystokratyczne róże, jak i skromne kwiatuszki z pól i lasów, wyśpiewałyby wówczas całą pieśń duszy i zmysłów, którą wysłuchały i odczuły dnia tego, gdy Kazimierz ukwiecał gniazdko dla ukochanej, zdradziłyby te świadki nieme, a wrażliwe, wszystkie jego myśli, pragnienia, zachwyty i wzruszenia. I opowiedziałyby dalej, jak po odjeździe Noryńskiego, pozostawione sobie, szeptać zaczęły długo o szczęściu mieszkańców tej komnatki.

Umilkły wszak niedawno. Słońce przypaliło ich kielichy, spragnione rosy. Cierpiały kwiaty i milczały zgodnie, wzruszone jednak i ciekawe tego misterjum miłości młodej, bujnej, żywiołowej i szczęśliwej, której świadkami rychło już być miały.

Wreszcie słońce zgasło. Zapadał zwolna zmierzch jesienny, chłodnawy i świeży. Technie nie wieczoru wpłynęło przez okna i orzeźwiło znużone senne główki kwiatów. Nagle ucieszyły się bardziej jeszcze...

Ze świeżością zmroku zjawił się w domku ogrodnik. Obficie uraczył ich wodą, spryskał i odświeżył. Odżyły, uśmiechać się zaczęły znowu i warzyć pomiędzy sobą, tym niedosłyszalnym szeptem kwiatów, który wypełnia wieczorami i nocami ciche zadumane aleje śniących parków, klomby ogrodów, łąki, stepy i łąny zbóż i głusze leśne, gdzie tai się cudny paproci — szczęścia kwiat!...

Godziny mijały... Wieczór nastał, a z nim zabłysły gwiazdy i wypłynął na ciemny lazur nieba cichy sierp księżyca. Oświecił sosnowy las, popieścił mchy, jasne polany i ciemne zakątki boru, przytulił się do ziół, leśnych kwiatów i czarownem światłem opromienił osamotniony, pogrążony w oczekiwaniu dworek. W saloniku do blasków miesiąca uśmiechnęły się wiązanki róż i lilij i uplastyczyły się różne graciki i sprzęty, które Noryński zaopatrzył wynajętą z meblami willę.

[Na końcu, w pokoiku narożnym, całą już symfonią blasków promiennych, wpadł księżyc... Cuda tam się działy i czary! Tak samo, jak podczas łuny zachodu — czerwienia, tak obecnie niezemijskiem, marzącym, srebrnopiennem światłem, miesiąc pieścił i otulał główki i kielichy kwiatów.

Marzyły one i śniły, zwracając miłośnie płatki swe i serca tam, wzwyż, ku temu niedoścignionemu przyjacielowi wszystkich zakochanych.

Ginęły chwile.

Nastrój dziwny, a nieujęty, zaklęty w ścianach domku, nastrój oczekiwania unosił się wciąż

niepochwytnie. Kwiaty, wznosząc spojrzenia po świetlistych taśmach rozbłęktnionych promieni, patrzyły w dal, na tajemniczy bór, na ścieżynę leśną, którą mieli przejść oni...

Długo nie było nikogo...

Nagle, czy to powiew niedyskretnego wietrzyka, czy goniąc jaki, przyjaciel kwiatów, muszka niedykretna, lub motyl gaduła, albo wszystko wiedzące ptaszę — zdradziło tajemnicę.

Dreszcz przeszedł po kwiatach, przechyliły się wszystkie i zwróciły spojrzenia ku sosnom zadumanym, poważnym i milczącym w poświęcenie srebrzystej.

— Idą, idą! — rozległ się szept cichy i biegł po boru, po szczytach drzew, po liściach paproci, po mchach i trawach, aż dotarł tu, do sanktuarjum miłości.

Idą!... idą!...

Kwiaty odżyły, zbudziły się, zapachniały silniej, zakołysały w niepochwytnym rytmicznym pochyleniu łodyg i kielichów, i zamarły w ciekawości i oczekiwaniu.

Na krańcu polany ukazało się kilka osób...

Później służba, która odprowadziła do celu Noryńskich, oddaliła się i cichą polaną zbliżać się poczęli oni, przytuleni wzajemnie i zapatrzeni w siebie.

Noryński obejmował Renię ramieniem i kroczyli tak razem zgodnie — żywy symbol połączenia dwóch istot ludzkich na życie całe.

Przestąpili wreszcie próg domku, oświetlonego na ich przybycie tajemniczą tylko poświatą miesiąca.

Szli cicho, a Renia uradowana z niespodzianki, cieszyła się, jak dziecko szczęśliwe.

Wreszcie stanęli w progu sypialni. Okrzyk zachwyty wyrwał się z ust Reni.

— Ach, jakiś ty dobry, jaki złoty i drogi! — zawołała, widząc czarowne gniazdko. — Ja tak ubóstwiam kwiaty, a tu ich tyle, tyle! Raj wprost na ziemi!...

I przy ostatnich słowach zarumieniła się silnie.

Noryński przytulił żonę zlekka ku sobie, ona z całym wdziękiem i ufnością po raz pierwszy szczerze i bez przymusu, bez świadków, zarzuciła mu miłośniczo na szyję swe długie, białe ręce. Przyłgnęła doń całym ciałem, on przycisnął ją mocniej do siebie i usta ich zwały się w palącym długim, zawrotnym pocałunku.

Oczarowane, zapachniały silniej kwiaty, wchłaniając w siebie siłę ich pieśszoty, księżycowe smugi światła zajaśniały promienistym blaskiem.

Jednocześnie kilka motyli nocnych frunęło do pokoju i wokoło głów Kazimierza i Reni wirować zaczęło w srebrnopiennej mgie, aureolą doczesnego jakby szczęścia otaczając ich twarze.

Wewnątrz cichego domku setki niedosłyszalnych westchnień słały ku nim kwiaty — po za willą, w borze, łagodnym szumem wtórowały kwiatom rozsrebrzone jodły.

Kazimierz i Renia w pocałunku trwali ciągle!...

Od zasłuchanej w tętno ich serc przyrody płynąć się zdawał ku nim cały bezmiar szczęścia i cierpienia na dziś i na jutro życia.

CZĘŚĆ DRUGA.

I.

Szalała zamieć śnieżna. Przeniesiona jakby z rozległych równin i stepów dalekich, skrepowana tylko szeregiem ulic, kamienic, gmachów i kościołów, wicherzyła się, męczyła w tej niewoli, owładnięta zaś chwilami dziwną niemocą, tem silniej i zażarciej kłębiła się, wirowała i rzucała wściekle śniegiem o szyby domów, o twarze przechodników, o łby końskie u sanek i zaprzęgów, o tafle szkliste sklepów, świszcząc wichrem przeciągle po alejach parków i ogrodów.

Na ulicach pomimo to wrzał ruch codzienny, pracowity, bezustanny. Szerokimi chodnikami powracała do domów ucząca się młodzież płci obojga. Sunęli więc żwawo zaszyci w kołnierze uczniowie, po przez wiatr i sypiący się śnieg, zaglądając ciekawie i figlarnie w oczy pensjonarek, odwzajemniających się przystojniejszym z nich zalotnem spojrzeniem i uśmiechem.

Natłoczone tramwaje wiozły licznych urzędników. Sporo ich jednak roilo się, walcząc z wichurą, po chodnikach ulic.

Z podniesionym kołnierzem od paltota, nasuniętą na uszy czapką, z rękami w kieszeniach, skulony, skrzywiony, a zasypany śniegiem, włókł się także do domu Kazimierz Noryński.

Od dnia jego ślubu, od epoki miłosnych zachwyków i miodowych miesięcy, od prześnionych rozkosznie, wydartych i wyczarowanych życia, niezapomnianych chwil szczęścia — minął zgórą rok cały rzeczywistego życia, długich dwanaście miesięcy, walki o byt, o przyszłość, o jutro i o kawałek chleba.

Materjalnie zgoła nie wiodło się Noryńskim. Dzięki Worynom i Rwałkim, mogli wprowadzić po powrocie z wywczasów letnich urządzić jako tako mieszkanie, Kazimierz, za protekcją przyjaciół, a głównie mecenasa Rwałkiego, otrzymał nawet niezłą posadę. Z początku był z tego miejsca bardzo zadowolony. Pieniądze oddawał żonie, sam wydawał mało.

Trwało to wszystko jednak zaledwie kilka miesięcy. Dawna nieokiełznana, lekkomyślna natura zwyciężyła. Noryński stopniowo zmienił się w oczach Reni, obserwującej go ze zdziwieniem i drżeniem wewnętrznem. Pieniądze trwoził bez rachunku, nie dawał ich wcale żonie — w domu zapanował brak, snuć się poczęli żydzi, factorzy z różnemi propozycjami. Noryński brał od nich pieniądze, i płacił wysokie procenty.

Wreszcie strzelił mu do głowy dość ryzykowny projekt. Meble sprzedał wszystkie, z wyjątkiem tylko sprzętów niezbędnych. Do pieńędzy, otrzymanych w ten sposób, dopożyczył

dużą sumkę i z tego funduszu począł czynić zakupy.

Wziąwszy na dwa tygodnie symulacyjny urlop z biura, chodził po mieście od rana do nocy, biegał po piętrach, gdzie okazyjnie kupić coś można było, węszył niezmordowanie po różnych zaułkach, stałym będąc gościem podczas licytacji ruchomości, stałym klientem Pocijowa. Nabywał on tam przeważnie za bezcen połamane graty, pozornie będące bez żadnej już wartości. Bystre oko jego zawsze dojrzeć jednak potrafiło szczegół, który stanowić mógł w przyszłości, po umiejętnem odnowieniu sprzętu, przynętę i wartość dla rzeczywiściego znawcy...

Takim też bezwąt্পienia był Noryński. Styl i ukrytą wartość sprzętu odgadywał natychmiast. Miał oko niezmiernie wprawne i pod tym względem nie mylił się prawie nigdy. Skupowywał więc głównie antyki, a gdzie się dało i stare obrazy, gobeliny, sztychy, porcelanę dawną, świeczniki, miniatury i lustra.

Renia patrzyła na te zabiegi i wzruszała ramionami, lub błagała męża, by zaniechał pożyczek, by nie obciążał nowemi długami pensji biurowej i nie wydawał jej całkowicie na te wszystkie graty.

Lecz Kazimierz całował wtedy żonę i śmiał się tylko, triumfował i powtarzał wciąż w kółko uradowany:

— Cicho, Reniuś! Cicho!... Zobaczysz jeszcze, jak będziemy kiedyś opływali w grosze. Cierpliwości tylko...

I Renia ustępować musiała, nie mogąc się nadać oprzeć dziwnemu wrodzonemu urokowi męża, którego tak świetnie używać umiał.

Nareszcie dla Noryńskiego nastał dzień wielki.

Umiejętnie naprawione i odświeżone antyki, a więc meble różnych stylów, szafki, komodki o marmurowych blatach i niezliczonej liczbie szufladek, szafy i fotele „Empire“, mahoniowe, rzeźbione łoża i stoły, lustra i żyrandole, obrazy wreszcie — wszystko zręcznie ugrupowane na efekt dla widza stało wreszcie i ubrało nagie dotąd ściany mieszkania.

Kazimierz uroczyście pokazywał żonie nabyte bogactwa, objaśniał szczegół każdy, zachwalał towar, niczem kupiec rutynowany. Zakończył wreszcie słowami:

— Lecz to nie wszystko, Reniu. Dopiero teraz rozpoczniemy działanie na serjo. Otóż, mój plan jest następujący:

— Przedewszystkiem od jutra rozpoczniemy objeżdżać wszystkich twoich krewnych tutaj zamieszkałych, bliższych i dalszych. W ten sposób zawiążemy stosunki, a później, ponieważ na świecie nie bywa, jak to mówią, nigdy karesu bez interesu, zaprosimy tę całą plejadę twoich kuzynków, ciotek i stryjaszków, i tak dalej, do kupna antyków. Mają pieniądze, niech płacą, niech staną się pożyteczni. W ten sposób delikatnie przyjdą nam w pomoc, a wszak obowiązkiem bogatych wspierać biednych wogóle, a cóż dopiero krewnych.

Renia uśmiechnęła się blado i sceptycznie:

— Może — odparła — spróbuj! Lecz wątpię, czy to wszystko na cośkolwiek się przyda?

Przecucia jej nie zawiodły. Noryńscy objechali wiele osób. Adresy powynajdywał Kazimierz, stwierdziwszy poprzednio pokrewieństwo wszystkich z Renią, która wszędzie zostawiała, brzmiaące szumnie bilety: „Z Usza - Uszańskich Regina Nałęcz - Noryńska“.

O te dwa przydomki: „Usza i Nałęcz“ stoczyła bój Renia. O Nałęczu bowiem dowiedziała się wczoraj po raz pierwszy, własnego zaś dotąd nie używała nigdy.

I bilety te rozrzucone wszędzie, stać się miały jedynym skutkiem ich wizyt, jedyną pociechą, oraz nadzieją Noryńskiego. Jako zupełnie nikomu nieznanym nie przyjęto ich nigdzie, zaledwie kilka osób grzeczniejszych odwzajemniło się kartami, nie byli to jednak ci, na których liczył Noryński. Dał wówczas za wygraną i chwycił się innego środka. Podał ogłoszenia do pism. Pożyczony ruch klientów i kupców zapanował wreszcie, lecz z marnym skutkiem. Przewinęło się trochę osób, przeważnie ciekawskich, z których wielu zabijało tylko czas, lub szukało interesującej znajomości, a w rezultacie sławetne antyki pozostały nietknięte. Tymczasem, jak na drożdżach rosły codziennie kłopoty. Dokuczali dłużnicy, wreszcie gospodarz domu za komorne począł dopominać się natrętnie.

Noryńscy wlekli dalej taczkę codziennych

zmartwień i pogoni za groszem, nie mogąc w dalszym ciągu pozbyć się antyków.

Noryński, broniąc się przed wichurą, dumał właśnie uparcie, jakim by tu nareszcie sposobem sprzedać owe meble i dostać trochę grosza, na zapłacenie choćby tylko bardziej natrętnych dłużników. Nagle przystanął po środku trotuaru. Przechodził właśnie koło pałacyku Edmunda Rojeckiego. Nie znał go, lecz jako dawnego znajomego żony miał nieraz na myśli. Parę dni temu nawet dowiedział się, że Rojecki powrócił z zagranicy.

Zdecydowany, wszedł po chwili do bramy i zadzwonił, patrząc ciekawie przez drzwi lustrzane.

U szczytu schodów, tonących w zieleni kwiatów, ubranych posągami, na tle ściany, zawieszonej portretami i obrazami, ukazał się lokaj. Schodził, nie spiesząc się. Otworzywszy drzwi, spojrzał lekceważąco na ubielonego śniegiem przybysza, z ociekającym w rękę parasolem.

— Czego? — rzucił niecierpliwie.

Noryński podniósł hardo piękną głowę i spojrzał na sługę.

— Zanieś, mój przyjacielu, ten bilet panu i zapytaj, czy może mnie przyjąć. Przychodzę w imieniu mojej żony, pani Reginy z Usza - Uszańskich, kuzynki pana Rojeckiego! — skłamał z fantazją na poczekaniu.

Lokaj usłyszawszy panieńskie nazwisko Rejni, spojrzał wahająco, zastanowił się chwilę i oglądać zaczął Kazimierza od stóp do głowy. Nie-

wiadomo, co pod czaszką przeszło mu przez umysł — twarz bowiem wygolona i ospała pozostała martwą. Przynykając drzwi lekko, odparł wreszcie:

— Jaśnie pan bardzo żałuje, lecz jest niezmieennie zajęty. Mam polecenie przyjąć tylko pana hrabiego, szwagra jaśnie pana — po za nim nikogo. Jaśnie pan przytem trochę niezdrów.

Noryński zastanowił się z kolei i rzucił na chybił trafił:

— Może kto jest u pana Rojeckiego?

— Jest pan Żyleński, przyjaciel jaśnie pana. Noryński skurczył się, skrzywił i odparł:

— Przyjdę innym razem, proszę nie zapomnieć oddać mego biletu.

Służący strzepnął palcem pyłek na klapie liberyjnego fraka, skłonił się lekko i zamknął drzwi lustrzane.

Niebawem, trzymając na tacy bilet Noryńskiego, wchodził do bogato i poważnie umeblowanego gabinetu.

Rojecki wziął kartę wizytową i odprawivszy skinieniem służącego przeczytał i podał ją Żyleńskiemu. Rzekł z uśmiechem:

— Ma foi. Masz szczęście Marjanie! Patrz, kto chciał nam zakłócić miłe sam na sam? Kazałem po za Alfredem nie przyjmować nikogo. Chciałem się tobą wyłącznie nacieszyć. A to ten się właśnie wybrał! Cóż ty na to?...

Żyleński wyjąwszy z ust wonne hawańskie cygaro, spojrzał na bilet i zarumienił się lekko.

— Znasz go? — spytał zdziwiony.

— Nie! I nie rozumiem, czego chce ode mnie ten pan. Pewnie interes pieniężny, albo protekcja. Krucho musi tam być z niemi. Bez grosza, na bruku Warszawy. Żadna miłość temu się nie oprze! Nie, ta twoja Renia palnęła głupstwo nie do darowania. Swoją drogą, szkoda, że nie byłem uprzedzony. Byłbym go przyjął. Poznałbyś rywala. Ciekawy to musi być typ, żeby tak zdobyć bez pozycji towarzyskiej, bez szlachectwa nawet, bez grosza, bez sławy, bez aureoli żadnej taką śliczną dziewczynę! I to poznawszy ją tylko przelotnie w wagonie. Trzeba być jednak zuchem, *Sacrè - nom!* Coś jednak w nim być musi!

— Piękny podobno — kobiety za nim szalały! Tak mi mówiono — bąknął Żyleński.

— To jednak już się o nim dokładniej informowałeś. Hm, hm, — zapalił zgasłe cygaro i mówił dalej:

— No, nie dziwię się. Takiej Reni to i ja możebym prędko nie zapomniał, gdybym się był w niej zakochał. No, ale wszystko do czasu. Mam nadzieję, że chyba przez te lat dwa wywietrzało ci to już wszystko z głowy. Cóż? Nic nie mówisz? Czyżby?

Żyleński uśmiechnął się blado, przetarł dłonią czoło i odrzuciwszy cygaro, powstał i mówić począł:

— Tak ci się zdaje, mój drogi, że łatwo zapomnieć. Oj, trudna to nieraz sprawa. Szczególniej, gdy się ma właśnie taki umysł, jak ja, taką duszę jakąś dziwną, po której nie spływa nic

lekko w życiu: Ja — zawsze wszystko dobrze pamiętam. I zło i dobro. Uwielbiam, kocham przytem przeszłość. Żyję nią bardziej jeszcze, niż terażniejszością, posiada ona dla mnie urok szczególny. Nurzać się w niej lubię, marzyć o niej, wspominać ją i pamiętać. Takim już jestem i będę do końca życia! Kogo nieńawidzę — to szczerze całkiem i nieprzejednanie, lecz co w życiu ukocham, to głęboko, prawdziwie i trwale. Tak było... z Renią — dokończył zcicha Żyleński.

Westchnął, a widząc, że przyjaciel słucha go w milczeniu, ze skupioną uwagą, mówił cicho dalej:

— Tak, mój drogi, nie myli cię przeczucie. Ja kocham ją zawsze, pamiętam wszystko i zapomnieć nie mogę. Choroba snadź nieuleczalna, a choć i w cierpieniu swem miła i słodka, lecz jakże i bolesna częstokroć, jakże dla mnie beznadziejna!

— Niekoniecznie — przerwał Rojecki. — Takie uczucie bezrozumne, nagłe i gwałtowne, jak jej do Noryńskiego, to szal, co prędko mija. Rodzinny zaś zakątek, wspomnienia i pamięć pierwszych drgnień dziewiczego serca, pierwszych w życiu wzruszeń i marzeń, będą miały zawsze urok i siłę. Kto wie? Przyjdzie może i twoja kolej, Marjanie! A... wtedy!

Tu Rojecki powstał ociężale, uśmiechnął się i, uderzywszy po ramieniu przyjaciela, rzekł znacząco:

— Nietylko ja, ale i wszyscy pozazdroszczą ci, Marjanie. Je te prèdis cette bonne fortune!

Żyleński poczerwieniał i zawołał żywo:

— Ech, bo też ty, Edmundzie, nigdy się chyba nie zmienisz! Pozostaniesz zawsze lekko-myślny i bon vivant. Nie masz wprost pojęcia o tem, co jest i czem być powinno dla mężczyzny uczucie prawdziwe — głęboka miłość. Czy ty uwierzysz — mówił dalej, z błyskiem w oczach i ożywieniem nagłym, — że nawet, gdyby się i tak stało, jak chcesz, gdyby serce jej ostygło dla męża, a ożyło dla mnie, gdyby wspomnienia okazały się silniejszymi od przelotnego szału, ja bym z tego nie skorzystał...

— Dlaczegoż nie? — zaśmiał się szczerze Rojecki.

— Dlatego, mój Edmundzie, — odparł poważnie i z uczuciem Żyleński — że nie chciałbym Reni zrównać z poziomem kobiet marnych, lalek salonowych i wietrznie buduarowych. Dlatego — mówił dalej, ze szlachetnym ogniem w oczach — bo nie chciałbym zbrukać śnieżnie białego o niej wspomnienia i ująć sławy dobrej żony i uczciwej kobiety! Że należy do innego, cóż mi potem? Wolę, by stała się dla mnie na zawsze straconą, niż gdybyin miał osobiście przykładać rękę do jej upadku. Żebyin miał z samowiedzą uwodziciela stracić ją z piedestału, na którymbyin pragnął, aby błyszczała, nieposzlakowana i czysta!

— Ohé, ohé, les grands mots! — zaśmiał się szczerze Edmund. — Idealizujesz, mój kochany

i stajesz na koturnach! Co do mnie, wyznaję szczerze i stanowczo, że gdyby kobieta tej piękności, co Renia Noryńska, darzyć mnie raczyła względami, je ferai tout mon possible, by odbić ją a cet imbécile de mari! Warta... grzechu! Je te le dis en connaisseur! Lecz może obrazisz się, co? Nie mówmy więc o tem. Zresztą odbiegliśmy od przedmiotu. Mówiliśmy specjalnie o Noryńskim. Czy wiesz, Marjanie, że musi to być w istocie typ ciekawy. Opowiem ci o nim dykteryjkę, która obiega towarzystwo.

Żyleński żdziwiony spojrzał na przyjaciela.

— W Hig - lif'ie? A czyż oni tam bywają?

— Dotąd nie. Ale pragną widocznie, bo mówiła mi właśnie księżna Lora, że byli u niej i wogóle w wielu bardzo domach — wszędzie, gdzie tylko był un soupçon pokrewieństwa pani Reginy, jako Uszańskiej, de domo.

— W jakim celu to zrobili?... To jedno zastanawia mnie tylko, — odparł zamysłony Żyleński. — Bo ze względu na ich pozycję materialną i jego pochodzenie, nie przypuszczam, by chcieli próbować życia wielkoświatowego, tak sobie, dla przyjemności.

— Zapewne — odparł Rojecki. — Byłoby to wierutnem głupstwem z ich strony. Zresztą — ce n'est guère si facile! Byli tam i owdzie, i nikt ich naturalnie nie przyjął. Są zupełnie obcy dla tutejszego świata. O nim nie mówią, par ce que c'est — personne. Ale i pani Reginy nikt zdaje się nie zna, ani nie znał za panieńskich czasów. Bliskiej rodziny nie posiada, na nikogo

powołać się nie może. Chyba na nas dwóch. Lecz nie widzę celu. Byłby to tylko egoizm, abyśmy mogli spotykać ją. Chcesz może?... To pojedę z rewizją do pana męża pięknej Reni? — i Edmund zaśmiał się nieco cynicznie.

Żyleński jednak nie podniósł uwagi przyjaciela i urwał szybko:

— Więc nie wiesz w rezultacie, dlaczego to zrobili?...

— Aha, prawda. Otóż dowiedziałem się o tem przypadkiem od Alfreda. Mój szwagier wiesz est toqué na punkcie staroświeckich mebli, ciągle coś w tym rodzaju szuka, sprzedaje, kupuje, a jak znajdzie coś rzadkiego, to cieszy się tem, jak dziecko. C'est son plaisir. Lubi przytem ogromnie łązić sam po różnych dziurach i wyszukiwać owe antyki. Otóż pewnego dnia przeczytał szumne ogłoszenie w pismach, że wyprzedaje się całe umeblowanie, antique. Poleciał tam natychmiast obejrzeć. Alfred jest wybitnym znawcą, ma pyszne zbiory u siebie. Nie znalazł nic godnego uwagi. Jak powiada, same graty z Pocijowa, choć autentyczne i bardzo umiejętnie odnowione.

— Nie zgadniesz — mówił dalej Rojecki — nigdy jednak, u kogo by? U... Noryńskich. Pani nie było. Rozmawiał z nim tylko i wyobraź sobie, że ten, nie wiedząc z kim ma do czynienia, zwierzył się Alfredowi, że rodzina jego żony, Uszańskiej z domu, zakupi pewnie wszystko, że był w tym celu u wielu osób. Nablagował co się zmieści!

Rojecki umilkł i spojrzał na przyjaciela. Ten, zasłoniwszy się ręką, zapisywał coś w notesie. Skończywszy, odezwał się spokojnie:

— No, no, ciekawe opowiadasz mi rzeczy. Ale, czy nie wiesz przypadkiem, ile zażądał Norzyński od hr. Alfreda?...

— Wyobraź sobie, że podobno pięć tysięcy dolarów. Poprostu zwarjował nieborak.

Żyleński nic nie odparł i schował notes do kieszeni.

— Co zapisujesz tak skrzętnie?...

— Och, drobnostkę, sprawunek, — odparł spokojnie Żyleński i powstając dorzucił:

— Ale wiesz co, mój drogi, iż na mnie już czas, zasiedziałem się u ciebie, gawędząc mile.

— I niemile — dorzucił Rojecki. — Cóż, trudno, życie nikomu nie bywa różami usłane. Ciernie są wszędzie, a rzeczywiste szczęście nie istnieje. Ciebie wykoleiła miłość do Reni, Norzyńskich wykolei zapewne prędzej lub później — bieda.

— Lecz ciebie, Edmundzie, przecież nic chyba? — wyrwało się Żyleńskiemu, z bezwiedną goryczą.

— Qu'en sais tu? Ożeniłem się nie po mojej myśli — wiesz dlaczego li tylko? By ocalić od niechybnej zguby rodzinny zakątek. To ci tylko dziś powiem, bo widzę, że spieszno ci wyjść na miasto. Pamiętaj, przyjdź do mnie jutro na obiad, zapraszamy cię oboje z żoną.

Przyjaciele pożegnali się. Żyleński wskoczył do sanek, rzuciwszy adres odległej ulicy.

Wypogadzało się. Śniegiem zasypane domy, dachy i okna, szyby lustrzane magazynów i szerokie chodniki, wypoczywały cicho, znużone i jakby senne.

Uciszyło się całkiem w przyrodzie. Zato ruchliwy, barwny tłum stołeczny, zapędzony brzydką pogodą do mieszkań, falą wypłynął obecnie na ulice miasta. Używano przechadzki i sanny, załatwiano interesa, spotykano się, bawiono. Zatrzymany brutalną ręką kaprysu przyrody, teraz znowu na przemian korzystając z jej łaski, puls wielkomiejskiego ruchu zaczynał bić znów regularnem tempem codziennego zgiełku, pospiechu i czynnego życia.

II.

Był cudny zimowy poranek. Słońce promieniało i złociste iskry sypało hojnie na puszysty śnieg, na oszronione drzewa. Tysiące blasków lśniło wśród gałęzi, otulonych śnieżną bielą i błyszczało po alejach i ścieżynach samotnego parku, będącego własnością prywatną i rozciągającego się w bliskiej perspektywie poza oknami mieszkania Noryńskich.

Zapatrzona w grę światła krajobrazu, ściągając wzrokiem daleki zakątek ogrodu, gdzie tułąc się do rozłożystych drzew, śnieżyła się i szarzała kamienna ławeczka, pusta, samotna i cicha — Renia Noryńska marzyła...

Na kolana usunęła się jej ręczna robótka, na czole legło tęskne jakieś zamyślenie, a cudne oczy omglone, smutne, patrzyły wciąż w dal, bładziły gdzieś po rozpromienionym w słońcu, pustym i cichym parku, czy może po cichszych jeszcze głębiach duszy własnej.

Poranki, do obiadu, czas, poświęcony przez Noryńskiego na pracę biurową, dłużył się zwykle niezmiernie Reni. Ukończywszy drobne zajęcia gospodarskie, brała książkę, lub robótkę i

oczekiwała powrotu Kazimierza, sam na sam z miłością, z marzeniami o nieobecny.

Pozatem, jedynem urozmaicheniem tych godzin była przechadzka, najczęściej w interesie, by zaspokoić natrętnego wierzyciela, lub wizyta przygodna oglądacza antyków, albo częściej jeszcze natrętnego warszawskiego rzemieślnika, dopominającego się niezapłaconego rachunku. Innych gości nie mieli Noryńscy. Mecenassostwo Rwający przenieśli się na stałe do Rzymu, Worynowie wyjechali do Paryża. Garstka weselnych gości, aczkolwiek spotykała od czasu do czasu Noryńskich na ulicy, nie zaglądała do nich, uważając widocznie znajomość tę za przelotną tylko. Miał wprowadzić Noryński dawnych znajomych, z kawalerskich jeszcze czasów, lecz nie uważał ich za odpowiednich dla żony Usza-Uszańskiej z domu.

— To nie dla ciebie towarzystwo — mawiał — ty masz swoich, z nimi żyć powinnaś, jesteś Uszańska.

Renia zatem spędzała w samotności nieraz długie godziny, nie utrzymując żadnych stosunków. Widząc jednak, że brak i troska o jutro zwiększają się z dnia na dzień, iż antyki ich, przyszła fortuna, stoją nietknięte, Renia wśród pieśszot i pocałunków, odważyła się zaproponować pewnego dnia mężowi, iż radaby znaleźć zajęcie i podnieść w ten sposób budżet dochodów.

Na propozycję tę jednak Noryński rozgniewał się.

— A cóż ty sobie myślisz! — zawołał — że ja twój mąż, pozwolę, abyś wycierała cudze kąty, znosiła kaprysy, a może i zalecanki fircyków po biurach! Nie znasz ludzi, Reniuś. Garniesz się do nich, a to wszystko łotry, opojce, kanalje, ułaskawione zwierzęta! Za nic na świecie. Ożeniłem się i potrafię zapewnić ci byt! Poczekaj, bądź ciepłiwą, będziemy jeszcze karettami jeździli. Tymczasem nie upokarzaj mnie temi projektami i ani słowa nie mów nikomu! Zabraniam ci tego stanowczo. A cóżby powiedzieli wszyscy krewni twoi, gdyby dowiedzieli się, że ty, Uszańska z domu, tułasz się po biurach, mając męża, który winien na ciebie zapracować!...

Dyskusja trwała długo i skończyła się zupełną porażką Reni.

Młoda kobieta ulec musiała, zdziwiona jednak niepomrotnie tą zmianą przekonań męża, który właśnie podczas ich pierwszego poznania w wagonie tak ujął ją płomiennem przemówieniem w obronie praw kobiety wolnej, kobiety nowej, dobijającej się o przynależne jej prawa.

Zmiana jednak frontu w dziedzinie zapatrywań Noryńskiego na sprawę kobiecą nie straciła w jej oczach Kazimierza z piedestału ukochanego boga.

Po pierwsze, zanedto go już kochała, po drugie, intuicja kobieca odgadła doskonale, że „tamte“ przemówienie było szczerze, terazniejsze zaś dyktowane było wyłącznie zazdrością kochającego ją jeszcze do szafu —

mężczyzny. Uległa — przez miłość. Pomimo trudnych warunków materialnych i przeciwności życiowych, Renia kochała jeszcze to życie z nim razem wspólne. Poddając się pieścizotom męża, zapomniała o troskach, nieszczęśliwą nie czuła się wcale, nie, po stokroć razy nie!

Miłość podzielona, płomienna i szczera, o-
złociwszy, opromieniwszy im pierwsze miesiące
tam — w zapomnieniu, tam, w cichym domku,
ginącym w borach, — tu, w mieście, rozszerzała
także wszystkie ściany, umajała im dzionek ka-
żdy kwiatami wspólnych wzruszeń, zapalów i
nadziei.

Wierzyli wspólnie w lepsze jutro i kochali
się tymczasem z zapalem młodości, która skrzy-
dła niebosiężne i lekkie przypinała im do ramion.
Nastroj ten uzupełniała i podnosiła niefrasobli-
wość Noryńskiego, jego wesołość i ślepa wiara
w jutro, w przyszłość promienniejszą i lepszą, bo
z idealnemi wzlotami duszy i burzą zmysłów łą-
czącej nie walkę o byt, ale dostatek i bogactwo
może.

Bujna bowiem wyobraźnia Noryńskiego nie
cofała się przed niczem. Przewidywała spadki
po krewnych, gwałtowne przyjaźnie bogaczy,
złotodajne posady, wygrane na loterii!...

A wdzięk Noryńskiego był tak silny, pię-
kność jego fizyczna tak świetnie dopełniała ten
urok, wymowa przekonywująca tak działała sku-
tecznie, że Renia, zakochana, oszołomiona, wie-
rzyła sama w złote gwiazdy jutra.

Teraz nawet, wspominając o tem, uśmiech-
nęła się wesoło i wstała od okna,

Jednocześnie z przedpokoju zabrzmiał dzwonek. Po chwili służąca wbiegła do pokoju i oświadczyła głośno, śmiejąc się kącikami ust:

— Znowu, proszę pani, jakiś oglądacz!...

Tak nazywano poufnie u Noryńskich gości zwiedzających antyki.

— Cicho, Kasiu! Ten pan usłyszeć jeszcze gotów. Proś do salonu...

— Oho, już tam jest. Puka w meble i słucha, niby to taki wielki znawca! — zaśmiała się ponownie dziewczyna.

Renia skierowała się do salonu. Na środku pokoju stał obcy jej zupełnie mężczyzna pięćdziesięcioparoletni i oglądał z zajęciem wiszący kandelabr, masywny, ciężki i niezgrabny, według Reni, pajak szkaradny, zdaniem Kazimierza — okaz rzadki.

Ujrzawszy młodą i piękną gospodynię domu, gość uśmiechnął się, poweselał i musnąwszy ręką, siwiejącego zamaszystego wąsa, szurgnął nogami, wybełkotał jakieś nazwisko. Po chwili odezwał się tubalnym głosem, prosto z mostu:

— Proszę pani dobrodziejki, polecono mi kupić tutaj meble. Już były we właściwym czasie obejrzane przez znawcę. Wartość ogólna umeblowania oszacowaną jest, zdaje się, na pięć tysięcy dolarów. Wszak prawda?

Reni poczęło bić serce w piersiach. Po raz pierwszy od nie wiem ilu miesięcy, oglądacz mówił głosem pewnym, swobodnym, a zarazem poważnym i wróżącym jakby dobrze.

— Proszę pana — zaczęła bezwiednie Renia

nieśmiałym głosem — niech pan spocznie, proszę bardzo... A może pan woli odrazu obejrzyć wszystkie meble?...

— Zbyteczne, łaskawa pani! — odparł stanowczo zagadnięty. — Wszystkie te sprzęty były już poszczególnie obejrzane, w różnych okresach czasu, przez agentów naszej firmy.

— Pan jest przedstawicielem firmy?... Jakiej, jeśli wolno wiedzieć?...

Gość chrząknął, poprawił wąsa, zastanowił się i odparł:

— Amerykańskiej, płacimy w dolarach! Odpowiedzieć na razie nie mogę ściślej. Chodzi o tajemnicę z powodu konkurencji firm współzawodniczących z nami. Mogę jednak całkiem serjo zapewnić, że ma pani do czynienia z firmą poważną. Załatwiamy interesy prędko, bez targu, płacimy gotówką, a co ważniejsze, oswobadzamy zaraz klientów z towaru. Zabieramy go niezwłocznie i wywozimy najczęściej za granicę, gdzie posiadamy w główniejszych stolicach własne składy, biura i licznych agentów.

Wypowiedziawszy to wszystko jednym tchem, przybysz zaczerpnął powietrza i zapytał jeszcze zwięźle:

— Lecz jedno jeszcze pytanie. Czy cena... pięciu tysięcy... jest już zupełnie ostateczna?... Czy mąż pani — tu spojrzał do notatnika — pan Kazimierz Noryński, jak widzę nieobecny, nie ma przeciw tej cenie?... Czy nie żąda wyższej?... Bo, jak już wspomniałem, firma nasza

załatwia sprawy wszelkie gładko, szybko, płaci zaraz, lecz nienawidzi natomiast skarg, zażaleń i posprzedażnych pretensyj. Zatem prosiłbym o stanowcze i ostatnie słowo.

Renia kolejno czerwieniła się i bladła. Serce w piersiach biło jej młotem. Więc to nie sen? To rzeczywistość. Więc ten nieznajomy na serjo nabywa meble... Więc dobrobyt czasowy, koniec trosk i biedy?... Drogi, ukochany, ubóstwiany jej Kazio, nie mylił się więc? Jak się bardzo ucieszy!

Gość patrzył w milczeniu, czekając na odpowiedź, trzymał przytem już w jednym ręku otwarty pugilares.

Renia przetarła dłonią czoło i odrzekła z wolna, drżącym nieco głosem:

— Ależ, naturalnie, cena jest zupełnie stałą. Nigdy ani ja, ani mój mąż, nie śmielibyśmy, po dokonaniu sprzedaży, występować z pretensją. Chce pan zatem nabyć niezwłocznie? — zaryzykowała jeszcze pytanie ostatnie, myśląc, że to wszystko złudzenie, lub żart.

Zamiast odpowiedzi, gość w milczeniu, z flegmą, wyjmował z pugilaresu pliki banknotów i układał je kolejno na pustym mahoniowym stole. Skończywszy, rzekł dobitnie:

— Pani zechce policzyć, a później pokwitować.

Renia drżącą ręką sięgnęła po pieniądze i liczyć zaczęła. Czyniła to z trudnością, tak bardzo wzburzona była i wzruszona. Z powodzeniem przeliczyła wreszcie pieniądze.

— W porządku? — zagadnął gość.

— Tak jest — wyjąknęła Renia.

— Zechce pani to podpisać, odczytawszy poprzednio.

Podsunał Reni ćwiartkę papieru.

Spojrzała ciekawie. Przed nią leżał zwykły kwit sznurowy, wydarty z jakiejś książki rachunkowej.

Pod spodem zamieszczono uwagę:

„Zastrzega się nieważność wszelkich zażaleń po podpisaniu tego kwitu.“

Renia zawahała się chwilę, poczem podpisała spiesźnie imię i nazwisko.

Interes był skończony.

Z dziwnym jakimś uśmiechem obserwował Renię hojny przybysz. Gdy podpisała, przyłożył starannie bibułę i odczytawszy kwit, schował go do pugilaresu. Poczem odezwał się do brodusznie:

— Teraz nie pozostaje mi nic więcej, jak pożegnać panią. Po meble przyjdą jutro rankiem. Zapewne państwo zechcą na krótko przenieść się do hotelu. Żegnam.

Wyciągnął rękę i uściśnął serdecznie dłoń młodej kobiety.

Renia drgnęła. Zdało jej się, że w ostatnich słowach posłyszała jakiś odcień współczucia dla ciężkiej jej doli.

Lecz któż wiedział, któż odgadnąć mógł, co tało się pod tym szychem wystawnego apartamentu i rzadkich okazów mebli dawnych?...

— Nie, stanowczo, przywidziało mi się —

pomyślała Renia z uśmiechem, całkiem swobodnie i odprowadziła gościa do przedpokoju. Gdy znikł za drzwiami, odetchnęła z ulgą. Pomimo wszystko odczuwała potrzebę zostania znów sam na sam z własnymi myślami. Wracając do jadalni, położonej obok salonu, spłoszyła podsłuchującą jeszcze pode drzwiami służącą, która pierzchnęła cichutko do kuchni, mrucząc do siebie:

— A to ci dopiero pani zgarnęła grosza za te graciska. Ho, ho, będzie dziś używanie.

I nie zawiodła się sprytna Kasia. Renia jeszcze nie zdołała bowiem ochłonąć z wrażenia i oswoić się z niespodzianem wydarzeniem, gdy zjawił się we drzwiach Noryński.

Renia wybiegła na jego spotkanie i rzuciła się z radością mężowi na szyję. W krótkich słowach opowiedziała mu wszystko.

Noryński błyskawicznie oszalał wprost z radości. Porwawszy Renię, okrywać ją zaczął namiętnymi pocałunkami, a w końcu, śmiejąc się wesoło i gwiżdżąc umiejętnie, tańczyć z nią począł po pokoju.

Na ten hałas, sprawiony niespodzianie, nadeszła Kasia i stanęła w progu.

Rozdziawiwszy usta, wpatrzyła się zdumiona na kręcącą się wkoło pokoju parę.

— A ja chciałam właśnie nakrywać do obiadu! — przerwała wreszcie zgorszona.

— Zmykaj Kachno, pókim dobry! — huknął jej w samo ucho Noryński. — Nie będzie dziś obiadu. Możesz go zjeść sama od początku do

końca. Tylko nie zaproś czasem do kompanji strażaka. My pojedziemy na bibkę. Zrozumiałaś?

Tu zwrócił się do żony i zawołał:

— Reniuś droga, ubóstwiana, ubieraj się! Jedziemy zaraz do „Bristolu“. Hulać będziemy do wieczora. No, żywo, jazda!

— Ależ Kaziu, zmiłuj się, daj pokój z tą hulanką. Pomyśl, że mamy z Kasią masę roboty. Ten pan zapowiedział, że jutro rano przyjadą po meble. Przecież u nas teraz niema ani jednego prawie niestaroświeckiego sprzętu. Zabiorą wszystko.

Noryński jednak uparł się jak zwykle i Renia ustąpić musiała. Niebawem wsiadali już do samochodu, przeprowadzani ciekawemi spojrzeniami Kasi i stróża domu. Pomknęli, a Kasia, z miną tajemniczą poczęła objaśniać stróżowi Marcinowi „nowy kurs“ pieniężny, który od paru godzin zapanował u jej państwa, u tych „luka-torów“ od pociejowskiej starzyzny, jak dotąd stale Marcin nazywał z pogardą Noryńskich.

Minęło kilka godzin.

Zapadał już zmierzch, gdy Renia zjawiła się w domu, by odbyć ciężką pańszczyznę pakowania drobiazgów. Noryński, jak zwykł był czynić, najżmudniejszą zwykle pracę zdał na żonę, zadowolony w głębi duszy, że wykręcił się z ręcznie od nudów domowych i zajęć gospodarskich, których nienawidził.

Mieli zamówione już na jutro dwa pokoje w Europejskim.

Noryński, po spożyciu doskonałego obiadu, który oblał sucie winem, zadecydował, iż od jutra poczną już żyć inaczej, widywać więcej ludzi. Wyprawił żonę do obowiązków domowych, sam jednak postanowił dziś jeszcze odnowić dawne znajomości i w tym celu wybrać się gdziekolwiek.

Gdy dorożka, w której posadził Renię, odjechała, skierował się ku placowi Teatralnemu. Szedł kupić bilet do teatru, gdzie, mając nadzieję spotkać kogoś ze znajomych, obiecywał sobie wesoło czas przepędzić.

— Kto wie, może kompanja się złoży, kolacyjką, — myślał z uciechą Kazimierz i szedł rażym krokiem. Do domu nie zamierzał przyjść wcześniej. Nie znosił nieporządku, kurzu, pakowań *e tutti quanti*.

Noryński zbliżał się do celu, niebawem znikł pod filarami teatrów, w barwnym i rojnym tłumie.

Nadszedł szybko wczesny wieczór zimowy, mroczny i mroźny. W mieszkaniu Noryńskich panował istny chaos. W domowym stroju, z zakasanemi rączkami, z Kasią i wynajętą jedną jeszcze sługą, Renia na gwałt wyładowywała szafy, komody, zbierała drobne sprzęty i liczne graczki, zdobiące marmurowe blaty empirowskich komódek i etażerek.

Do kufrów składano suknie pani, odzienia Noryńskiego, do pak porcelanę, lampy, szklane, oraz inne bardziej filigranowe przedmioty. Wybiła godzina dziesiąta. Pięć godzin z rzędu pra-

cowała już Renia ze służbą, a wiele jeszcze pozostało do zrobienia.

— Po ukończeniu pracy — myślała Renia — zjemy razem z Kaziem kolację, trzeba jednak przygotować posiłek.

I na małą półgodzinę praca ustała w mieszkaniu Noryńskich. Renia rozesłała służące po ulubione przez męża wędliny i rybki, po ciastka, owoce i liczne przysmaki, któremi po raz ostatni pragnęła ugościć męża pod tym dachem, gdzie wbrew wszystkiemu zaznała wiele chwil szczęścia.

Noryński nie wracał. Praca zawrzała znowu. Wybiła dwunasta i wszystko było już skończone. Przy nakrytym stole, Renia umyta i uczesana, śliczna w świeżej domowej sukience, posilać się zaczęła pobieżnie, tymczasowo, najlepsze kaski zostawiając dla męża.

Czekała jednak daremnie.

W teatrze Noryński spotkał w istocie znajomych, a między innemi czterech z własnego ślubu, starego literata Lwckiego, rzeźbiarza Stalskiego, malarza Narwickiego i krytyka Wrębskiego.

Pogawędziwszy z nimi przez trzy antrakty, zaprosił wszystkich w końcu na kolację.

W tymże Bristolu, w restauracyjnej sali, którą opuścił przed kilkoma godzinami z żoną, znalazł się wkrótce w wesołej kompanji artystów i dwóch ich pięknych przyjaciółek.

W powodzi światła, przy dźwiękach muzyki i w wesołym gronie, spędził Noryński kilka

godzin, poczem udano się wspólnie do pobliskiego kabaretu. Kazimierz sypał dowcipami i fundował. Strzelały korki szampana, w kieliszkach pieniały się drogie wina i lały likiery. Z jednego kabaretu pojechano do innego, a później na zakończenie, dla otrzeźwienia się, na spacer w aleje.

Dochodziła już godzina czwarta, gdy Noryński znalazł się wreszcie u bramy domu, gdzie mieszkał. Jakież jednak było jego zdziwienie, gdy ujrzał w sypialnym pokoju światło.

— A to dopiero parafjański pomysł. Jeszcze czeka! — mruknął.

Ziś nieco i zawstydzony, wsunął się do mieszkania. W pokojach było cicho. Pośrodku ich stały zapakowane i powiązane kufry i paki. Potknąwszy się kilka razy, Noryński dotarł do sypialni. Bardzo zdenerwowany, choć całkiem przytomny, silną bowiem miał głowę, Noryński stanął na progu zdziwiony.

Oświetlona półpromieniami lampy, przyćmionej matowym kolorowym kloszem, Renia, klęcząc, spała twardym snem, ubrana cała.

Znużona widocznie długiem oczekiwaniem, zasnęła, przy wieczornej modlitwie, w niepokoju może, polecając Bogu ukochanego Kazia.

I główka Reni, w tym półcieniu światła, była wprost nieziemsko piękna, wyraz dziwnej słodyczy i dobroci uduchowiał ją, do wizerunków aniołów czynił podobną.

Noryński, wzruszony bezwiednie, na palcach podszedł do żony i ucałował ją delikatnie

w czoło. Nie obudziła się. Podniósł ją wtedy i przeniósł na łóżko. [Widząc zaś, że śpi dalej, rozdział z ręcznikiem i na pościeli ułożył.

— A to śpi! — mruknął znów do siebie. — Musiała się zmęczyć jednak porządnie. Nie będę jej budził.

Czuł sam zresztą obezwładniające członki odrętwienie, sen wzmagał się w nim ze zmęczeniem i walił z nóg poprostu. W parę minut później spał snem twardym.

Nie trwał on jednak zbyt długo.

Z udzerzeniem godziny siódmej zjawiała się służąca i budzić go zaczęła.

— Proszę pańa, proszę pana! Przyszli po meble, pytają się, czy mogą wszystko już brać?

Noryński mruknął przez sen:

— Idź, Kasiu, do diabła! — i zasnął ponownie.

Zbudzony powtórnie, ofuknął groźnie służącą:

— Po meble, powiadasz przyszli? A to o-poje, złodzieje, psubraty! Za drzwi komornika. Oszalał, czy co, tak rano przychodzić?

Kasia śmiać się zaczęła do rozpuku i machnęła ręką.

Noryński zasnął ponownie i chrapać zaczął niebawem.

Kasia zbudzić musiała panią. Dowiedziawszy się o wszystkim, Renia odziałła się szybko i wybiegła z pokoju.

Antyków swych nie pożegnał nawet Noryński. Spał dalej snem kamiennym sprawiedli-

wego, przy wtórce tupotu licznych nóg ludzkich, przesuwania sprzętów i hałaśliwego znoszenia ich po schodach.

Renia szczelnie tylko zamknęła drzwi i zasłoniła je jeszcze kotarą. Serce kochającej kobiety zapomniało już daremne oczekiwanie całonocne. Jak zwykle, myślała już tylko o tem, by uchylić od męża zmęczenie, a zalecając wciąż ciche zachowanie się przybyłym, czuwała, by nie zakłócił kto nadal spokoju i snu drogiemu Kaziowi.

A Kazio, pod opiekuńczem i troskliwem skrzydłem kochającej go żony, spał wciąż rze-
telnie, śnił dalej, rozmawiał z uśmiechem na u-
stach i przez sen szeptał, prowadząc zapewne
dalej ożywioną dyskusję z wesołym gronem, z
którymi obcował noc całą.

III.

Miłość jest jak kwiat... Gdy po nocnym chłódzie operlą kropelki rosy kielich jego i łodygę, gdy pierwsze promienie słońca musną go delikatnem ciepłem, weseleje kwiat, ku niebu podnosi płatki i rozchyła je, szczęśliwym się czując.

I uczucia ludzkie potrzebują pogody, wymagają dla siebie ram odpowiednich, choćby czasowego tylko, a pozornego dobrobytu, potrzebują słońca, rosy i ciepła. Jak kwiat, za powiewem zimniejszego wiatru, drży i stula listki, jak gnie się i łamie pod naporem wichru, tak i miłość dwojga ludzi, kochających się wzajemnie, wiednąć zaczyna pod ciosami nieprzyjaznych warunków, w burzach życiowych, walce o byt, w posusze braku, w biedzie, chłódzie i głodzie.

Miłość jest jak kwiat.

I dlatego również, przy sprzyjających warunkach, rozkwita ponownie, powraca falą gorących zachwytów, dreszczów i uniesień, żyje powtórnem życiem i jak kwiat, operlony znów rosą i pieszczony ciepłym promieniem słońca, uśmiecha się do ludzi, do świata, zapomina o niedawnych cierpieniach i burzach, a niepomna jutra,

żyje dniem dzisiejszym tylko i teraźniejszością upaja.

Czy Renia wątpiła kiedykolwiek, że kocha, że ubóstwia Noryńskiego?...

Przenigdy.

Przez mękę i udrękę ciężkiego bytu, walki o jutro, czuła się jeszcze szczęśliwą, że była z nim, ukochanym, że żyła życiem jego, że była jego rzeczą, jego cieniem, że samozaparciem się i poświęceniem dla drogiego mężczyzny zdołała choćby najinniejszy kamyczek usunąć mu z drogi, wygładzić z czoła najnieznaczniejszą zmarszczkę, którą wyżyłobiła mu troska.

Nie upadała pod brzemieniem walki o byt, upadać pod nim nie chciała, mając zawsze dla męża uśmiech, nastrój pogodny ducha i czułe pieśszczęty. Chciała być szczęśliwą i była nią względnie. Po haszyszu bowiem upojeń, pierwszych miesięcy miodowych, musiała nastąpić reakcja, a nastąpiła szybko przy zetknięciu się z twardą rzeczywistością codziennego życia.

Przyczaiła się tylko jednak gdzieś tam, na dnie duszy Reni, nie śmiejąc podnieść głośnego protestu i skryła się, ujarzmiona silną wolą kochającej i poświęcającej się kobiety. Reakcji tej duchowej, bezwiednej, a całkiem naturalnej, Renia uznać w sobie nie chciała i dość długo nawet walczyła z nią skutecznie.

Miłość zwyciężyła.

Przyszły jednak samotne ciche godziny i niezadowolenie z życia, żal niewytłómaczony wypełził z tajników duszy na światło dzienne, panoszyć się zaczął, początkowo zgniatany twar-

da ręką nie poddającej mu się Reni, później jednak coraz śmielszy i natarczywszy...

Gdy grosza brakło na posiłek codzienny i dłużnicy upominali się o należność, kiedy właściciel domu groził wyrzuceniem na bruk i sprzedażą tych sprzętów właśnie, które miały być podwaliną ich przyszłego dobrobytu, gdy w końcu szara troska snuła się codziennie i bezustannie w około Reni, oprzedzając ją jakąś więzienią jakby siecią, złożoną z nieprzeliczonej liczby drobiazgów kłopotliwych, wówczas w cichej samotności godzinie łamało się coś w głębiach duszy biednej Reni. Wtedy myśl jej wolna, jak ptak, leciała tam daleko, pod ciche kurhany i senne futory ukraińskie, pod cienie drzew Olanowieckiego parku...

Prawda, rwała się w świat do ówczesnego życia. Lecz, czyż znała je wtedy?... Czyż wiedziała, co ono kryje pod zewnętrzną powłoką?... Ciche marzenia nawiedzały wówczas Renię. Siedziała godzinami, wspominając ostatnie lata w życiu, które upłynęły w dostatku i szczęściu. Żyć przeszłością, choćby w marzeniu tylko, było to dla niej dziś wypoczynkiem!

Smutniejszym tylko było przebudzenie.

Lecz tu ukojała znów Renię miłość i zwalczająca upadek jej ducha.

Noryński cierpiał mniej. Bardziej lekkomyślny od Reni, nie mający w przeszłości porównań, ufny w jutro ślepo i zarozumiale, kochający niezmiernie żonę, choć egoistycznie i po swojemu, z dziwną prostotą przyjmował, jako daninę, całym naturalną, jej poświęcenie i samozaparcie się.

Kłopotał się więc, bardziej poziomo jednak, praktycznie i życiowo, a jednocześnie, z jakąś wrodzoną swobodą, z lekkością, która pozwalała mu smucić się i zaraz później śmiać się serdecznie. Bardzo zmysłowy przytem, zapominał w objęciach żony o wszystkim, zajęty bądź co bądź więcej od niej, miał mniej czasu na marzenie, prostszy duchowo, nie zagłębiał się w refleksje, nie analizował życia, nie przewidywał, lecz żył dniem dzisiejszym i spychał go w próżnię przeszłości, rad, że był ciężki, bo minął, zadowolony, jeśli był miły, bo wierzył ślepo, że los mu przyniesie w darze dzionek inny, może miłszy jeszcze.

W każdym razie Noryński pod tępemi, ogłuszającemi ciosami walki o byt, w tajemnicy przed żoną, gryzł się często i nie był całkiem szczęśliwym, przynajmniej tak, jak w marzeniach dawniej sądził może, że będzie, wybrawszy z tysiąca za towarzyszkę życia tę jedną, ukochaną — on, piękny jednak, powabny i tak miły, że w ramiona mu same, niby pociągane dziwnym magnesem — chyliły się kobiety!...

Od tygodnia jednak wszystko na dobre zmieniło się u Noryńskich. Smutek stał się przeszłością. W mieszkaniu, które Noryńscy umeblowali tymczasem całkiem współcześnie, panowały tylko: wesele, uciecha, swoboda, gwar i tętniło życie.

Miłość zakwitła ponownie, chwile poślubne wracały, zaczynały się po raz wtóry miodowe miesiące. Pełne były one zachwyków, dreszczów rozkosznych, pieszczot i całusów, śmiechu

i radosnych niespodzianek, gorączkowego ruchu i wiary w życie, w dzisiaj, w jutro, we wszystko, we wszystkich!

Te dnie i tygodnie niezdolne były zachmurzyć się czemkolwiek, szukały przyjaciół, tylko, nie znajdowały wrogów, promienne uciechą z życia, brzemienne zapasem sił i niepojętą, dla przeciętnego śmiertelnika wiary w szczęśliwą przyszłość, były one bogate również w tę niepojętą obojętność na sprawy wszelkie, które nie były miłością tylko, szaleństwem i egoizmem uczucia, przed którym, jak przed posągami bóstwa, klonić musiało się wszystko i usuwać z drogi!...

W Warszawie huczał i grzmiał karnawał bajeczny i niepamiętny — szął prawdziwy. W ten wir wpadli Noryńscy i z całym animuszem, z bezpamięcią bujnej młodości, z całą chęcią oszołomienia się, poddali mu się oboje. Życie inne, życie jakieś po różach tylko owionęło ich czarem zapomnienia przebytych trosk i hulaszczą gędźbą tonów modnego walca, i mirażem pięknych tualet kobiecych i zgiełkiem licznych i nowych znajomości.

Na dnie duszy wiedzieli Kazimierz i Renia, że obudzą się kiedyś, z przykrem przeświadczeniem końca, lecz dotąd śnili jeszcze.

Czarowny sen! Po cóż budzić się zbyt wcześnie?... Życie i tak przebudzi ich samo, z bezwzględnością może źle odzianego, bezdomnego włóczęgi, co w ciszy nocnej zastępuje przechodniowi drogę i z brauningiem w dłoni woła groźnie:

— Głodny jestem. Oddaj co masz, bo zabiję!...

Tymczasem jednak złudzenie trwało...

Pieniądze topniały. Bale, kolacyjki, teatry, koncerty nie ustawały, karetą codziennie niemal wyczekiwała u podjazdu domu, gdzie mieszkali Noryńscy.

Karnawał!

I teraz oto, przytuleni do siebie, mkną jedną z głównych ulic miasta.

Tym razem na publiczny bal kostjumowy.

Kareta staje. Obszerna szatnia, później sala balowa, oświetlona a giorno. Noryńscy witają się, zamieniają ukłony i wchodzą do sali. Bal już rozpoczęty — polonez...

Mienia się barwy cudnych kostjumów w promieniach elektrycznych, kolorowych świateł.

Kazimierz i Renia znaleźli pary. Suną już z innymi. Piękny widok roztacza się w sali.

Bal polski, rycerski. Zmartwychwstaje przeszłość. Mienia się wyloty i barwne kontusze, brzęczą karabele i połyskują pasy lite, chrzęszczą zbroje, chwieją się czaple pióra i pióropusze, orle skrzydła husarzy majestatycznie szumią.

W polonezie kroczą posuwiście pary. Bal na zamku. Wieczornica szlachty i rycerzy — dawny, staropolski bal...

Przeszli — jak sen... Umiłkła fanfara, światła tylko różnobarwne załamują się jeszcze w pięknych kostjumach. Rozpierzchli się wreszcie. Usiedli w koło. Nastąpiła chwila ciszy, poczem zabrzmiały tony walca.

Zaroila się sala od wirujących par.

Z przegiętą w tył wdzięcznie wojewodzianką tańczy ułan - szwoleżer, z podkomorzanką sunie kasztelaniec, husarz u skrzydeł swych tuli wdzięczną gołąbkę, zamaszysty szlachcic upodobał sobie nimfę wodną, Hrabia w długim surducie wybrał uroczą Zosię, Tadeusz skrzywiony obraca Telimenę. Za nim płyną roje fantastycznych figur, wyśnionych z bajki...

Tu wykwintny markiz z tureczynką, kryjącą oblicze w zwoje gazy białej, tam ukraiński lirnik, w kapeluszu szerokim, w łapciach i świtce, z wysmukłą gejszą. Gdzieindziej grand hiszpański z nadobną pasterką, markiza z szatanem, rycerz średniowieczny w zbroję zakuty, pochylony czule ku czarnookiej cygance...

A Noryński i Renia?... Gonią się w tłumie i tańczą zapamiętale.

On, wdzięczny paż, piękny, jak Apollo, ona, jako dzwonek leśny, cała w liljowych splotach kwiecia i zieleni. Mają oboje powodzenie szalone. Kazimierz, wyróżniany przez panie, Renia, upojona zabawą, otoczona sztabem balowej młodzieży.

Arystokratyzm bowiem Noryńskiego na razie poszedł w kąt zupełnie.

Widząc odporność wyższego świata, wziął na kiel i postanowił ignorować go zupełnie. Dzięki Lwickiemu, Wrębskiemu i innym artystom, Kazimierz i Renia weszli szybko bardzo w jedno z kółek światka artystycznego, co trzymało się wszędzie razem i bawiło znakomicie,

zamknięte samo w sobie, szczupłe, lecz dobrane. Obecnie powiększało to koło czasowo tylko poznana przygodnie młodzież balowa.

W Reni już nawet kochano się powszechnie. Ona, zalotna, wesoła, z lekkim sercem zawracała głowy, upajał ją haszysz zabawy, podniecany przez Noryńskiego, który szalał poprostu, prawiąc pochlebstwa wszystkim napotkanym pannom i mężatkom, flirtując zapamiętale, psuty przez nie, kpiąc jednocześnie później z nich wszystkich ryczałtowo przed żoną, w rzadkich obecnie chwilach wzajemnego sam na sam.

Czy Renia zastanawiała się wogóle nad trybem obecnego życia?...

Nawet często bardzo, o ile naturalnie czas na to pozwalał. Próbowwała niejednokrotnie napomnieć męża, ze strachem myślała o przyszłości, widząc, jak wydawał bez rachunku. A najgorszem już ze wszystkiego było, iż Noryński pewnego dnia opuścił biuro, oświadczywszy wprost żonie, że jemu teraz nie wypada być jakimś tam marnym urzędniczyną.

— Zresztą — dodał — nie myślę już tem się wcale zajmować, na biurokratę nie jestem bynajmniej stworzony.

Renia, przytomniejsza, upomniała męża wówczas całkiem poważnie, błagać wprost zaczęła, aby pomyślał o jutrze.

Lecz z Noryńskim niełatwa była sprawa, odpowiadał stale.

— Moja Reniu, tylem razy ci mówił, że masz męża, co w czepku się urodził i do tego w

niedzielę. Zawszem w życiu spadał, jak kot, na cztery łapy, choćby z piątego nawet piętra. Zobaczysz. Zawierz mi tylko! Jeszcze nam lepiej będzie kiedyś na świecie... Tymczasem vogue la galère. Czy nie widzisz, jaki leży w tem urok, płynąć tak naprzód, z biegiem fali i przytmknąć powieki i dać się porwać prądowi i szaleć — szaleć bez końca! No, Reniuś, głowa do góry! Przygotuj sobie na dziś tualetę, jedziemy na operę, a później na bal. Niech żyje karnawał!

W ten sposób kończyły się zwykle dyskusje pomiędzy małżonkami. Renia ulegała i szła na koncerty, teatry, jeździła karetami na bale, sama w końcu odczuwając również szaloną chęć do zabawy, nie mogąc oprzeć się karnawałowemu wirowi.

I dziwić się temu trudno było. Po wychowaniu klasztorzem, trzymana w zamknięciu przed światem przez babkę w Olanówce, później zameżna, w troskach i ciężkim bycie — teraz dopiero oddychała pełną piersią, bawiła się szczerze i poddawała się z rosnącym zadowoleniem zabawie, hołdom, oddawanym jej urodzie, przyzwyczajała się powoli do aureoli, którą wytwarzała wkoło niej piękność własna i uroda męża, pozwalala kochać się w sobie, co sprawiało jej nawet pewną dziwną, bo nieznana dotąd rozkosz. Dawała unosić się prądowi i była na razie szczęśliwą.

Bal kostjumowy tymczasem dochodził do zenitu. Na sali, w potokach zmienianych co chwila świateł różno - kolorowych, tańczono

dziarskiego i ognistego mazura. Był to już biały mazur — świetny bal staropolski dobiegał końca.

Coraz mniej już gości było w barwnym korowodzie, sunącym zręcznie po posadce wielkiej sali, ucharakteryzowanej, stosownie do epoki, z wielkimi malowidłami rycerzy na ścianach, z podłużnymi dębowymi ławami, obitemi adamaszkiem, z fac-simile w rogu komnaty palących się główni na olbrzymim kominie.

Stopniowo rozjeżdżano się już do domów. Noryńscy jednak dotrwali do samego końca. Mazur dawno już przebrzmiał, garstka tylko balowych maruderów tańczyła zapamiętałe parami, a kwiat leśnego dzwonka kołysał się jeszcze rytmicznie w takt walca, jeszcze paż złotowłosey szeptał czule słówka, wirując bez pamięci, coraz to z inną tancerką.

Wreszcie — coraz cichsze i cichsze zmiłkły zupełnie tony orkiestry. Słaniający się markiz odprowadził na miejsce upadającą ze zmęczenia Renię.

Noryński podał ramię zalotnemu Mefistofelesowi w spódnicze, kilkanaście nadobnych par, w kostjumach, spoczęło chwilę na ławach i nastąpił wkrótce odwrót powszechny ku wyjściu z sali. Okazało się jednak, że wiele osób zamówiło powozy na później. W położeniu tem znaleźli się i Noryńscy z garstką pozostałych znajomych. Ponieważ noc była piękna i niezbyt mroźna, postanowiono przez telefon zawezwać w jedno miejsce powozy i pójść na ich spotkanie.

Niebawem też Noryńscy znaleźli się w licz-
nem towarzystwie na chodniku szerokiej ulicy,
pustej o tej porze, sennej i cichej.

Otulona w ciepłe futro, Renia szła równym
krokiem, w otoczeniu panów, którzy na wyścigi
prawili jej pochlebstwa, Noryński natomiast
szedł błogosławiony pomiędzy niewiastami.

— Panie, jaką ma pan śliczną żonę! — za-
chwyciła się nieszczerze jedna z pań, zagląda-
jąc mu w oczy, rada usłyszeć widocznie zaprze-
czenie.

-- Ja mogę dodać tylko — zauważyła dru-
ga sąsiadka — że musisz pan być bajecznie
szczęśliwym z panią Regina, bo, nie mówiąc o
urodzie, co za wdzięk, co za inteligencja, co za
powodzenie u młodzieży, kochają się w niej tu-
zinami! — dodała zjadliwie, spozierając cieka-
wie w twarz Noryńskiego, pewna, że ten ostatni
argument dotknie go do żywego.

Noryński jednak pozostał obojętny. Wzru-
szył tylko ramionami i zauważył filozoficznie:

— Niech się kochają! Cóż ja na to niebo-
rak poradzić mogę? Zresztą, kochać się to
zdrowo, to potrzeba młodości i serc zarówno
męskich, jak i niewieścich. Czyż nie mam
racji?...

Tu spojrzał z równie udaną melancholją i
czułością na obie towarzyszki.

Te zaś śmiały się, spozierając jednak na
siebie jednocześnie niebardzo przychylnie i roz-
mowa potoczyła się dalej, lekka, błyskotliwa,
dość zresztą banalna, rozmowa po balu, gdy czuje

się już pewną ociężałość w członkach i w mózgu, oraz fizyczne zmęczenie.

Renia flirtowała również z młodzieżą, słuchała raczej bardziej, niż mówiła, odczuwając również teraz dopiero bezmierne zmęczenie fizyczne. Panowie namawiali ją głównie na jutrzejszy bal w ratuszu i przymawiali się o tańce. Wysoki brunet, barczysty, krępy, dość obcesowo zaglądał jej w oczy i mówił półgłosem:

— Tańczyć z panią raz jeden, to wszak rozkosz, to sen najczarowniejszy, prześniony na jawie!

— Ho, ho, co za porównanie! — zaśmiała się szczerze Renia. — Podejrzывать mogłabym pana o rymotwórczość, może pan poeta?... Proszę przyznać się, co pan celem swym zowiesz w życiu? Może mało komu dościgła drogę na Parnas? Proszę powiedzieć?...

Spojrzała na niego po balowemu, jak nazywała sama, długo i zalotnie.

Nie oparł się temu zagadnięty i wyznał szczerze:

— Niestety nie. Jestem tylko inżynierem...

— In-ży-nie-rem! — powtórzyła komicznie Renia, przeciągając rozmyślnie wyraz i nadając głosowi brzmienie udanego rozczarowania.

Tonem tym jakby lekko urażony, odparł szybko towarzysz Reni.

— Ale, poza planami mostów, budową ich, cel postawiłem sobie inny jeszcze, to kochać piękne kobiety! — dokończył niezbyt zgrabnie.

Renia parsknęła śmiechem.

— Co za szerokie zadanie! Pięknych tyle

na świecie... Nie podola pan... — spojrzała nań znów po balowemu.

Tymczasem towarzysz jej z lewej strony, tancerz młody i nieśmiały przymawiał się o leśny dzwonek z jej kostjumu.

— Po co to panu? — zagadnęła, by coś powiedzieć.

— Chciałbym zachować na pamiątkę! — szepnął nieśmiało.

Renia spojrzała na niego uważniej. Ten w jednym zdaniu powiedział jej więcej i szczerzej, bardziej ją zajął. Poczowała trochę litości dla młodego chłopca.

— Zbiera pan tak... wogóle pamiątki? — zagadnęła figlarnie i urwawszy z pod okrycia dzwonek leśny, podała go nieznacznie zakochanemu.

Podziękował pełnem wdzięczności spojrzeniem.

Rozmowa potoczyła się dalej. Trwała krótko, u skrzyżowaniu ulicy ukazało się kilka karet.

Po krótkim pożegnaniu, Noryńscy znaleźli się sami w powozie. Karetą ruszyła pędem.

Kazimierz i Renia milczeli. Znużeni byli wszystkim. I tańcem i gwarem, i silnemi wrażeniami tego wieczoru i rozmową.

Tylko stan ten duchowy był różny u męża i żony.

Noryński, wyprostowawszy nogi w powozie, wypoczywał sobie poprostu bezmyślnie, fizycznie bardziej, niż moralnie. Czasem wprowadzie myśl jakaś przelatowała mu przez głowę,

lecz, o ile była przyjemną, Noryński zatrzymywał się przy niej chwilę, o ile była przykrą, odpędzał ją natychmiast. Renia przeciwnie. Gdy tylko rozstała się z gronem balowych gości, przykre myśli przepełniły natychmiast umysł jej głębszy i bardziej analityczny.

Prostu wstydziła się sama za siebie. Dziwiła się, że temperament i zamięłowanie do zabawy, do ruchu, że bezwiedna i subtelna rozkosz tańca, czysto zmysłowa, połączona z subtelniejszym jeszcze zadowoleniem pięknej kobiety, wobec otrzymywanych ze wszech stron hołdów, mogą być tak silnemi, by zagłuszyć myśl o tak niedawnej jeszcze przeszłości, by różową mgłą przesłonić zagadkowe jutro?

Pierwsza też przerwała milczenie słowami:

— Kaziu, czy wiesz, że mnie w końcu dobiją chyba te bale. Ledwo już dyszę i trzymam się na nogach. Drugi już tydzień, jak tańczymy, co noc prawie. Kaziu, czy słyszysz? — zawołała głośnie, widząc, że mąż nie odpowiada.

— Słyszę — odparł niechętnie Noryński — i dziwię się niepomierne. Na balu, otoczona hołdami, rozbawiona, roztańczona, wyglądałaś szczęśliwą, wniebowziętą, a teraz nagle ni w pięć ni w dziewięć, ni w cztery ni w jedenaście rozpaczasz, chmurzysz się i skarżysz! To wszystko, moja Reniu, sensu nie ma, przede wszystkim trzeba być w życiu konsekwentnym.

Sztuczny, czy rzeczywisty, filozoficzny spokój męża, podrażnił Renię. Zawołała ze szczerem oburzeniem.

— Konsekwentnym?... A któż nim jest mniej od ciebie?

— Dlaczego to, proszę?

— Bo nie nazwiesz chyba konsekwencją, bałować, wydawać pieniądze na prawo i w lewo, wówczas, gdy nawet mieszkanie nasze dotąd jeszcze nie zapłacone!

— A tobie co się stało? — zawołał z kolei Noryński. Wyprostował się, podskoczył na siedzeniu powozowem.

— Zamiast być radą, że się wybawiłaś, że ja o tem ciągle myślę, ty fochy stroisz i wyominasz jakieś tam niezapłacone komorne! Wstydziałabyś się poprostu!

Noryński spochmurniał i zamilkł.

Reni żał się zrobiło nagle tego dziwnego człowieka, którego lekkomyślność dochodziła do takiej wprost niepoczytalności, i westchnęła.

Odezwała się jednak łagodniej:

— Przyznasz chyba, mój drogi, że rozsądniej jest o jutrze pomyśleć, a ty myśl tę od pewnego czasu odpędzasz ciągle od siebie, jak złą muchę. Zrozumże w końcu, iż przyszłości takiej, lub innej odchylić się nie da. Przyjść musi. A co będzie wówczas?... Porzuciłeś posadę, ja nie mam żadnej, bo nie chcesz, bym ją miała. Przyznaj się Kaziu, ile ty masz jeszcze pieniędzy?...

Noryński wzruszył niecierpliwie ramionami.

— Daj mi święty spokój, moja Reniu! Przecież z tych pieniędzy dałem ci większą kwotę, nie pytam się, co z nią zrobiłaś?... Dosyć będzie czasu kłopotać się, gdy pieniądze wyjdą.

Dziś są jeszcze, więc głowa do góry! Wybrniemy... Ja do życia mam szczęście. Mówiłem ci już tyle razy. Jakoś tam będzie! No Reniu, dość tej rozmowy. Nie gniewaj się i daj buziaka. Jesteś dziś tak bardzo śliczną, że oszaleć przy tobie można!...

I Noryński pochwycił żonę w ramiona. Miłość zwyciężyła po raz setny. Renia poddała się biernie pieszczotom, odmówić ich nie mogąc drogiemu mężczyźnie. Noryński okrywać pocałunkami szyję jej, włosy, oczy i usta.

Kareta niebawem stanęła, śnieg prószyć zaczął, Kazimierz rozporządził wjazd do bramy. Wkrótce w zupełnej już zgodzie małżonkowie znaleźli się u siebie.

IV.

Kończyły się zapusty. Pchnięta w szalony ruch i wir zabaw, Warszawa z całym zapałem żegnała bale, wchłaniała w siebie z jakąś utajoną rozkoszą zamęt i zgiełk ostatnich dni karnawału, słuchała z żalem pożegnalnych tonów walca. Uroczę tancerki, pootulane w szuby, spieszyły gorączkowo w karetach na ostatnie bale, panowie ochoczo podążali za niemi.

Z okna gabinetu, pisząc przy biurku list do Marjana Żyleńskiego, Rojecki widział dokładnie to wszystko i myśl jego bezwiednie zwróciła się ku zabawom tanecznym, na których bywał ciągle z żoną.

Przypomniawszy sobie jednocześnie Noryńskie, przerwał pisany list i zamyślił się chwilę. Wreszcie pisać zaczął dalej.

„W karnawale spotykałem dość często Noryńskich. Widocznie pani Regina, trzymana w zamknięciu za panieńskich czasów w Olanówce, oprzeć się nie zdołała szalonemu prądowi zabaw, który tu u nas panował. Wskazuje to również, że pozycja ich materialna poprawiła się znacznie. Widywałem ich bezustannie, sam bę-

dac zmuszony włóczyć się z Iry po wieczorach. Głównie jednak bywali na balach publicznych, w towarzystwie naszym nie spotkałem ich ani razu. Stosownie do umowy z Tobą, nie starałem się bynajmniej zbliżać ich do miejscowego „świata“. Zdanie przy tem moje pod tym względem pozostało niezmiennem. Jest to dla nich z wielu względów rzeczą zupełnie niepotrzebną. Unikałem więc okazji, choć czułem niejednokrotnie, że mąż Twojej Reni pragnąłby tego bardzo. Musi być czerzy, i próżność, tkwiąca w połączeniu się ze znaną i skoligaconą rodziną żony, musiała również odegrać ważną bardzo rolę w tem małżeństwie. Noryński jest rzeczywiście, jak mówiłeś, bardzo przystojny...”

W tem miejscu Rojecki zatrzymał się i zamyslił.

— Dosyć o nich! — mruknął po chwili do siebie i począł pisać o czem innem. W wyobraźni bowiem ujrzał w tej chwili myślącą głowę przyjaciela, pochyloną nad jego listem. Czyta właśnie o Reni. Uśmiech smutku okala jego wargi i oczy zachodzą mgłą bolesnego wspomnienia. Zapatrzył się w przeszłość, wzrok ściga marę własnego szczęścia...

W ciszy gabinetu Rojeckiego mija kilkanaście minut. Nagle, poza ścianą gabinetu, rozlega się szelest i odgłos kroków, za drzwiami ktoś staje i pyta:

— Edmundzie, gotów już jesteś?... Można wejść?...

— Proszę.

Do gabinetu, w sukni balowej, całej białej,

ubranej żółtymi i ciemno - czerwonymi kwiatami, wchodzi Ira Rojecka.

Silna brunetka, śniada, doskonale zbudowana, wysokiego wzrostu i gibka — żona Edmunda, choć nie piękna, nie ma jednak bynajmniej powierzchowności banalnej. W twarzy Iry tkwi jakiś dziwny wyraz, który pociąga bezwiednie i zastanawia. Nie jest to jednak czar ducha, co w spojrzeniu i uśmiechu kobiety promienieć potrafi, i ściągając widza z nizin ziemskiego bytu, porywa go wzwyż i przypina skrzydła do lotu — tam, w niebosiężne krainy ideału — tam, gdzie niema brudu i pyłu, ziemskich ułomności, namietności i pożądań!...

Przeciwnie.

Twarz pani Iry wyraża tylko siłę przyziemną, gniotącą w swym uścisku potężnym. Grube zmysłowe usta proszą się same, rozchylają do pocałunków, oczy żarzą się jakimś wewnętrznym ogniem — zniczem, co pociąga i pali zmieniami, migotliwymi falami gorących spojrzeń.

Na odgłos kroków żony, Edmund Rojecki odwraca się zwolna i przestaje pisać.

— Cóż to, znowu bal? — rzuca niechętnie.

— Jakto, zapomniałeś? Przecież to dzisiaj ten wieczór monstre, o którym tyle mówiono. Tyś jeszcze nie ubrany? — dziwi się z kolei Ira i stanąwszy przed lustrem, upina kwiaty przy staniku.

Rojecki spojrzeniem badawczem obejmuje postać żony.

— No, ubierać się z gustem potrafi. Ale też tylko to — myśli i odzywa się nagle głośno:

— Zupełnie zapomniałem i ogromnie mi się iść nie chce. Wiesz co? Mogłabyś doskonale zabrać się z Alfredostwem?...

Usłyszawszy te słowa, pani Ira czyni szybki, nerwowy ruch głową, a piwne jej oczy ciemnieją nagle.

— Co słyszę? — rzuca sarkastycznie. — Po dwóch latach małżeńskiego pożycia odważasz się puścić mnie samą? To chyba będzie po raz pierwszy?... Cywilizujesz się. Czekał, niech ci się przyjrzę...

I pani Ira staje przed mężem w ironicznej postawie, przyłożywszy do oczu ruchem zabawnym szyldkretowe *face-à-ma'n*.

Rojecki mówi sucho:

— *N'aiguise pas ton esprit sur ma personne*. Wiesz, że tego nie lubię. Zostaw skarby twego dowcipu dla tych wszystkich półgłówków i bawidamków, z którymi tańczyć będziesz.

— Są to jednak bardzo dobrze wychowani ludzie, i... nie obrażają się tak o byle co. Tu *sais*, tu *deviens fatiguant au possible*, jesteś tak bajecznie wrażliwy i obraźliwy. Żartowałam *tout bonnement*. Owszem, z miłą chęcią pojedę z Alfredem i Minią.

— Zawiadomię ich zaraz telefonicznie i dam ci znać, — ucina krótko Rojecki, rad pozbyć się coprędzej żony.

— Bon, uciekam. Przyjemnej zabawy! Nie przyjedziesz po mnie?...

— Och wątpię. Położę się dziś wcześniej...

— Bon soir alors! — żegna męża pani Ira i wychodzi majestatycznie z pokoju.

W pół godziny później, Rojecki siedzi już w bibliotece na wygodnej otomanie i czyta z zajęciem wieczorne dzienniki krajowe i zagraniczne.

W pokoju panuje zupełna cisza. Na chwilę przerywa ją tylko turkot wjeżdżającego w bramę powozu.

— Przyjechał Alfred z żoną — mówi do siebie Rojecki i uśmiecha się z zadowoleniem, usłyszawszy, jak po chwili karetą wytacza się znów na ulicę.

Z godzinę całą czytał uważnie Rojecki, potem przeszedł znów do gabinetu. Poruszył przy drzwiach łącznik elektryczny i pokój załały fale światła...

Edmund chodzić począł w zamyśleniu tam i z powrotem. Czynił to często, gdy w godzinach wolnych od gorączkowego miejskiego bytu miał czas, by zastanowić się nad życiem własnym od czasu małżeństwa z Iry.

Po raz pierwszy zawiódł Rojeckiego zimny rozsądek i lekceważenie pierwiastku uczucia. Jak wiadomo, nie wierzył w miłość i dotychczas przeznaczenie ślepe, zamiast ukarać Edmunda za to nieuznawanie najpotężniejszej dźwigni życiowej, za to usuwanie dobrowolne w cień najpiękniejszego promienia, najświeższej i najczarowniejszej jutrznianej radości życia, pieściło go tylko i oszczędzało.

Obie żony Rojeckiego były to kobiety łagodne, dobre i ciche, łatwe do przyjaźni i do pokochania. Inaczej całkiem działało się z Iry...

Despotyczna, o umyśle ciętym i sarkastycznym, o woli, uginającej się bardzo odpornie, o

silnym i wybujałym indywidualizmie — Ira Rojecka połowiczną być nie umiała.

Gdyby kochała kogo, to pokochałaby go całym sercem, całą siłą bujnego temperamentu.

Tak jednak nie było zgoła.

Ira nie kochała męża miłością... Poślubiła go przez próżność, chcąc wejść również do sfery, w której małżeństwo z Alfredem hr. Liwskim ugruntowało siostrę. Edmund na razie podobał jej się nawet, jak przed nim zresztą dziesiątki innych mężczyzn, z tą tylko różnicą, że tym razem utrwaliła ona ten kaprys przelotny sakramentem.

Bardzo światowa, ruchliwa i czynna, nie rozumiała inaczej obojętnego stosunku w małżeństwie na zimno, jak w ramach rzadkich i krótkich zetknięć się z mężem podczas obiadu, wieczery, włoży teatru, na przyjęciach, lub balach.

Nie dbała przytem wcale o jego towarzystwo, nudziła się z nim, nie rozumiała go i nie odczuwała, co więcej, była częstokroć w duszy bardzo niezadowolona, gdy Rojecki czuł się w obowiązku jej towarzyszyć.

W ten sposób atmosfera duchowa, którą Rojecki przywykł być otaczać się w domu, którą uważał dotąd za konieczne niemal dopełnienie barwnego i ruchliwego życia towarzyskiego i społecznego po za rodziną — nie istniała tym razem zupełnie. Edmund, ile razy był w domu, czuł się moralnie i duchowo osamotniony, odczuwając tysiąckrotnie teraz dopiero lekkomyślność swego kroku.

Ocalił — to prawda — zakątek rodzinny od

zagłady, ze stanowiska społecznego i towarzyskiego nie zeszedł w cień i zapomnienie, śladem ruiny majątkowej, która mu groziła.

Stał na arenie życia, na widowni jego — miał pieniądze.

Wszystko to dawniej zapełniłoby mu może życie. Dziś nie wystarczało... Młodość ufna, bujna i pełna nadziei była już poza nim. To bezwiedne ciepło rodzinnego ogniska, którem obdarzyło go życie — choć o to się nie starał — ta miłość, którą posiadał, choć zawsze lekceważył — obecnie były dlań upragnieniem, niezszczalnym marzeniem, stały się luką, którą zapełnić nie umiał. Pustka wiała od ścian wytwornie urządzonego apartamentu, próżnia duchowa roztaczała się zwycięsko w tym jego *mariage mondain*, a koło moralnej martwoty zacieśniało się wokoło niego coraz bardziej, wytwarzało jakąś atmosferę duszną, która padała mu na piersi i ciążyła ołowiem, dusiła go za gardło!...

I teraz dopiero przez kontrast ów przykry poznawać zaczynał Rojecki i przeczuwać ten czar prawdziwy, rzetelny rodzinnego pożycia, które stworzyć może miłość kobiety, kochającej i kochanej.

Edmund tęsknił dziś do tej cichej ostoji, stroił ją w wyobraźni w czarodziejskie szaty, ubierał w marzeniach we wieńce wonnego i świeżego kwiecia.

Brak zastanowienia nad psychologią kobiety, którą wziął za żonę, lenistwo duchowe, w które popadł, starając się o jej rękę, gdy postawiwszy sobie za cel główny zdobycie łącznie z jej osobą

majątku — dobrowolnie oczy zamknął na wszystko — mściło się na nim obecnie.

Rojecki odczuwać poczynął boleśnie, jak ważną rolę w pożyciu domowym, stanowi charakter poślubionej kobiety, dobroć jej, łagodność, czasem i uległość nawet.

Istnem przeciwieństwem była pod tym względem Ira. Dotąd Edmund wierzył święcie, że o ile pod wpływem kobiety dobrej mężczyzna mięknie i łagodnieje — kobieta znów częściej staje się gorszą pod kierunkiem silniejszej i ujemniejszej natury męskiej — o tyle wierzył mało w urabianie natury męskiej przez kobiety. Uważał mężczyzn za bardziej odpornych, samego siebie w pierwszym rzędzie do takich zaliczał.

Tymczasem, ku wielkiemu zdziwieniu, analizując siebie bezwiednie, widział Rojecki, iż stawał się od pewnego czasu stanowczo gorszym. Był opryskliwy, sarkastyczny, gniewny — był inny, niż dawniej. Zmianę tę spowodowała Ira, wpływ jej natury twardej i ujemnej, a spoistej i silnej.

Wykolejenie życiowe, któremu podpadł Edmund przez małżeństwo dla pieniędzy, z kobietą niekochaną i nieodpłacającą mu wcale miłością, stawało się jeszcze bardziej subtelnem, wykolejając go zarówno moralnie, gasząc jego zalety charakteru i stwarzając cienie tam, gdzie ich dotąd wcale nie było.

Pograżony w myślach, Rojecki chodził wciąż szybko po gabinecie. Dom był pusty, sam chciał tego, a teraz z kolei ciążyła mu ta

martwota i głusza, żałował, że nie pojechał z Iry. Zdecydował się szybko i wkrótce ubrany w strój wieczorowy był gotów do drogi.

Znając słabe uduchowanie natury żony, wiedząc i przeczuwając, że nie potrafiłby w razie potrzeby okiełznać silnego jej temperamentu i kapryśnych zachcianek, Rojecki nie ufał Irze. Po chwili, znalazłszy się na ulicy, Edmund kazał się wieźć tymczasem do klubu.

W owym czasie właśnie, rozpoczynał się olbrzymi bal, gromadzący tłumy, żegnające karnawał. Pośrodku głównej sali wirowało kilkaset par, kołysząc się w takt walca, mieniając różnobarwnymi tuietami pań, czernią fraków i barwnymi wstęgami wodzirejów.

Warszawa szalała!

Upojona tańcem, otoczona, czarująca, Renia Noryńska, rozmawiała zalotnie, rozdając hojnie uśmiechy i spojrzenia.

Opodał Kazimierz, osamotniony jakby i znużony nieco tem powodzeniem żony, stał oparty o filar sali. I on nareszcie czuł przesyt do zabaw i gorączkowego życia. Przyczyniła się zaś do tego głównie okoliczność, że fundusze Noryńskich były już na wyczerpaniu.

Stał już, jak dawniej, w obliczu groźnego jutra. Szara melancholja szła ku Noryńskiemu od tańczących par, płynęła stropem jasno uiluminowanej sali.

Nagle ocknął się z zadumy — ktoś lekko dotknął jego ramienia.

Przed nim stał jeden z licznych admirato-

rów Reni i tancerzy jej nieodstępnych, obracający się przytem we wszystkich sferach.

— Pani Ira Rojecka, wie pan, siostra Alfredowej hr. Liwskiej, życzy sobie, bym jej pana przedstawił. Prosiła mnie o to właśnie. Wiadomem panu zapewne, że znana jest ze swego sans - gêne, bardzo inteligentna i miła.

— Służę panu! — rzekł szybko Noryński i twarz rozpromieniła mu się radosnym uśmiechem.

Na myśl, iż oto nareszcie będzie mógł poznać kogoś z przedstawicieli rzeczywistego high-lifu, mile polectała wrodzoną jego próżność.

Wygórowany arystokratyzm Noryńskiego pęczniał w jego duszy, nadymał się butnie.

— Nareszcie zatem — myślał, zdążając w stronę lornetującej go Iry — uda mu się może wejść w sferę ludzi, gdzie jemu zdawna miejsce się należy, jako mężowi Reni, Usza - Uszańskiej z domu.

Po chwili, w przesadnie nieco uniżonym ukłonie, skłaniał Noryński przed Iry kunsztownie uczesaną i wypomadowaną głowę.

Poczem z wrodzoną sobie naturalnością, rozpoczął rozmowę.

Ira słuchała go z uśmiechem, patrząc z zajęciem na piękną twarz i sylwetkę Noryńskiego.

Dawno już zauważyła go, a dowiedziawszy się od męża paru ciekawych szczegółów o Noryńskich, parokrotnie napomknęła mu, iż radaby ich poznać. Lecz Rojecki unikał starannie zetknięcia się z Renią i Kazimierzem.

Dziś zatem dopiero zdołała Ira spełnić swe życzenie.

Piękność Noryńskiego, wdzięk jego i łatwość obejścia, podziały bardzo szybko na Irę. W pół godziny rozmawiali już oboje ze sobą, jak starzy znajomi, tańcząc przytem zapamiętale.

Bał tymczasem potężniał i niby wielkie drzewo, okwiecone wiosennem listowiem i kwieciem, piękniał jakby w oczach widza. Czarował mianowicie upojeniem rozbawionych tancerek, pociągał grą barw wykwintnych ich tualet, połyskiem pereł i drogich kamieni, bielą obnażonych piersi, ramion — zadziwiał wreszcie liczbą nagromadzonych tu gości, co przyszli upoić się jeszcze szalem przelotnym karnawału, w wirze tańca zapomnieć o wczoraj, a groźne może już jutro przesłonić sobie różaną mgłą iluzyj i rozkosznych marzeń, kończących się tak często z ostatnim taktem kołyszącego walca.

Zapoznawszy się z Irą, na wyraźne również jej życzenie, Renia, po kilku banalnych i obojętnych zwrotach grzeczności, pozostawiła wkrótce męża z flirtującą już z nim na zabój młodą kobietą.

O Kazimierza zazdrosną dotąd nie była wcale, ufała mu i wierzyła w swą urodę, co zwyciężać mogła śmiało najgroźniejszą nawet pod względem piękności rywalkę.

Dziś żegnała zresztą tańce i zabawę. I Renia bowiem zarówno, jak i Kazimierz, czuła już przed sobą bardzo blisko to groźne widmo czekającej ich wspólnie walki o byt i biedy, tak bar-

dzo odmiennych od pełnego uciech gorączkowego obecnego życia.

Zresztą za późno już było na refleksję. Podawszy się raz mamiącemu, zawrotnemu szalowi tańców i zabaw, wpadłszy w wir i zamęt wielkomiejskiego karnawału, Renia opierać już mu się zaprzestała, tembardziej, iż za sobą porwał ją zapał i temperament Noryńskiego, że unosiły ją z nim razem skrzydła lekkomyślności Kazimierza, pchane w przestrzeń ślepo wichrem jego dziecinnych nieraz nadziei, jego bałwochwalczej wiary we własne szczęście i w jutro życia, które wbrew i pomimo wszystko nęciło go dotąd stale niewiadomem, stroiło się w jego wyobraźni w nęcące barwy, w promienie świetliste, w bezbrzeżny optymizm szczerej, bogatej, prawdziwie polskiej natury. Dziś więc Renia postanowiła o niczem wprost nie pamiętać...

Wsparta na ramieniu coraz to innego tańczerza, wsłuchując się w coraz to inne półszepty zachwyty i drżące słowa śmiałego nieraz flirtu, które tolerowała, śmiejąc się z nich w duszy, upojona tańcem, piękna, jak nigdy, czarująca obejściem, uśmiechami, spojrzeniami i wrodzoną zalotnością niewinna, Renia całą pierśią wchłaniała w siebie to powodzenie balowe — całą mocą przeżywając zarazem chwile niezawsze i nie wszystkim kobietom dostępne, rozsiewanego wokół bezpodzielnego uwielbienia!...

Oddzielający się tylko murem chińskim od sfer innych hig-lif stołeczny, a głównie jego wykwintne, rasowe przedstawicielki, tak rade częstokroć zamknąć siebie i swych adoratorów w

ciasnem kole własnem, poza którem dopiero pochłaniane przez masy giną gdzieś tamte, czarowniejsze współzawodniczki, tylko one, patrzyły kosem okiem na powodzenie Reni i na nowy kaprys znanej z oryginalności Iry Rojeczkiej.

Kilku jednak panów śmielszej natury, nie poddających się tak niewolniczo w jarzmo przepisów „towarzystwa“, przedstawiło się Reni Noryńskiej. Była to przeważnie młodzież, którą pociągała piękność Reni i dodała bodźca i odwagi wiadomość, szeptana już tam i owdzie: „que cette bourgeoise“ wcale nią nie była, że przeciwnie jest de bonne souche, ni plus, ni moins tylko Uszańska z domu, z tych samych Usza-Uszańskich, tak bardzo znanych, z tych „dobrych“ jednym słowem.

Renia zaś bawiła się dalej świetnie, zapominając o terażniejszości. Czas mijał, pierzchały chwile, może już dla niej niepowrotne, мгновения czarowne niefrasobliwego, kapryśnego szalu tańca.

Bal dobiegał końca. Zwolna pustoszały sale, tylko garstka najbardziej żarliwych miłośników walca wirowała namiętnie, nie ustawała jeszcze, jakby nie mogąc wprost z gorączkowego rozpędu tanecznego przejść w stan wytchnienia i spoczynku.

Na rozkołysaną tonami modnego walca gromadkę gości, mieniącą się w oczach połyskiem drogich kamieni i tualetami kobiet i węzowemi, zda się, splątami wokoło ich ciał, sunącej rytmicznie czarnej kohorty mężczyzn, patrzył w

zamyśleniu, dopiero co przybyły Edmund Rojecki. Szukał żony.

Ujrzał ją wkrótce... Przeistoczona tańcem, ładna prawie, uśmiechnięta zalotnie i wpatrzona w piękną twarz Kazimierza Noryńskiego, słuchała jego słów. Tańczyli zwolna, leniwie, zajęci bardziej, zda się, rozmową, niż walcem.

Widok Noryńskiego, trzymającego w objęciach Irę, uderzył niemile Edmunda.

Siadali właśnie, zbliżył się i zagadnął:

— No, cóż Iro, żegnasz jak widzę karnawał, z bajecznym zapalem!...

Ira skłoniła mu głowę z uśmiechem, i przedstawiła natychmiast Noryńskiego. Edmund chłodno, nie patrząc, podał mu rękę. W tej chwili jednak tuż obok nich zatrzymała się para tańczących.

Cała w rumieńcach, uśmiechnięta, urocza, Renia upadła na fotel, podtrzymana przez jednego z licznych wielbicieli.

Ujrzawszy ją, podbiegł spiesźnie Rojecki i przywitał z uśmiechem bardzo grzecznie. Zgadł natychmiast jej powodzenie i odezwał się z lekką ironją:

— Prawda pani, jak dziwne jest życie?... Czyż spodziewaliśmy się podczas ostatniej rozmowy naszej, iż los zetknie nas po raz pierwszy na balu i to wówczas, kiedy pani będzie jego królową? — dokończył w ukłonie.

Gdy po przelotnej burzy letniej słońce na wpół przesłoni ostatnia chmurka, zdaje się wówczas, że światło bojaźliwie przekrada się po

przez mgłę kroplista, która gasi stopniowo różkoszny brzask i ciepło promieni.

Tak samo stało się z obliczem młodej kobiety, na widok nowego gościa i na dźwięk jego słów, przypominających tyle — ach, tyle!...

Olanówkę, Żyleńskiego, wieczór dziewiczy i gorzkie słowa tegoż Rojeckiego, ślub własny, haszysz upojen, przebudzenie i ciężką walkę o byt.

Spojrzenia Edmunda i Reni skrzyżowały się na chwilę.

I po przez mgłę tajonych łez i bezmiernego smutku, które błyskawicznie zgasiły słońce uśmiechów i wesela, wyrzała na mgnienie nieśmiało dusza Reni — tej innej, nie dzisiejszej, nie rozbawionej, zalotnej i pięknej wróżki balowej.

— Tak! — odparła zwolna. — Życie lubuje się w kontrastach czasami bardzo jaskrawych... Lecz, dlaczegoż pan zdał w ręce losu dopiero efekt pierwszego widzenia się naszego?... Gdyby pan chciał pokierować niem osobiście, może życie odpowiedziałoby panu inaczej?

— Ach, więc pani jednak, choć późno, przyznać raczy, żem może się ongi nie mylił?...

— Nic nie przyznaję! — zaśmiała się Renia, już po swojemu, całkiem naturalnie, z tym uśmiechem, w którym tętniły już tylko wspomnienia bliskich rozkoszy i upojen.

— Więc jakże mam rozumieć słowa pani?...

— Jako złagodzenie zbyt silnych kontrastów życiowych. Lecz — ucięła nerwowo — z kolei

nie odpowiada mi pan, dlaczego nie zechciał zajrzeć do nas, tu w Warszawie?...

— Wie pani, bawię na stałe dopiero od paru miesięcy. Zająć bez liku, obowiązków towarzyskich, filantropijnych, społecznych i politycznych...

Rozmowa potoczyła się lekka, światowa, banalna.

Za murem tych pustych i czczych komunalów, za ścianą frazesów, dobrze było w tej chwili tym dwogju ludziom, których łączyła ze sobą niefortunna nić chwil minionych, co z bajeczną precyzją szły ku nim żywe, dzisiejsze, rysowały postacie znane i drogie, rozniecając spopielałe iskry i rzucając na tło balowej sali epizody przeżyte, wywołując z cienia postać Marjana.

Słowa przedły się sucho, bezbarwnie, konwencjonalnie, a jednocześnie na ekran wyobraźni Edmunda i Reni myśli wspólne rzucały fantastyczne obrazy wspomnień.

Podczas dialogu męża z Renią, Ira flirtowała zapamiętałe z Noryńskim.

Doczekali wreszcie wszyscy chwili, gdy ścichły tony walca, i skierowali się wspólnie we czworo ku wyjściu.

Na dworze iskrzyła się mroźna noc. Zajechał pojazd Rojeckich. Z wyszukaną grzecznością Ira pożegnała Noryńskich, zapraszając ich do siebie na przyjęcia czwartkowe, Edmund po przyjacielsku uczynił to samo z Renią, lecz względem Kazimierza pozostał bez zmiany. Nie odczwawszy się wprost do niego od chwili po-

znania, zimno i etykietałnie podał mu rękę na pożegnanie, w zachowaniu swem zaznaczając dobitnie różnicę, z którą traktować zamierzał męża i żonę. Z tego uścisku dłoni wiało niechęcią i oddaleniem.

Niebawem, w przeciwnne strony rozjechały się dwa pojazdy, unosząc ze sobą ludzi, których życia tak bardzo pozornie było od siebie różne.

Zbliżone w istocie jednak były one bardzo. Łączyło ich mianowicie wykolenie drogi życiowej przez małżeństwo, z tą tylko subtelną różnicą, że u jednych kwiat cudny miłości promiennej i prawdziwej wiadł i cierpiał przez ciężką walkę o byt, u innych zaś w złocistej gondoli płynął martwy, niepodzielony i nic go zastąpić już nie mogło.

Zrywały się tylko ku niemu pragnienia za osobistem szczęściem, w ramach dobrego wychowania, huczał bunt, dźwięczały kajdany narzuconego siłą praw ludzkich obowiązku współżycia. Jedni drugim zazdrościli w skrytości ducha. Ci pieniędzy, tamci upojeń i prawdziwego uczucia!...

Cudza szczęśliwość wabiła ich wzajemnie swym cieniem, istniejąc rzekomo obok nich blisko, a w rzeczywistości maniła tylko ich łatwo-wierność, przedła się w nich samych niemi marzeń i rojeń! Poza niemi zaś tymczasem i poza tymi, których mieli jakoby za lepiej uposażonych od losu, zawsze tak samo niepochwytne unosiła się bajka o szczęściu ludzkim, błyszczała wiecznie niedościgła na promiennym szlaku ideałów ludzkości!...

V.

Pod całunem ostatnich śniegów, w poświśle wiatru i w zmiennej kapryśnej pogodzie, mieniły się kameleonowo marcowe dnie, na wpół w słonecznych promieniach, na wpół w deszczu i słońcu. Wbrew wszystkiemu jednak czuć było wiosnę, choć daleką jeszcze, lecz pełną już obietnic i czarów.

I uśmiechała się obiecująco ta wiosna czarodziejka gdzieś tam, poza mgłami oparów i w mętnej tafli tających rzek, ukazywała się, jak zjawia, na chwilę po polach, lasach i wabiła uroczą złudnem jeszcze ciepłem słonecznych promieni, falami powietrza, przepojonemi zapachem pierwszych pęków i pierwszych kwiatów.

Konała zima.

Po odbyciu dłuższej przechadzki po mieście i parku, Kazimierz Noryński wracał spiesźnie do domu. Bardzo wrażliwy, odczuwał i on ten powiew subtelny zapowiadającej się pory roku. To złudzenie jednak w przyrodzie rozstrajało dziwnie Noryńskiego, rozdrażnienie zaś nerwów potęgował chaos przeróżnych myśli, co kłębiły mu się po głowie gorączkowo i bezładnie.

Wielki post dawno się już zaczął. Noryńscy powoli wycofali się z zawrotnego kręgu zabaw i omijając zręcznie rauty i inne postne zabawy, powrócili stopniowo do pierwotnego trybu życia. Gonili resztkami, wobec liczego tylko koła nowopoznanych ludzi grając w dalszym ciągu rolę pozorów mienia i zamożności. Kazimierz jednak nie starał się o żadną posadę. Projekty jego i zamiary były teraz zupełnie inne.

Powiedział sobie mianowicie, iż, jako mężowi Usza - Uszańskiej, nie wypada mu brać byle jakiego miejsca. Za pomocą wpływowej i możnej rodziny Reni, obiecywał sobie z czasem stanowisko pierwszorzędne, zarówno zaszczytne, jak i połączone z dobrobytem materialnym. Miał to być rozkwit czekającej go kariery. Tymczasem zaś miał plany inne jeszcze, bardziej zdaniem jego konkretne i pozytywne.

Ni mniej, ni więcej, tylko Noryński chciał zostać koniecznie, par force, obywatelem ziemskim, choćby tylko de nomine. Pragnął mianowicie kupić wioskę.

— Słuchaj Reniu — mawiał często do żony. — Będziemy jeszcze własnymi cugami jeździli, choć widzę, że w to nie wierzysz, jak nie wierzyłaś przed rokiem w moje antyki. Cierpliwości, żonuś, a zobaczysz!...

Projekt Noryński wcielał w rzeczywistość w sposób następujący: zostać faktorem en gros, w kole ludzi nowo poznanych wyszukać typy, nadające się do tego rodzaju finansowych operacji i z otrzymanych zysków przy pośredni-

ctwie w sprzedaży dóbr, lasów, domów itp. kupić sobie majątek ziemski.

I Renia na ten nowy kurs w ich życiu wspólnem zgodzić się musiała. Noryński zwyciężał teraz wszystkie jej wątpliwości triumfalnem wspomnieniem powodzenia przy sprzedaży antyków.

Minęło zaledwie kilka tygodni. Dom Noryńskich z chaosu zabaw i wesołego życia, wpadł błyskawicznie w zgiełk przeróżnych interesów. Kazimierz podał ogłoszenie do pism, złożył odpowiednie wizyty, rozesłał pomniejszych faktorów na wszystkie strony, urządził u siebie godziny przyjęć i stworzył na prędce biuro pokątne, mające pozory istnej kuźni złotodajnych spraw i interesów.

Renia z istnym podziwem patrzyła na męża. Pojąć nie mogła w nim tych ciągłych przemian, których była świadkiem od dnia ślubu, zazdroszcząc mu przytem w duchu werwy, wyobraźni, pomysłów, niefrasobliwej wesołości, a szczególnie tego dziwnego optymizmu i ślepej wiary w jasne jutro życia.

Ulegała mu jednak i stawiała się bezwiednie jego współpracowniczką i żarliwą wykonawczynią projektów jego i nadziei. Czyniła to miłość, co w sercu młodej kobiety rozkwitała zawsze dalej i silniej może jeszcze, niż przedtem, co złościła również istnienie jej, kryjąc ciernie i jeśli nie w życiu, to choć w wyobraźni, kobiercem z róż i kwiecia stroiła przyszłość.

Kazimierz Noryński, wyminawszy parę ulic, dopadł wreszcie bramy domu, gdzie mieszkał.

Miał dnia tego jakieś złe przeczucia. Pomimo nawału projektów i interesów, bieda materialna nie ustawała u Noryńskich. Ostatnie pieniądze topniały, wierzyciele dopominali się o zwrot pożyczek, gospodarz o komorne i tak dalej...

Kluczem od zatrasku otworzywszy drzwi wejściowe, Noryński znalazł się u siebie. Ktoś był w salonie... Posłyszał głos Reni i jakiś obcy, na wieszadle pyszne i drogie męskie futro zdradzało również gościa.

— Może nareszcie jaki dobry interes? — pomyślał Kazimierz i spieszenie wszedł do salonu. Omal jednak nie przemienił się natychmiast w słup soli.

Zajęty bardzo swą czynnością, skrupulatnie i sumiennie, wobec zdenerwowanej i bezradnej Reni, komornik, we własnej osobie, wypełniał obowiązek i opisywał sprzęty.

Noryński jednym susem chciał już skoczyć do nie milego gościa, gdy nagle twarz mu się rozpromieniła i zanim Renia dojrzeć go mogła, znikł już po za portjerą, cofnąwszy się z ręcznie.

Po chwili wyprawiał służącą z domu, razem z nią znikło wspaniałe futro, wiszące w przedpokoju.

Czyniąc to wszystko, Noryński uśmiechał się do siebie i był w świetnym humorze. Niebawem też naturalny i wesoły wszedł od salonu, witając gościa, pozornie z wielką uprzejmością.

— Szkoda, szkoda! — zagaił — że pan tak się pospieszył z wypełnianiem obowiązku. Jutro, najdalej, oczekuję pieniędzy i zapłaciłbym wszystko!

Noryński zapalił spiesznie papierosa i począł nerwowo chodzić po pokoju, włożywszy ręce do kieszeni. Był zły. Gniew wrzał w nim, hamował się tylko siłą woli. Pomimo wszystko jednak, w kącikach pięknych drobnych jego ust, igrał chwilami uśmieszek zjadliwy, a w oczach szafirowych zapalały się co chwila złośliwe ogniki.

Nagle zatrzymał się przed Renią, która siedziała, milcząc, smutna i bierna.

— Czy wiesz, Reniuś, że jakem wrócił tu do domu, przed chwilą, drzwi wejściowe były tylko przymknięte?...

— Nie może być! — zawołała Renia, szczerze zdziwiona i przestraszona zarazem.

— Tak było jednak! — odparł poważnie i serjo Noryński. — Wiesz, kochanie, na przyszłość uważaj, bo okradną nas kiedy do cna.

— Kto zamknął za panem? — rzucił jeszcze Noryński; stawiał to pytanie na pewno, wiedział bowiem, iż służąca miała ten zły zwyczaj, że znikwała natychmiast, wpuściwszy gościa, jak zmyta i ten ostatni zawsze drzwi musiał za sobą zamykać. Zły więc uśmiech przemknął znowu po zaciśniętych ustach Noryńskiego, gdy usłyszał nieśmiałą trochę odpowiedź.

— Co do drzwi, to ja sam zamknąłem, lecz nie zdaje mi się, żebym ich nie zatrzasnął sumiennie?...

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się szyderczo Noryński. — Nie zdaje się panu, a to wprost wspańiałe! Złą ma pan pamięć, panie wykonawco li-tery prawa! Drzwi były otwarte, rozumie maie

pan?... Stanowczo były o—twar—te! — zakończył twardo Kazimierz i rzucił nerwowo niedopałek papierosa w kąt pokoju.

— Może — bąknął nieśmiało sługa prawa i pisał dalej, taksując sprzęty w pokoju.

Noryński tymczasem rzucił zirytowany:

— To dopiero przyjemność mieszkać w książęcych domach!... Czyż nie wstyd arystokracji sprzedawać za komorne lokatora, który na razie pieniędzy nie posiada. On, magnat, nie zubożałby, gdyby mu nawet wcale nie zapłacono!...

— Kaziu! — szepnęła błagalnie Renia, patrząc przerażona na męża.

Noryński jednakże w tejże chwili zerwał się z fotelu. W głębi mieszkania skrzypnęły drzwi i posłyszeć się dały czyjeś kroki.

W kilka minut Kazimierz powrócił uśmiechnięty i wesoły. Trzymał w ręku kilka banknotów, które triumfalnie rzucił na stół...

— No, książę i pan również macie istotnie szczęście, w czepku rodziliście się oba! — zawołał. — Przed chwilą otrzymałem telegraficznie pieniądze!...

Renia patrzyła zdumiona na męża. Skąd on mógł wziąć na razie tyle pieniędzy. Dziś jeszcze rankiem nie miał ani grosza w kieszeni. Zaiste, genialny wprost człowiek z tego Kazia! — zdecydowała w duchu i uśmiech rozjaśnił jej piękną twarzyczkę.

W kwadrans sprawa cała została załatwioną i zażegnana.

Komornik powstał ociężale z krzesła, sięgnawszy po tekę.

W tej samej chwili Noryński wyjął z kieszeni rewolwer i począł bawić się nim niedbale. Naumyślnie przytem trzymał jakoś rewolwer skierowany prosto w piersi nieszczęsnego wykonawcy prawa.

— Pan już odchodzi? Do widzenia, żegnam!
— rzekł Noryński dziwnie zimno i etykietalnie. Przytem, nie podając przybyszowi ręki, otworzył z przesadnem ugrzecznieniem drzwi do przedpokoju.

— Gdzież paltot pański? — zauważył jednocześnie i przycisnął guzik elektrycznego dzwonka, drugą ręką bawiąc się ciągle rewolwerem.

Rozległ się przeraźliwy odgłos dzwonka, a po nim grobowe milczenie. Kazimierz służącą uprzednio wysłał był przezornie.

— 'Widocznie jej niema — zauważył spokojnie — lecz gdzież paltot pański? — powtórzył niby ciekawie.

— Powiesiłem tutaj futro — tłumaczył się zmieszany komornik — i... niema go. Co się stało, nie rozumiem?...

— Ha, ja także! — odparł Noryński. — Choć domyślam się poniekąd. Poprostu ukradli panu futro. Sam pan winien, drzwi pan nie zamknął, stało się. A to szubrawiec! Gdybym tak tego złodzieja przyłapał, zabiłbym na miejscu, jak psa, ot tym poprostu rewolwerem. Akurat nabity.

I mówiąc to, Noryński dotknął palcem cyn-gla, wycelował niby przypadkowo prosto w piersi przerażonego gościa.

Przybysz zbladł jak płótno i zachwiał się na nogach.

Noryński, wytrzymawszy go kilka sekund pod rewolwerem, nie zważając nic przytem na wystraszoną Renię, odwrócił wreszcie lufę i zagadnął zlekka ironicznie:

— A cóż owe futro? Drogie było? co?

— Tak, było bardzo kosztowne — wykrztusił zagadnięty.

— Szkoda! Ale sam pan winieneś. Trzeba było zamknąć drzwi, złodziej wszedł i capnął. No nic, muszę już panu odstąpić własny paltot i podarować go nawet. Watowany, całkiem nowy. Futrobym ofiarował, lecz go nie posiadam. Służę panu...

I mówiąc to, Noryński z wytworną grzecznością włożył na ogłupiałego całą tą sceną gościa własny, dość porządny paltot.

Otworzył przytem ceremonjalnie drzwi wejściowe, nie wypuszczając jednak z ręki rewolweru. Na pociechę zaś i zakończenie, rzucił jeszcze stanowczym głosem:

— Powiadam panu, gdybym tego nicponia przyłapał, byłby już z niego trup i krwi kałuża!...

I rewolwer Noryńskiego znalazł się ponownie na wprost piersi gościa. Strach dodał nieśczęsnemu energii. Rażnym krokiem ruszył naprzód w milczeniu, nie oglądając się, znikł za drzwiami...

Noryński na pożegnanie zatrzasnął za nim podwoje, aż echo jęło po klatce schodowej. Potem zaczął śmiać się do rozpuku, bawiąc się jeszcze bardziej miną oszołomionej Reni.

— A tom go ubrał! Popamięta mnie! —

zawołał w końcu i schwyciwszy żonę w pól, gwizdać począł walca i tańczyć z nią po pokoju.

— Dosyć, Kaziu, dosyć! Daj spokój, co ci się stało? — wołać zaczęła Renia i zmusiła w końcu męża do zaprzestania tańca, ukrócając w ten sposób nagły napad wybujałej jego wesołości. Gdy usiadł, spytała poważnie:

— A teraz przyznaj się, Kaziu, skąd wzięłeś pieniądze na zapłacenie mieszkania?

— Krótko i węzłowato, moja Rleniś droga. Posłałem własne futro tego cymbała do zastawu i z jego pieniędzy zapłaciłem mu. Ha, ha, ha! Nie, to wprost nie do uwierzenia, jaki to idjota, żeby tak dać się podejść. Ale łotr dopiero. Nachodzi mi dom i kompromituje. Ukaralem go należycie. Widziałaś, jak drżał pod lufą rewolweru. Tchórz, szelma, aż zgrzytał zębami. I takiemu to się brać wchodzić mi w drogę. Ale, żem go urządził, tom go urządził. Trząsał się, jak osika. Prababka mu się przypomniała, może sama złodziejka jaka. I on myślał mi imponować. A tu pewnie zemdlął sam ze strachu. Co, jak myślisz? A tom go ubrał. Ha, ha, ha!... Ha, ha, ha!...

I Noryński w najlepsze począł się śmiać znowu tak szczerze i zaraźliwie, że aż Renia uśmiechnąć się musiała. Natychmiast jednak spoważniała i rzekła serjo:

— Mój Kaziu, ja wprost czasem pojąć nie mogę, że w tak ciężkich przejściach życiowych figle cię się ciągle trzymają. Bo przecież znam cię zanadto dobrze, by uwierzyć, że chciałbyś skrzywdzić tego biednego człowieka. Zaraz

jutro poślę do zastawu, albo sprzedam część kosztowności moich i odeślesz mu futro. Kaziu, zastanów się! Przecież on może podać cię do sądu, toż to sprawa kryminalna. A Stefka, którą posłałeś z futrem, świadek dla sądu gotowy. Nie, Kaziu, nie masz wprost litości, by mnie tak niepokoić!

I Renia, powstawszy z krzesła, chodzić poczęła szybko po saloniku. Twarz jej zbladła i głęboka zmarszczka osiadła na czole.

Lecz Kazio tego wszystkiego nie widział. Jak chłopiec swawolny, śmiał się do rozpuku ze złośliwego figla, który wyplatał.

Uspokoiwszy się wreszcie, potarł czuprynę, zerwał się z krzesła i, ująwszy kibić Reni, całować ją począł i pieścić.

— No, Reniu, Reniuś, rozchmurz się, rozwesel, zapomnij! Nie, to wprost nie do uwierzenia. Ona na serjo myślała, żem ja zabić chciał i ograbić z futra tego kretyna. No, siadaj, uspokój się i posłuchaj. Coś bardzo ciekawego ci powiem.

Gdy Renia posłuchała i podniosła nań wzrok zdziwiony, odezwał się uroczyście:

— Wszystko to był żart. Gdy wszedłem tu i ujrzałem tego bałwana, rozpostartego w salonie, chwyciła mnie pasja. Postanowiłem go ukarać i ukarałem. Drugi raz spieszyć się nie będzie. Tymczasem sprawa tak się przedstawia. Mam jeszcze w banku trochę pieniędzy. Umieściłem je tam temu miesiąc. Coś mnie wówczas tknęło. Będzie na czarną godzinę. Jutro odeślę futro. No, a paltot, którym okryłem po chrze-

ścijańsku barki tego idjoty, drżącego ze strachu — naturalnie odbiorę. I cóż Reniu, jak ci się to podoba?... Daj buziaka. A twój buziak tak bardzo słodki!...

I zanim spostrzec się mogła, uniósł ją w górę, jak dziecko, i pocałował w usta.

— Ale, ale — zerwał się nagle i wypuścił z objąć żonę — pójdę i Stefce powiem, żeby mnie czasem do jutra nie wydała. Taka dziewczucha — gotowa! W policjancie może się kocha i stąd wyniknie jeszcze, że mnie wezmą do uła.

Mówiąc to swobodnie, Noryński wybiegł z salonu.

Nastąpiła chwilowa cisza, tylko w powietrzu drgało jakby echo jego słów i mienił się pasmem nieuchwytny jakiś fluid jakby czarowny osobistego wdzięku, który wydzielał się, jak obezwładniająca pieszczota z fizycznego piękna Noryńskiego, z jego głosu, spojrzeń, uśmiechów — z osoby jego całej!

Zamyślona i cicha, Renia siedziała nieporuszona w fotelu. Piękne jej ręce zwieszały się bezwładnie, bladą twarz wykwintnego rysunku nie ożywiały tym razem śliczne oczy, pod sobolowemi gęstemi brwiami spuszczone powieki, odpoczywać się zdawały skupione, zapatrzone w myśli własne.

A myśli te bynajmniej wesołemi nie były. Scena z przed chwili, początek jej i tragiczne zakończenie, zmęczyły moralnie Renię, jak męczyło ją wogóle od pewnego czasu, to życie dziwne, gorączkowe, pełne nadziei, złudzeń, niepowodzeń i zwątpień, pełne ludzi obcych, obie-

cujących złote góry, których słowa nie sprawdzały się nigdy, to życie, które miało być znów początkiem ich nowej egzystencji, które stać się miało jakoby podwaliną ich przyszłego dobrego bytu, stanowiska, majątku!...

I chwile prostracji duchowej, chwile moralnego zmęczenia nawiedzały teraz coraz częściej Renię. Trwały one, jak dotąd jednak, bardzo krótko.

Zwątpienia chwilowe, będące skutkiem utajonej w duszy niewiary w jutro, pierzchały zazwyczaj szybko. Rozwiewała je najczęściej gorąca miłość, którą Renia żywiła dla męża, oraz jego optymizm i wesołość.

Tak stało się również i tym razem. Renia uniosła po chwili głowę i po ustach jej przewinął się uśmiech.

W progu stał Noryński i klaskał w dłonie, uśmiechnięty, wesoły i mówił:

— Sprawa załatwiona. Ale ciężko było. Wyobraź sobie tylko. Stefka nie na żarty oburzona i jakem się dowiedział, rzeczywiście kocha się w policjancie. Sprzedać mnie, zdaje się, miała wielką ochotę. Ale ułagodziłem ją. Myślałem, że będę musiał ją pocałować i tem dopiero kupić milczenie...

Noryński, widząc na twarzy żony wyraz przymusu i niezadowolenia, roześmiał się głośno.

— Serjo Reniuś. Nie wierzysz, spytaj się! Ale bądź bez obaw. Nie zdradziłem cię! — zawołał z udanym patosem. — Stefka zadowolili się tym razem kocia tylko pieszczotą. Pogłaskałem ją tylko po pyszczku. Nie bądź zazdro-

sną! Oj, Reniu, Reniu, jak ja cię kocham, to przechodzi wprost ludzkie pojęcie. Zawszem wierny, jednaki i po uszy zakochany...

Noryński ujął dłonie żony i przysiadł się do niej blisko. Po chwili okrywać zaczął pocałunkami jej czoło, oczy i włosy. Parokrotnie dotknął ustami ust i wtedy miłość potężna brała tych dwojga ludzi w słodkie, czułe objęcia, grała im cudne melodje, tuliła ich pod różanemi skrzydły.

I ściany saloniku zagrały czas jakiś dziwną symfonię, pełną harmonji, zabrzmiały gędźbą słów czułych, pocałunków i pieszczot.

Pierwszy ocknął się Noryński. Powstał i chodzić zaczął po pokoju. W głowie jego i wyobraźni bujnej powstały znowu jakieś myśli i plany. Po chwili już mówił:

— Wiesz, Reniu, że interesa nietęgo idą wogóle. Bo, pomyśl tylko. Pracujemy, biegamy, sprzedajemy, kupujemy już blisko trzy tygodnie, a dotąd żadnego pozytywnego rezultatu. Ale wiesz, jest jeden interes, który dalipan zapowiada się wcale dobrze. Wyobraź sobie; rzecz ta cała przedstawia się, jak następuje:

Już może od dni dziesięciu traktujemy sprzedaż olbrzymich lasów, zarobek wspaniały. Jednocześnie jest do sprzedania śliczny mająteczek. Trochę lasu, stawy zarybione, trzoda, ładny zręczny pałacyk — wszystko niedrogo. Gdyby lasy się udały — stanowczo majątek kupuję. Cóż, Reniuś?... Będiesz jeszcze jaśnie panią i kareta do kościoła jeździć będziesz... Ot, co to jest, mieć sprytnego męża. Cóż, jak ci się to

wszystko podoba?... No, powiedz, Reniusz, powiedz i daj buziaka!

Tu Noryński objął znów żonę.

— Ech, dałbyś spokój! — zawołała Renia i bronić się zaczęła od całusów. — co do jasnie państwa, jak powiadasz — wcale w to nie wierzę. Od jak dawna ty chcesz mnie w pałacu na wsi osadzić. Słyszałam to już wszystko ze sto razy. Cóż dziwnego, że zwątpiłam!...

Noryński, na słowa żony, posmutniał bezwiednie.

— Ha, cóż robić, niewierny Tomasz z ciebie — jedyna. Ale wiesz co, mówmy o czem innem, bo ty masz talent ostudzać we mnie energję. No, jazda, główka do góry! Ubierz się pysznie. Zafunduję ci kolacyjkę w restauracji. Przejedziemy się naprzód z godzinkę. Hulaj dusza bez kontusza. Póki czas, póki czas! Jutro odbierzemy pieniądze, odchodzą koszta futra, zostanie jeszcze sporo. Mieszkanie zapłacone, pohulać trochę możemy. Bieda i tak już prędko kąsać nas będzie. No, ubieraj, się, Reniusz, jedziemy!

Renia opierała się trochę, lecz w końcu pieśzczotom i namowom męża ulec musiała.

W kwadrans później, przez ludne i barwne ulice Warszawy, igrające promieniami marcowego słońca, unosił Noryńskich samochód.

Wokoło nich wrzało i bawiło się wielkie miasto, a oni, młodzi, weseli, zapomnieli wkrótce o całym zajściu dzisiejszem i pełni pogody i wesela, wchłaniając w siebie przedsmak idącej w powiewach zefirów wiosny, poddawali się bierni ogólnej radości, zaklętej jakby na ulicach Syreniego grodu.

VI.

Szara godzina rozgaszczała się dziwnie smutnie w czterech ścianach komnatki, na czwartem piętrze olbrzymiej modnej kamienicy, rojnej, ruchliwej i głośnej, niby żyjące oddzielną egzystencją miniaturowe miasto.

Pokój był dość duży, z alkową. Przedpokoił łączył go z obszerną kuchnią, przeistoczoną umiejętnie, a nawet gustownie w zręczny gabinet, czy też kancelarję.

Mieszkanie to zajmowali Noryńscy.

Tydzień temu przeprowadzili się z drugiego krańca Warszawy w ten kąt odległy i mało uczęszczany przez koło eleganckich znajomych, których niefrasobliwem życiem żyli ostatnich kilka miesięcy.

Wstydzili się bowiem poprostu obecnej biedy i dawszy nura w ludnej Warszawie, ufali, iż przypadek i los ślepy nie zdradzi ich tajemnicy.

Życie tymczasem i przyszłość Noryńskich przedstawiały się bardzo niepewnie, z powodu uporu i optymizmu Kazimierza.

Choć myśl zostania ziemianinem odbiegła odeń stopniowo, pod ciężkimi uderzeniami nie-

powodzeń w tym kierunku, a w wyobraźni spełził miraż „jaśnie państwa“, Noryński jednak nie kapitulował. Ponieważ udało mu się parokrotnie zarobić tam i ówdzie większe sumki grosza, w umyśle jego wyklął się plan pokrewny, wpływający z zajęć pośrednictwa. Noryński postanowił mianowicie założyć biuro komisowe. Chodziło o fundusz na ten cel, i o tę to sumę od kilku tygodni starał się Kazimierz dniami niemal całymi.

Renia zaś była w rozpacz, przeczuwała bowiem znowu zły koniec tego przedsięwzięcia, a z niem upadek może niższy jeszcze, niż dziś, po stopniach bezlitośnej biedy...

Przed chwilą właśnie Noryńscy dość żywo posprzeczali się wzajemnie, co zdarzało się wogóle bardzo rzadko, od krańcowych bowiem uniesień gniewu broniła ich zawsze dzielnie miłość, zawsze tak samo jasna, promienna i piękna, wiecznie różaną jutrznią nadziei odradzająca ich dusze.

I tym razem również przy pomocy tej wróżki - czarodziejki, zwyciężyła Renia. Uprosiła Kazimierza, by jej pozwolił pójść do Rojeckiego, prosić go o protekcję dla niego, w celu objęcia jakiejś stałej posady i pocałunkami, pieszczotami i prośbą przełamała w końcu upór męża.

Od godziny Noryński oczekiwał sam jeden powrotu żony.

Pomimo wszystko był ciekawy rezultatu rozmowy jej z możnym i wpływowym dziś w Warszawie Rojeckim.

Żując niedopałek od papierosa, Noryński

zbliżył się do okna. Wychodziło na ulicę, lecz z tak wielkiej wysokości trudno było, o tej zwłaszcza porze, rozeznać przechodniów. Zmierzch zapadał... Światła gdzieś błyszczały tylko.

Nagle Noryński drgnął, ktoś szedł po schodach. Skoczył ku drzwiom i otworzył je z impetem.

— Czy to ty, Reniu? — zagadnął.

— Tak jest! — rozległ się w mroku klatki schodowej przytłumiony i zmęczony głos Reni.

Weeszła milcząc.

Noryński potarł szybko zapałkę i zaświecił lampę. Spojrzał na żonę... Była bardzo blada, oczy zaczerwienione zlekka i woalka, zwilżona niedostrzegalnie od łez, nie uszły badawczemu spojrzeniu Kazimierza.

— Płakała — pomyślał. — A musiały być to łzy najgorsze, łzy upokorzenia, które bołą długo, choć ślad już po nich pozornie zaginał — mówił sobie w duchu dalej, w nagłym jasnowidzeniu, którem obdarzyła go — miłość.

I poważny całkiem, co mu się, jak wiadomo, zdarzało rzadko, zbliżył się Noryński do żony, czule pocałował ją w czoło i pomógł zdjąć palcok.

Ujawszy zaś w dłonie pieszczotliwie zziębnięte nieco rączki Reni, posadził ją na otomanie i usiadł przy niej, objawszy zlekka jej wiotką kibić.

— No, i cóż kochanie?... Zamilkłaś, jak sfinks czarowny?... Jeśli zresztą nie masz nic miłego i ciekawego do opowiedzenia, co widzę

z twej buzi niezadowolonej jakby, no, to mówmy o czem innem! Wiesz przecież, iż przewidywałem z góry, że z tego nic nie będzie. To ty, aniołku, uparłaś się i widzę, że teraz, po niewczasie, żałujesz.

— Wcale nie! — odezwała się nareszcie Renia, i ucałowawszy serdecznie męża, uwolniła się z jego objąć.

Po chwili mówić zaczęła swobodnie:

— No, słuchaj Kazik! Opowiem ci wszystko dokładnie. Z początku nie wiedziałam sama, co począć?... Mówić ci, czy nie? Coś mnie wzięło przytem i obręczą zdusiło za gardło. Lecz wolę ci już wszystko powiedzieć. Więc było tak... Rojecki przyjął mnie z początku bardzo grzecznie, wspominać począł Olanówkę, czasy dawne i komplementami obsypał. Lecz trwało to krótko. Gdy tylko napomknęłam o tobie, o posadzie, zmienił się i chłódł. To wszystko jednak byłoby jeszcze drobnostką. Nagle poruszyliśmy, nie pamiętam nawet kto, ja, czy on, temat naszego małżeństwa. Coś wtedy ukąsiło go poprostu. Napomknął o Marjanie Żyleńskim, o tej naszej nieszczęśliwej rozmowie na wieczorze dziewiczym. Pamiętasz?... No, i powiadam ci, biegać zaczął po pokoju, wypominać, no i mówić przeciw tobie, mój najdroższy, co się tylko zmieści! Broniał cię naturalnie, a w końcu rozgniewało mnie to wszystko i rzekłam bardziej już porywczo kilka słów przykrych. Nie obraził się jakoś jednak, uśmiechnął tylko i odpowiedział:

— No, no, ktoby to się jednak spodziewał?

Kocha pani tego swego męża, kocha pani bardzo, aż nadto może... Nie zasługuje pewnie wcale na taką miłość — głowę bym dał, choć go prawie nie znam! — No i tym podobne rzeczy. Naturalnie w formie żartobliwej, bo inaczej nie dałabym mu przecie tak o tobie na serjo mówić. Ale, mój Kaziu drogi — tu Renia usiadła mężowi na kolanach i przytuliła się doń pieścizotliwie — to nie wszystko i to byłoby nic, gdyby nie zakończenie wizyty tej, istotnie niefortunne!...

— No, cóż jeszcze? — mruknął słuchający uważnie Noryński. — Siła złego na jednego, mój ty kotku drogi, ale przyznać musisz, że sama tego chciałaś. No, mów Reniuś, wypowiadaj się już do końca, niebożatko ty moje! Słucham...

Ucałował żonę, a ona mówiła dalej:

— Stało się to całkiem niespodzianie, Rojcki oto pyta mnie się nagle:

„No, wszystko to dobrze, ale jednego nie rozumiem! Teraz, o ile pojąłem, są państwo w potrzebie, bez środków dla zapewnienia sobie egzystencji. Cóż jednak znaczyły te tak niedawne zabawy, tualety, karnawały, cyrki, koncerty, rauty?... Przecież to wszystko drogo kosztuje?... Spadek otrzymaliście państwo, czy co? No, niech się pani przyzna!“

— Nie wiedziałam poprostu, jak wybrnąć z tego pytania, a wkońcu od słowa do słowa wyciągnął odemnie całą prawdę. Zarzucił wtedy nam obojgu lekkomyślność, rozgniewał się poprostu. Nagle, przypomniawszy jakby coś sobie, rzucił się do biurka i szperać zaczął w szpargałach. Wynałazł wreszcie jakieś pismo

i przeczytał głośno... Myślałam, że spale się ze wstydu! Wspomniawszy te chwilę, rozpłakałam się na ulicy.

I Renia zakryła twarz rękami z rozpaczliwym gestem.

Po chwili, w porywie, piękna, jak rzadko, zawołała z wyrzutem:

-- Czy wiesz, co to były za pieniądze, które otrzymaliśmy za meble?... Od kogo one były, od kogo?

Zaczekała chwilę i rzuciła drżąc:

— Od Żyleńskiego Marjana! On przez miłość dla mnie — tu spuściła oczy — udał, że potrzebuje antyków, i kupił je, by nam w ten sposób przyjść delikatnie z pomocą materialną. On, rozumiesz, Kaziu, on, szlachetny, zapoznany i odrzucony przezemnie, zapłacił nam, wyraźnie zapłacił nie tylko życie, mieszkanie, ale wszystkie rozrywki, bale i zabawy! Ukryty, niewidzialny, rzucił nam w twarz jałmużnę. A wiesz, co zrobił z meblami? Okazały się tak mało starożytne, że nie uznał ich nawet godnymi ulokowania w pałacu, lecz umieścił w oficynie dla gości, których nigdy nie przyjmuje. Rozumiesz, Kaziu, w oficynie! Z jaką złośliwą pogardą odczytał mi ustęp ten Rojecki, nigdy nie uwierzysz?... I co ja przeszłam w czasie czytania tego pisma, również nie pojmiesz nigdy i nie odczujesz?... Co za upokorzenie, co za szalone poniżenie!... Aż boli dotąd...

Renia umilkła. Podniecenie jej zgasło i rozpłakała się głośno, jak małe dziecko.

Noryński wzruszył lekko ramionami i po-

wstał ociężale. Takiego końca nie przewidywał. Pragnął obrócić w żart wszystko, obrzucić szyderstwem Rojeckiego, wydrwić, kopnąć, ośmieszyć. Tem pocieszyć Renię i zmusić do zapomnienia niemiłego zajścia. A tu — lzy?... Och, te kobiety! Był bezradny i nudzić go to wszystko zaczynało. Zbliżył się zwolna i niechętnie do żony. Płakała wciąż, zanosiła się od łkań, szlochała głośno. Rzekł łagodnie:

— Moja Reniu, dziecinna jesteś. Więc cóż z tego, że twój Żyleński chciał nam dopomóc? Dobrze zrobił tylko mojem zdaniem. Kto ma dużo, dawać powinien tym, którzy nic nie posiadają. Żeśmy może za szybko te pieniądze wydali, to przyznaję, nasza wina, ale na tem też koniec. Nie widzę powodu do skrupułów, do łez i tak dalej... Jeśli pan Żyleński ma tak czułe serce, że zapomnieć ciebie nie może, to tylko dowodzi po pierwsze, że można w tobie, kotuś, zakochać się poważnie, a powtóre, że ów pan Marjan to bardzo porządny człowiek. Puszcza w ruch pieniądze i to nie egoistycznie, lecz rządzi się altruizmem, myśli o bliźnich, a przede wszystkim o tobie, która bliską sercu mu jesteś... Stąd zaś spływa słuszna korzyść dla mnie, jako szczęśliwszego odeń rywala. Nie widzę w tem wszystkim nic zdrożnego. Już takie prawo w życiu. Nie zasłużony bierze, lecz szczęśliwy. A co się tyczy owej oficyny, przez duże O, furda Reniuś! Cóż to cię obchodzić może, gdzie tkwią obecnie te pociejowskie antyki? Jest też, doprawdy, o co się martwić! Szkoda nerwów i pięknych oczów. Zapłacił

hojnie i dobrze ulokował pieniądze, to grunt! A reszta cała funta kłaków nie warta! Wszelkie obrazy, zupełnie nie na miejscu, kobieca nadczułość nerwów i nic więcej. Dobrze sobie!... Rzucił nam w twarz jałmużnę, powiadasz? A ktoś go prosił, żeby meble owe kupował? Dziś moja Reniu, czasy inne. Wiek dwudziesty, era trzeźwości i rozsądku. Bierz Michale, co Bóg daje, — dobre polskie przysłowie. Zapamiętaj je sobie. A inne znów głosi również mądrze: Darowane-mu koniowi w zęby nie patrzą!... Zresztą, moja Reniu, dosyć o tem. Cóż zgoda?... Osusz łezki i weź się do czego, to zapomnisz o wszystkim. Ja wychodzę na miasto za interesami. To tylko jeszcze powiem, że z tego wszystkiego, coś mi naopowiadała, jedno tylko ważne: że na protekcję Rojeckiego liczyć nie można. Ten pan wcale nie gentleman, za jakiego go miałem, lecz osioł, łotr i szubrawiec, iż tobie, kobiecie słabej, miał śmiałość i czelność to wszystko powiedzieć! Gdyby tak na mnie trafił, wytłukłbym go pałką, lub po buzi wytrzepał. Cóż robić jednak, samaś chciała go widzieć.

No wreszcie, nie mówmy już o tem! Nudzić mnie zaczyna ta szopka cała. Do widzenia, Reniuś! Pa, pa, pa, dzieciátko najdroższe! Nie płaczmy, bądźmy dobrej myśli, kochajmy Kazieczka!...

I kłaniając się dłonią, jak dziecku małemu u piastunki na rękach, Noryński począł się cofać ku drzwiom.

Renia podniosła wówczas głowę i uśmiechnęła się blado, przez łzy jeszcze... Od paru chwil

łkanie jej ścichło. Trzcźwe słowa męża, a głównie ton lekki, którym wypowiedziane były, uspokoiły nerwy Reni i podziałały skuteczniej, niż pocieszenia i pieszczoty. Odezwała się głosem drżącym jeszcze, lecz do normalnego brzmienia już podobnym:

— Ale mój Kaziu, zapomniałam ci jeszcze coś powiedzieć dość ważnego...

— Słucham? — zatrzymał się na progu Noryński. — Spiesz się tylko, kochanie, bo mi bardzo pilno, krótko więc, treściwie.

— Gdy wychodziłam już z gabinetu Rojckiego — odparła Renia — spotkałam w przyległym saloniku panią Irę, zatrzymała mnie i przywitała serdecznie, prosząc, byś ją odwiedził. Powiedziała, iż co do protekcji, zmienić się jeszcze coś może, że postara się nakłonić męża... Prosiła tylko, byś zameldował się przez lokaja wprost do niej. Widocznie chce dopomóc, jak umie. Poczciwa! Musi mieć dobre serce. Pójdiesz?...

— Ależ, naturalnie, kochana Reniu! Niema, jak z kobietami... Ogromnie lubię załatwiać z nimi wszelkiego rodzaju sprawy. Napewno pójdę! No, widzisz Reniu, istne z ciebie lekko-myślne stworzenie, prawdziwa kobieta, która pisząc list, wypowiada się dopiero w post-scriptum. Naopowiadałaś tyle, a o najważniejszym mówisz na końcu. Trzeba było od tego zacząć. No, żegnam!

— Kiedy wrócisz?...

— Nie wiem, może bardzo późno. Na wszelki wypadek, koteczku, dobranoc!

Stuknęły drzwi i rozległy się pospieszne kroki Noryńskiego po schodach.

Renia długą chwilę pozostała na jednym miejscu bez ruchu. Gdy wstała, zgasiła światło! Raziło ją ono obecnie i męczyło dziwnie. Czuła przytem ogromne znużenie moralne i fizyczne. Gdy w pokoju zapanowała ciemność, ułożyła się na sofie, usiłując zasnąć. Lecz sen nie przychodził. Myśli natomiast nieposłuszne kłębiły się w mózgu Reni, rozsadzały zmęczoną główkę, brzęczały pod czaszką, jak roje pszczoł, paliły drobnymi iskierkami, które zapalały się tam jakby i gasły, niczem gwiazdy na ciemnym szafirze nieba, co ponad nią rozpostarł się niezbadany i migotliwy, zaglądając w oczy ciekawie przez szybę okna.

Śledząc zaś okiem iskrzące się pyły wszechświata, którego rąbek mały objąć stąd mogła tylko spojrzeniem — Renia myślała już o czem innem, niż zdawałoby się na pozór mogło.

I w tem nie przeniewierzyła się również giętkiej, chłonej żywo wrażenia naturze, par excellence, kobiecej.

Wspomnienie Rojeckiego, przykrego zajścia i upokorzeń — były już od niej daleko. Miłość potężna i wielka w swej mocy pchnęła ją była do tego kroku, zmusiła poświęcić się dla drogiego serca mężczyzny i znieść wszystko, by jego tylko oszczędzić.

Przebolawszy tę chwilę, Renia obecnie wchłaniała już w siebie tylko żywo wrażenia ostatnie. Główka jej znękana zaprzątnięta była

teraz niepokojącym pytaniem, które od dłuższego już czasu często bardzo stawiała sobie w duchu.

— Dokąd poszedł Kazimierz? Dlaczego dziś znowu powróci tak późno? Dlaczego codzień niemal to czyni?... Czyż możliwe, by to nieszczęsne towarzystwo pośredników, żydów, faktorów pochłaniać go mogło tak dalece?...

Przypuszczenie mgliste, niepewne, że mąż zręcznie bardzo zdradza ją może czasem gdzieś przygodnie, poza oczami, od pewnego czasu trapiło stale biedną Renię.

W pierwszych latach po ślubie była o Kazimierza zupełnie spokojną. Przedewszystkiem nie odstępował jej wcale, zawsze zakochany, dobry, miły, czuwający nad każdym jej skinieniem, klęczący u stóp, okrywający ją pocałunkami, pieścizotliwy, nie widzący poza nią nigdy innej kobiety...

Czas jednak stopniowo uczynił swoje. Już w okresie niedawnych zabaw i zgiełkliwego, lekkomyślnego, aczkolwiek wspólnego życia, po przez szeregi towarzyskich zebrań i balów, zauważyła Renia u męża dziwną łatwość przystosowywania się do każdego środowiska, a głównie do towarzystwa młodych i pięknych kobiet, do których, mówiąc nawiasem, Noryński zawsze miał tak zwane szczęście...

I pomimo, iż bawiła się sama i była ciągle z Kazimierzem, pomimo, iż ten przygodny, salonowy, a całkiem niewinny flirt, kończył się zawsze na gruncie towarzyskim i neutralnym, Renia częstokroć bywała już w głębi duszy zazdrośną bardzo o męża. Bolało ją właśnie to

szczęście do płci pięknej, które posiadał w tak wysokim stopniu Noryński, gniewały uwielbienia i miłość, które wzbudzał, drażniła wreszcie dyskretna aureola uwodziciela, co zdaje się przyrosła wprost do jego osoby i w której w istocie tak bardzo mu było do twarzy...

Nie odezwała się jednak nigdy słówkiem jednym, gryzła się tylko skrycie. Miesiące niefrasobliwego szału minęły bezpowrotnie, Renia odechnęła z ulgą na myśl, iż Noryński wycofa się nareszcie z tego koła bałamucących go i bałamuconych przezeń kobiet.

Ziarnko jednak podejrzeń, które tliło się w jej duszy, zostało gdzieś na dnie serca kochającej kobiety i Renia spoglądała już innem okiem na męża, nie wierzyła mu już tak bałwochwalczo, śledziła bardziej wyraz jego oczu i twarzy, słuchała uważniej brzmienia jego głosu i badawczo wpatrywała się weń wówczas, gdy, powróciwszy późno do domu, opowiadał nazajutrz, gdzie był i co porabiał. A zdarzało się to obecnie codzień prawie.

Wieczne zebrania, narady, interesa i interesa, pochłaniały jakoby całe noce.

Noryński opowiadał ze szczegółami epizody i zdarzenia, które towarzyszyły tej pogoni za złotem runem.

Wątpić zupełnie w słowa męża Renia nie miała prawa, od czasu do czasu bowiem Noryński przynosił ze sobą większe lub mniejsze sumki, z których obecnie żyli tylko — jak ptacy niebiescy, niepewni jutra, żerując, gdzie się dało i wyrrywając życiu grosz na wywalczenie sobie

bytu. Potwierdzenie zresztą opowiadań Noryńskiego znajdowała często Renia w rozmowach, które przy niej prowadził Kazimierz z różnorodnymi ludźmi, nawiedzającymi go codziennie.

Jednak... wbrew temu wszystkiemu, bywały chwile, w których Renia wątpiła w słowa męża, pojąć nie mogąc, by poza dniami całymi, sprawy i interesa różnorodnych pośrednictw zajmować mu mogły noce całe?

Jad podejrzeń saczył się do jej duszy kropla po kropelce, palił, bolał i gniewał. Przeczynała bowiem, jeśli nie w krainie miłości i przywiązania, to w dziedzinie zmysłowych zachcianek bujnego temperamentu Kazimierza, jakieś podejrzane i ciemne miłostki, których igraszką i aktorem czynnym stawał się jej Kazimierz ukochany, uwielbiany i ubóstwiany...

— Ach, gdybym zdobyć mogła choć jeden dowód — myślała często Renia, lecz bezsilna, spotykała wciąż tylko próżnię przed sobą. Zresztą i czasu jej brakło, by śledzić męża. Poza domowem gospodarstwem miała różnorodnych, drobnych zajęć bez liku. Zarobki Kazimierza były bardzo problematyczne i niestałe. Tymczasem trzeba było żyć z dnia na dzień, i o tem myśleć poważnie musiała Renia.

Starala się przygodnie pracować w domu. Udaowało się jej zdobyć nieraz zajęcie i pracowała wówczas gorączkowo, zawzięcie i bez wytchnienia. Szyla mianowicie bieliznę do sklepów, robiła pończochy i krawaty, przepisywała akty, rękopisy, malowała pocztówki. Zarobek wprawdzie był drobny, wypełniał jednak luki

których pokryć nie mogły dochody Noryńskiego, oparte na szczęściu i trafie, walczące z konkurencją i oszczerstwem współników, łudzące tak często i kończące się zawodem.

Zdarzało się jednak, iż Renia zdobyć nie mogła domowej pracy. Wówczas myślała więcej. Podejrzenia rosły, nurtowały ją, bunt zrywał się w duszy i wstawała tam chęć szalona dowiedzenia się czegoś stanowczego, konsekwentnego i złapania wreszcie Kazimierza na gorącym uczynku zdrady małżeńskiej. Dziś naprzykład...

Od wyjścia Noryńskiego Renia biedziła się z myślami. Parokrotnie chciała już nawet narzucić nakrycie i lecieć w świat, na miasto — za Kazimierzem. Zmęczenie jednak fizyczne i moralne przykuwało ją do miejsca.

I znużenie to wreszcie zwyciężyło zupełnie. Sen zlitował się nad nią i uniósł wkrótce w krainę złudzeń, w królestwo zjaw. W godzinę po wyjściu Noryńskiego, Renia spała spokojnie, z uśmiechem na ustach, śniąc może znowu, ale w barwach rozkosznych o swej miłości, dla której wyrzekła się niezależnego bytu i bogactw, dla której porzuciła wszystko i poszła w świat, z tęczką biedy i walki o jutro, aby być tylko przy boku tego wybranego z tysiąca innych, by żyć jego życiem i miłować go i być o niego zazdrosną, by wypić do dna kielich słodczy i gorzyczy, który w księdze przeznaczeń wychylić jej może było wskazaniem.

VII.

Z miną urzędową wielkiego człowieka do małych interesów, siedział Kazimierz Noryński przy wielkiem biurze, zarzuconem księgami, papierami i notatkami.

W zaimprovizowanym gabinecie, na czwartaku, przyjmował interesantów od piątej do siódmej codziennie. Renia ulatniała się wtedy z mieszkania, by ustąpić miejsca ciżbie różnego rodzaju indywiduów i podejrzanym figur, z zewnętrznego przynajmniej wyglądu.

Pokój sypialny Noryńskich, w godzinach wskazanych, przedzielano kotarą na dwie połowy. Jedna z nich, łącznie z mikroskopijnym przedpokojem, stanowiła poczekalnię.

Dnia tego u Noryńskich roilo się od przybyszów.

Szukające posad ubogie wdowy, pokątni doradcy prawni, mecenasi z pod ciemnej gwiazdy, żydzi, faktorzy, pośrednicy, chrześcijanie, stare wygi w wyszarzałych ubraniach, bez określonego zajęcia, noszący w zanadrzu kolosalne interesa, spekulanci od zamian domów i majątków ziemskich, z zyskami na księżycu, fantaści wre-

szcie, niepraktyczni, narwańcy i blagierzy, młódź, szukająca gwałtem po świecie złotego runa, wierząca ślepo w genialne pomysły własne, któremi częstowała wszystkich interesomanów bezskutecznie — ta cała zbieranina, szara, zmordowana walką o byt, zawodami, niepowodzeniami, wyzuta częstokroć z prymitywnych zasad uczciwości i etyki, stanowiła główny kontyngens klienteli Kazimierza Noryńskiego.

Kilkanaście podobnych przeważnie typów tłoczyło się i dziś w poczekalni, paląc papierosy, aż dusiło za gardło, a Noryński, z nabytą już rutyną i wprawą biegłego w swym fachu, załatwiał wszystkich szybko, gładko i zręcznie.

Kończył właśnie dłuższą tym razem rozmowę z jakąś wyszarzałą damą, starą, brzydką, szukającą pożyczki dla wywalczenia spadku po krewnych i majątków niegdyś przez rząd zabranych. Perorując, starała się ona wmówić w Noryńskiego bezwzględną pewność wygranej, wtykała mu w ręce jakieś wycinki z gazet, nagłówki z korespondencji ministerjalnych, adresowanych do niej, cytowała zdania osób wpływowych i wybitnych, u których otrzymała już w życiu audjencję...

W końcu zasypała Noryńskiego szeregiem górnobrzmiących nazwisk arystokracji rodowej, chcąc go przekonać, iż na protekcji jej nie zbywa, pragnąc gwałtem go przejednać, zmusić do znalezienia potrzebnych jej pieniędzy.

— Jakaż pani może dać ewikcję na ową pożyczkę? — zatrzymał wreszcie Kazimierz potok wyrazów przybyłej.

— Żadnej, panie kochany, żadnej panie drogi! Ale czyż nie dość panu opowiedziałam, czy pan mi nie wierzy?... Czy nie masz pan litości dla biednej wdowy?

— Nie znam pani! — rzucił krótko Noryński i powstał zły i zdenerwowany.

Pożegnał sucho kobiecinę, wyprowadziwszy ją niemal za drzwi.

Dnia tego nie miał jakoś szczęścia. Miejsce wdowy zajął człowiek młody, od poprzedniczki zapalczywszy jeszcze, wymowniejszy, gwałtowniejszy i bardziej fantastyczny.

Reporter, czy dziennikarz, mimorum gentium, bez zajęcia na razie, głodny zapewne, więc zły, ciskający gromy na wszystko i wszystkich, były krzykacz wiecowy, którego mętne fale fermentu rewolucyjnego wyrzuciły na wierzch, trybun uliczny i blagier, szukający żeru i ludzi łatwowiernych, którzyby poszli na lep jego wymowy, przybysz ten nowy denerwować poczynął szalenie Noryńskiego.

Kilkakrotnie zręcznem półsłówkiem pragnął go się pozbyć, daremnie jednak.

— Czego pan chcesz właściwie? — rzucił wreszcie.

— Założyć pismo, zupełnie nowe, takie, jakiego nikt nie widział jeszcze i nie słyszał o niem. Pomysł mój własny, ja nań tylko mam monopol. Połowę pism tutejszych położę, zniszczę, zabiję! — krzyczał wprost zapamiętale. — Tych rzezimieszków, wydawców, krwiożerczych harpij ludzkiej pracy, potu i nerwów — podetnę. Zbankrutują i żebrać będą, a gdy przyj-

dać do mnie po łaskę, po pieniądź, lub protekcję, za drzwi ich wypchnę, lokajowi ze schodów zrzucić każę. I oczyszczę, zamiotę tę stajnię Augjasza! Pismo moje stanie się rzekami: Pe-neusem i Alpheusem! Dam społeczeństwu pismo takie, jakiego nie posiada jeszcze, które mu korzyści moralne, ba, materialne nawet przynieść może! Ale to mój sekret!... Wyjaśnić go dopiero mogę temu filantropowi i dobroczyńcy ludzkości, temu szlachetnemu obywatelowi kraju, który zdolnym będzie odczuć mnie, pojąć i zrozumieć! Gdy zetkną się nasze jaźnie i zbratają dusze — pieniędzy dać mi on musi, pieniędzy dużo, wiele, bo bez tej podłej mamony, nic na tym padole uczynić wszak nie można!... Rozumiesz pan teraz, na jaki cel potrzebuję grosza? Dostarcz mi pan tego człowieka! Zarobisz — nie pożalujesz!... Cóż zgoda? Skończyłem.

Wyciągnął prawicę...

Machinalnie podał mu dłoń Noryński, powstał jednak równocześnie bardzo szybko i patrząc na gościa, jak na warjata, rzekł sucho:

— My takich interesów nie załatwiamy. Przynajmniej ja, osobiście. Udaj się pan do kogo innego! Żegnam.

Oblany zimną wodą redaktor in spe, zmieształ się i skierował ku drzwiom, tembardziej, iż do pokoju wtaczał się już w rozpiętym futrze, z sobolowym kołnierzem, stary, otyły i siwy żyd, a podając końce palców Kazimierzowi, witał go protekcjonalnie.

— No, panie Noryński, jak się mamy?... Co

słysząc u pana? Ja tu w interesie, ale bez świadków.

— Ten pan wychodzi — rzucił skwapliwie Kazimierz i z uniżoną grzecznością podsuwał fotel staremu izraelicie.

Żyd ze strachem spojrzał na Noryńskiego i przeprowadził palcem po czole.

— Myszigenes!... Na psa urok! Nie będę mówił, aż wyjdzie. On jeszcze z brauningiem tu gotów sobie powrócić?...

Noryński uśmiechnął się, milcząc. Przyszły „redaktor - wydawca“ tymczasem, gwiżdżąc nie-dbale, ubierał się wolno w przedpokoju. Wreszcie na pożegnanie huknął raz jeszcze drzwiami i kroki jego rozległy się niebawem po schodach.

Żyd odetchnął z ulgą i odezwał się w te słowa:

— Mnie mówili, co pan, panie Noryński, ma bardzo piękną żonę i z bardzo wielkiego domu? Nu, ja miałbym do niej jeden interesik. Chciałbym pomówić sam na sam...

Noryński, zdziwiony, spojrzał na gościa, którego, aczkolwiek pierwszy raz widział u siebie, znał dobrze i słyszał wiele o jego zamożności i szczęściu do wielkich interesów, które miały tę znów stronę dodatnią, że udawały się zawsze.

— Dlaczego pan ze mną o tem mówić nie chce, tylko z moją żoną? — spytał wreszcie. — Jej tu o tej godzinie nigdy niema. Zresztą, moja żona do spraw pośrednictwa się nie miesza. Więc nie rozumiem, dlaczego?

— Nu — odparł powoli żyd — dlaczego pan ma wszystko rozumieć?... Ja mam fein — chrzą-

knał uroczyście — gut interesik do zrobienia, ale ja potrzebuje — upierał się dalej — pogadać z pańską żoną. No, no, ja przyjdę jutro...

I żyd, powstawszy ociężale z fotelu, podał znów dwa palce Noryńskiemu.

O ile grzecznie przyjął go na wstępie Kazimierz, o tyle teraz zimno i obojętnie dotknął dłoni żyda, z pewną jakby odrazą.

— Czego chceć on może od Reni? — świ-drowało mu w mózgu uporczywe pytanie.

Tymczasem żyd powoli oddalał się całkiem obojętnie. Ten spokój starego izraelity rozgniewał nagle Noryńskiego.

Noryński rzucił głośno za odchodzącym:

— Panie Szulberg, proszę jeszcze na słówko! Ja, jako mąż, muszę wiedzieć, co pan chciałeś powiedzieć mojej żonie. Rozumiesz pan? Mam do tego najzupełniejsze prawo.

Żyd wpół obrócił grube cielsko w stronę mówiącego, cmoknął ustami i odparł:

— Prawo?... Co to jest prawo?... Panie Noryński, pan duży dzieciak jest.

I biorąc wszystko z czysto praktyczno-życiowej strony, dorzucił:

— No, niech pan będzie spokojny, stary Szulberg o byle co nie fatygowałby się do pańskiej żony!

I wskazując grubym palcem na portret Reni, robiony z fotografii, zapytał ciekawie:

— Nu, a ta śliczna kobieta, to może pani Noryńska?...

Kazimierz skinął potwierdzająco głową, uba-

wiony bezwiednie fizjognomją starego, na której malował się zachwyt i podziw.

Żyd stał, patrzył i cmokał tylko ustami. Wreszcie, z dobrotliwym uśmiechem, zupełnie już ułagodzony, usiadł napowrót i dłuższy czas wpatrując się w Noryńskiego, rzekł przyciszonym głosem:

— Nu, ja namyśliłem się... ta pańska żona — to taka śliczna kobieta jest, że una i z obrazu tak patrzy i śmieje się, jakby tu była, żywa. Ja będę sobie myślał, co una nas słucha i będę panu mówił...

Rzecz cała taka jest. Tylko, panie Noryński, niech się pan nie rzuci! Spokojnie, bo to, co powiem, to wielka tajemnica jest i rarytny bardzo interes. Tylko nie każdy zrozumieć to potrafi...

— No, mówże pan prędzej! — rzucił niecierpliwie Noryński.

— Nu, co to jest? — zachnął się żyd z kolei. — Pan już się gniewa, a cóż to będzie, jak wszystko opowiem?... Słuchaj pan. Sprawa ciekawa jest...

Hrabia Retyński, pan wie, ten miljoner, co to kawaler jest i lubi się dobrze bawić, kazał mi raz przyjść do siebie i tak zagadał:

— „Słuchaj, żydzie!“ — Un tak czasem pozwala sobie ze mną, taki hrabia! Ale un i uszanować i zapłacić dobrze potrafi i stracić, jak potrzeba. Nie pożąda pieniędzy. Więc tak powiada: — Słuchaj, żydzie, ty znasz tę Noryńską, co to cała ulica, gdzie ona mieszka, nazywa „piękną“?

— Dlaczego nie mam znać? Ja wszystkich znam — odpowiadam, bo wstyd mi było powiedzieć, co ja jej nie znam...

— I męża znasz?

— Znam.

— To powiedz jej, jak ją zobaczysz, że chciałbym ją poznać osobiście.

Tu żyd przestał na chwilę, spojrzał przenikliwie na Kazimierza, uśmiechnął się chytrze i dokończył półgłosem:

— Nu, panie Noryński, a jakby un poznał taką fein kobitę? Aj, waj! Un zakochałby się zaraz, a pan i ja mogliby z nim robić, cobyśmy chcieli... Moglibyśmy być jego pośrednikami, kupować, sprzedawać: lasy, majątki, domy! Aj, waj, coby to był za geszeft!...

Nagle żyd mówić przestał zupełnie.

— Gwałt! Co to jest?! — wrzeszczeć jednak począł niezwłocznie i urwał, patrząc przestraszonym wzrokiem przed siebie.

Stała się bowiem rzecz całkiem dlań niespodziana.

Noryński złapał go za kołnierz i trząsał nim, jak wichura drzewkiem przydrożnem. Krzyczał mu przytem w twarz głośno:

— A ty, łotrze, ty gałganie, ty zbój, ty kanaljo! I ty śmiesz mi przychodzić z taką wiadomością. A won, a precz! Bo ubiję, oczy wykłuję, łeb rozstrzaskam!

I Noryński blady, jak śmierć, porwał martwego z przestrachu żyda z siedzenia i ciągnąc zaczął za sobą.

W przedpokoju i całym mieszkaniu nie było nikogo.

Noryński, w pasji, wściekły, otworzył gwałtownie drzwi i wypchnął żyda.

Za nim poleciały wyrzucone, jak z procy: czapka, parasol i kalosze.

Huknęły zatrzaśnięte drzwi i nastąpiła grobowa cisza.

Noryński powrócił do gabinetu i wyczerpany rzucił się na fotel.

W głowie huczał mu rój myśli, a ciało ogarnęło nagle jakby wyczerpanie. Kosztowała go moralnie ta chwila, wypoczywał teraz, sapiąc.

Pot kroplisty wystąpił mu na czoło, twarz pokryła bladość. Siedział długo, zanim powstał spokojny.

W głębi jego duszy kiełkował zamiar, który pragnął urzeczywistnić już dawno, tylko sprawy sobie z tego nie zdawał dokładnie.

To życie faktora nie było dla niego! To była istna moralna katorga.

I doczekał się nareszcie kolosalnego interesu, doigrał się zapłaty za trud i bieganie, zdawna oczekiwane znalazł złote runo! Znany w całym mieście birbant i hulaka, chciał pozyskać względy jego żony, w zamian za dostarczenie mu zysków i faktornego... Z odrazą wstrząsnął się Kazimierz, bo, wbrew wszystkiemu, takim łotrem nie był jeszcze i kochał Renię.

Szepnął do siebie:

— Jutro zamykam tę przeklętą budę! Dziej się wola Boża...

I począł przechadzać się zwolna po pokoju.

Dopiero teraz widział wyraźnie, jak nudziło i nużyło go szalenie dotychczasowe życie bez jutra, ta egzystencja ptaka, zawisłego na gałęzi, który gniazda stałego i pewnego nie ma, który żeruje to tam, to ówdzie, gdzie się da.

Często już bardzo opanowywała go myśl: porzucenia tej drogi, na którą rzucił się nieprzygotowany, jak zwykle, pełny optymizmu i różowych złudzeń...

— Tak! Porzucić wszystko, zwinać, wziąć się do czego innego! — szepnął do siebie Noryński i zaklął kilkakrotnie...

Czoło poorało mu się w zmarszczki drobne, z wyteżeniem pracował widać myślą, ze sobą walczył zawzięcie.

Nagle, westchnął, machnął ręką i wybiegł do poczekalni. Począł się ubierać gorączkowo. Wkrótce, w stroju wizytowym, wyświeżony i piękny, pogasił światła, narzucił paltot i wybiegł na ulicę.

Niebawem, rozparty w dorożce, uśmiechnięty już i wesoły, jechał przez ciemne zaułki i głucho oddalonej miejskiej dzielnicy — tam, do rzeczywistej rojnej i wesołej, prawdziwej Warszawy, do śródmieścia, tonącego w powodzi światła, gdzie szych, blichtr i prawdziwe bogactwo spychają w cień, biedę i nędzę wielkiego miasta.

Noryński zwyciężył siebie i zamiłowanie swe do cygańskiego żywota, postanowił szukać stałego zajęcia i jechał w tym celu do pani Iry Rojeckiej prosić o protekcję.

Ufając w szczęśliwą swą gwiazdę, Kazi-

mierz pewny siebie, zajechał przed pałacyk Ro-
zeckich. Spojrzał w okna...

Na pierwszym piętrze paliły się światła.
Zadzwonił.

Czekał długo, zanim otworzył mu drzwi
sztywny, ubrany w herbową liberję i wygolony
służący.

Noryński podał bilet i rzekł rozkazująco:

— Proszę oddać bilet mój pani i spytać się,
czy przyjmuje?...

Lokaj ciekawem okiem obejrzał nieznanego
sobie gościa i zwolna skierował się na górę. No-
ryński został sam w jasno oświetlonym, obszer-
nym przedpokoju i rozglądać się zaczął ciekawie.

Dwa duże wypchane niedźwiedzie stały
obok niego i strzegły wielkiego stołu, wyłożo-
nego mozaiką. Na srebrnej tacy bieleły tam
bilety wizytowe i porzucona leżała dzisiejsza
pocztą...

Ściany zdobiły portrety dawne, rodzinne
i królująca nad nimi śliczna, okazała głowa ro-
gacza. Jeleń patrzyć się zdawał łagodnymi oczy-
ma na Noryńskiego, cały w blasku żyrandola,
zwieszającego się od sufitu. Wprost pod nim
uśmiechała się do widza, w rzędzie portretów,
jedna z licznych prababek — wykwintna, raso-
wa i piękna, ze sznurem pereł na szyji i djade-
mem brylantowym we włosach. Przedsiónek
kończył się u dwuramiennych pałacowych scho-
dów, krytych dywanami, ubranych gustownie
egzotycznymi roślinami. Na zakrętach ich wy-
chylały się dyskretnie popiersia i rzeźby... Scho-
dy te, łagodnie oświetlone, prowadzić się zda-

wały w jakąś krainę cichego szczęścia, bogactw i zbytku.

Wrażenia tego doznał Noryński, gdy zaproszony uprzejmym gestem lokaja wstępował po nich na górę, do salonów pani domu.

Kazimierz znalazł panią Irę w małym bu-duarku, siedzącą na tle mebelków złotawo - białych i złoto - miedzianych draperyj obicia.

Była w stroju domowym, z czarnej materji, spowita w białe zwoje koronkowego szalu i zdała się Noryńskiemu ujmującą, wykwintną, prawie że piękną. Pieściła na kolanach rasową białą psinę o szerści długiej, puszystej i delikatnej.

Ira Rojecka przywitała onieśmielonego bezwiednie gościa całkiem naturalnie, jak dawnego, dobrego przyjaciela, którego zwykła była widzieć w tym milieu bardzo często.

Rozmowa potoczyła się lekka, błyskotliwa... Ira zręcznie oddalała ją do czasu, od przedmiotu, który, przeczuwała, sprowadził tu tylko gościa, chcąc dać mu czas ochłonać i stać się zupełnie sobą.

Udało się jej to całkowicie.

Noryński, kierowany umiejętnie rączką młodej kobiety, idąc śladem jej rozmowy, zapomniał zupełnie, z czem przyszedł, zaaklimatyzował się, stał się rozmownym, miłym i patrząc na niego, doprawdy zdawać się mogło, że wychowały go i ułożyły do życia te salony, tak piękny był w nich i układny.

Ira, z pod długich rzęs obserwowała go ciekawie, uśmiechała się kącikami ust, kokietując

go umiejętnie spojrzeniem, falistymi ruchami obnażonych po łokcie pięknych rąk i miarowem pochyleniem w jego stronę kibici całej, muskającej nieznacznie słuchacza zwojami koronkowego szalu.

Noryński wkrótce pożerać ją zaczął oczyma. Odczuwał się w nim bałamut. Ożywił się znacznie, począł żartować i flirtować zlekka.

— Ach, panie, jestem wprost niegodziwa! — zawołała nagle pani Ira i zadzwoniła na służącego. — Trzymam pana tutaj i nie każę podać nawet herbaty. Mille fois pardon!... Tak wprowadźcie dobrze gawędzimy sobie, mais une tasse de thé, nigdy nie zaszkodzi!...

Rzuciła służącemu rozkaz i zwróciła się znów do gościa:

— Widzi pan, dziś nie jest mój urzędowy dzień przyjęć, służba więc czeka polecenia. Ale, wie pan? — tu spojrzała na niego przeciąglej. — Jestem osamotnioną właśnie od wczoraj. Mój mąż wyjechał za granicę...

— Dokądże, nic nie wiedziałem? — zadziwił się Noryński.

— Jak obecnie, do Monte-Carlo, tam zjechać się ma z towarzyszem lat młodych, panem Marjanem Żyleńskim. Vous connaissez peut-être? I później razem ruszą w świat szeroki. Rzym, zapewne Neapol, Florencja itd. Ja zaś zostałam i wybieram się z wiosną na wieś. Mam na Ukrainie zakątek śliczny, zapadły, cichy. Ça me reposera! Europa już mnie nie nęci! Umieję ją na pamięć. Ale à propos, panie Noryński — tu pani Ira zwróciła się poważniej do gościa —

rozmawiam tu i gawędzę, a zapominam o interesie. Żona pańska prosiła mnie o posadę dla pana, Edmund także o niej wspominał. I wie pan — tu spojrzęła znów zalotniej — zdaje się, że znalazłam coś dla pana?...

— Nie może być! — zawołał ucieszony Noryński. — Jakże pani jest dobrą! Stokrotne dzięki!...

Pani Ira uśmiechnęła się zlekka, wejście służącego przerwało rozmowę. Uroczysty stanął przed Noryńskim z tacą, pełną przyborów do herbaty.

Pieszcząc wzrokiem twarz Noryńskiego, coraz przytulniejsza i miłsza, niby kotka, pani Ira przysunęła się nieznacznie do Kazimierza i mówić zaczęła dalej z przymileniem, usta zaś przytem drżały jej nerwowo i rozchylały się kusząco.

Zmysłowa piękność pani Iry świeciła znów triumf. Oczy Noryńskiego chłoneły ją poprostu i słuchać zaczął ze zdwojoną uwagą, gdy przemówiła w te słowa:

— Tak, mam dla pana jakby stworzoną posadę. Jedna tylko słaba strona, pan żonaty, to miejsce dla kawalera — uśmiechnęła się dziwnie. — Tak jest, nie zdumiewa to pana?... Takie to tam w tym zapadłym kącie obyczaje. Nie mam poprostu w zarządzie tego majątku ani jednego żonatego człowieka! — roześmiała się pusto. — Nawet mieszkania — mówiła dalej — zbudowane są w tym celu, zawierają tylko skromne kawalerskie pokoje. Pomysł nieżyjącego mego ojca, który utrzymałam dla tradycji.

Roześmiała się znów wesoło, jak trzpiot

i zagadnęła, patrząc Kazimierzowi w oczy, z przekorą i zalotnością:

— Nie dziwi to pana, panie Noryński?...

— Ależ, bynajmniej! — zaprotestował żywo Kazimierz. — Co kraj, to obyczaj. Słucham z zajęciem dalej...

— Otóż to lubię!... Szczerść za szczerść! Pan mi daruje, że to powiem. Ogromnieby mi pan pasował na rządę mego majątku... Tylko nie wiem, czy pan zna wogóle stosunki wiejskie? Czy był pan kiedy na wsi?...

Spojrzała pytająco.

Noryński o obowiązkach tego rodzaju nie miał pojęcia, zastanowił się chwilę, lecz, jak zwykle, nie wątpiąc o niczem, rzekł śmiało i stanowczo:

— Byłem! Wśród stosunków wiejskich przeżyłem kilkanaście lat mego życia. Pamiętam wiele i sędzę, że mógłbym objąć posadę, proponowaną mi łaskawie przez panią.

Zaległo chwilowe milczenie.

Ira Rojecka obserwowała ciekawie Noryńskiego z pod oka i uśmiechała się kącikami ust. Czy domyśliła się, że kłamie, czy było to jej w zasadzie obojętnem, czy poprostu śmiesznym jej się wydał w roli rządcy dóbr, on, wyglądający raczej na przebranego księcia, on, pieśczocho i ulubieniec kobiet, uwodziciel serc niewieścich...

Nie rzekła nic jednak, nie odkryła swych myśli. Po przelotnej chwili namysłu, rzekła natomiast całkiem poważnie.

— A więc — dobrze. Zgadza się mieć

pana za rządcę majątku mego na Ukrainie. Wrazie jakichkolwiek z pańskiej strony pod tym względem wątpliwości i wahań, uspokoić go mogę. Straszna i wymagająca — ciągnęła z uśmiechem — nie będę. A zresztą — dokończyła obojętnie — gospodarstwa tamecznego nauczą pana szybko starzy, wysłużeni praktycy, podwładni oficjaliści jeszcze mego ojca. W Mokrynówce — tak się nazywa mój majątek — wszystko opiera się na rutynie i idzie siłą dawnego rozpędu. Zmieniać, zaprowadzać postępowe gospodarstwo jeszcze zawcześnie. Przysięgam, nie życzę sobie tego. Dla teoretyków więc i opatentowanych agronomów - postępowców niema u mnie miejsca.

— Tak! — zakończyła wykładzik agrarny pani Ira i powstała z miejsca powoli.

Noryński z kolei obserwował ją ciekawie. Kobieta ta, która dotąd działała nań tylko dziwnie pociągająco zmysłową urodą i siłą w oczach, oto zmieniała się na wyrobioną już życiową osobkę, obdarzoną zmysłem praktycznym. Słuchał jednak uważnie i milczał.

Pani Ira zbliżyła się tymczasem do małej, inkrustowanej, staroświeckiej i wysokiej komódki, a otworzywszy jedną z licznych szufladek, wydobyla stamtąd rulonik papieru.

— Oto umowa z byłym rządcą. Zechce pan przejrzeć to uważnie i najdalej jutro dać mi odpowiedź piśmienną. Przyjąłbym pana nie mogła, bo cały dzień mnie w domu nie będzie. Miejsce do objęcia za dwa tygodnie. Ja pojutrze wyjeżdżam sama do Szwajcarji, stamtąd podążę

do Mokrynowki. Chciałabym już pana tam zastać, obznajmionego z sytuacją i obowiązkami. Warunki te same, co u poprzednika pańskiego, z tą tylko różnicą — dodała z wdzięcznym i zalotnym uśmiechem — że co do pana, biorę go pod swoją wyłączną opiekę... Zechce pan może stołować się w pałacu. Spróbujemy wspólnie zabijać wiejskie nudy w godzinach wolnych od obowiązków i pracy. Choć, co do mnie, wiem ogromnie lubię. Enfin, nous verrons! Chodzi tylko o to, czy żona pańska zechce, choćby czasowo tylko, rozstać się z panem?... Lecz, prawda! Cóż się nie robi, gdy się musi. Przypuszczam, że miłość żony pańskiej nie będzie tak wyłączna i egoistyczna... Tu chodzi, nieprawdaż, o byt i przyszłość was obojga?... Droga, na którą pan wejdzie, może stać się dlań korzystną i później, gdy wprawi się pan w gospodarstwo u mnie. Może zresztą zmienię system i będę przyjmowała żonaty, lub zarekomenduję pana gdzieindziej, gdy u mnie pan pozostać nie zechce. Enfin, na razie, nie wchodzę w dalsze szczegóły. To rzecz pańska. Proszę bardzo jednak jutro o stanowczą odpowiedź, żeby zdążyć znaleźć zastępcę, choć wątpię, czy się znajdzie odpowiedni... Mam nadzieję zatem nie zawieść się na panu — zakończyła Ira Rojecka bardzo grzecznie, z wielkopańską uprzejmością, a zarazem jakąś pieśczośliwą jakby dobrocią, wyciągając rękę do zasłuchanego w jej słowa Noryńskiego.

Kazimierz skwapliwie schwycił podaną rączkę i ucałował.

Noryński czuł jednocześnie, że wypada mu

się pożegnać i szukał odpowiedniego frazesu, by zrećźnie zakończyć wizytę. Nie znalazł nic, chaos dziwny powstał mu w głowie, kojarzyły się tam ze sobą jakieś myśli radosne, przeczucia i zwątpienia, miłość do Reni, i pociąg zmysłowy do stojącej przed nim kuszącej postaci Iry Rojeckiej. Rzekł tylko zmieszany:

— A więc przedewszystkiem dziękuję bardzo pani za pamięć o mnie i żegnam. Jutro, wedle umowy, dam odpowiedź na piśmie!

Przy tych słowach ucałował raz jeszcze Norzyński rączkę pani Iry, skłonił się i wyszedł.

Ira Rojecka, przeprowadziwszy go wzrokiem, uśmiechnęła się...

Stała chwilę, słuchając oddalających się kroków, poczem ułożyła się wygodnie na miniaturowej otomance, zarzuciwszy pod głowę piękne toczzone ręce.

Na twarzy młodej kobiety osiadło zamyślenie i trwało długo, póki nagły płomień wewnętrzny nie oświecił jej oblicza i ciemny rumieniec nie zabarwił policzków.

Przymknęła oczy i popadła w marzenie, z zagadkowym uśmiechem na wydatnych, zmysłowych wargach.

VIII.

Po polach i zielonej runi zbóż, po fali wiślanej, płynęły ciche szepty radosne!

— Idzie rozkosz i ciepło! Idzie wiosna, a z nią pierwsze kwiaty i pierwsze pęki i pierwsza zielen!...

— Idzie wiosna triumfalna, wspaniała, a z nią pierwsze dreszcze miłosnych upojeń, pierwsze pragnienia, marzenia i złudzenia pierwsze!

Z łąk, borów i pól, z pieniących się górskich potoków, z Wisłki szarej, z leśnych strumieni i z łąków i płaszczyn Mazowieckiej ziemi, do serca jej, w ciasne mury Warszawy, wdzierało się przemocą to tchnienie wiosenne i szło zwycięskie w promieniach słońca i odbijało się wyraziście w poweselałych spojrzeniach spieszących po ulicach mieszkańców... Kwietniowy cudny dzień chwycił za serca, podwajał wrażliwość nerwów, gromadził w duszy porywy i wzloty i pachniał aromatem fiołków, leśnego kwiecia, odurzał i wabił.

Wbrew powszechnemu radosnemu nastrojowi, smutno było dnia tego w skromnem mieszkaniu Noryńskich. Panował tu nieład nie do opisania.

Sprzęty były gdzieś powynoszone, w środku pokoików stały paki, kilka kufrów, po kątach wałały się połamane graty, kupy śmiecia, poobrywane tkaniny, stosy szpargałów i ksiąg niepotrzebnych.

Wśród tych nieporządków, niby bohater na pobojuwisku, stał Kazimierz Noryński, w wyszarzonym brązowym palcie jesiennym z peleryną, podniszczonym kapeluszu pluszowym na głowie i z torebką podróżną, zawieszoną przez ramię. Obok Renia, ubrana także do wyjścia.

— No, mnie już pora! Jechać trzeba w świat szeroki za chlebem! — zadeklamował jakoś nie-szczerze. — Do widzenia, kochanie! — zaśmiał się, — nie smuć się — dokończył miękko. — Trudno. Dziś pod wozem, jutro na wozie! Ruch, w każdym razie. Stagnacją nikt jeszcze do niczego nie doszedł. Ukróca energię i zamyka widnokrąg. No, moja Reniuś, bądź zdrowa!...

— Ależ, Kaziu! Ja przecież ciebie tak nie puszcze. Ja odprowadzę cię na kolej! — zawołała, ze drżeniem w głosie Renia, której na płacz się zbierało.

— Jak chcesz! — skrzywił się nieznacznie Noryński, który w duchu wołałby być już sam na swobodzie i nie lubiał wogóle czułych kolejowych pożegnań.

Renia spojrzała z jakąś tajoną urazą na męża.

— No, jak uważasz, Kaziu. Ja myślałam jednak, że by ci to przykrość sprawiło, jeślibym — tu urwała zmieszana.

Łzy stanęły jej w oczach, płacz podstępnie

chwycił ją już za gardło, dławili piersi i czaił się, by wybuchnąć w łkaniach.

Noryński zmiarkował, że uraził żonę.

— Myślałem, że ci się tak daleko jechać nie będzie chciało. Od rana samego na nogach. Te wszystkie przeprowadzki...

Umilkł i spojrzał w okno. Zapanowało chwilowe milczenie.

Koleje życia Noryńskich zmieniały się znowu. Kazimierz jechał do Mokrynówki, Renia zostawała w Warszawie. Część mebli przeniesiono dziś do składu, resztę najniezbędniejszych do nowego mieszkania Reni, do małego pokoiku przy rodzinie.

— Wiesz, już jest dorożka! — odezwał się nagle Noryński. — Zaraz wezmą rzeczy, jedziemy...

Po chwili, w ciasnych izdebkach zjawili się kilku ludzi. Niebawem Noryńscy podążali już do dworca.

Po pewnym czasie dorożka wjechała na most. Rzeka pławiła się w słońcu, na horyzoncie majaczyły żagle, u brzegów stały berlinki, mętne szarożółte fale, pieniające się biegły w dal, ku łąkom i lasom, ku swobodzie i wiośnie, zieleni i kwiatom!...

Noryński, z dziwnym zadowoleniem, wciągnął w nozdrza ten przedsmak bujnej przyrody i uśmiechnął się do siebie. Renia tęsknym wzrokiem pobiegła również hen, daleko, po falach Wisły i westchnęła cicho.

Ona — zostawała...

Nie mówili nic i milcząc dojechali do dworca.

Tu odrazu wpadli w wir i zgiełk przedostatnich chwil odejścia pociągu.

Spóźnili się. Brak kufrów ocalił tylko Noryńskiego, zdążył jeszcze kupić bilet i uściskawszy czule Renię, z pakunkiem w rękę, puścił się pędem. Pociąg ruszał już zwolna...

Kazimierz dopadł do pierwszego lepszego wagonu i posławszy jeszcze ręką żonie całusa, znikł z oczu.

Długo stała Renia, goniąc okiem oddalające się wagony.

Ukradkiem obcierała łzy, głowa ją bolała, nadmiernie fizyczne zmęczenie dokuczało, wstrząśnienie moralne i ból podwajały ten stan — siły opuszczały Renię... Zwolna powłokła się znużona blada i smutna do pierwszej lepszej drożki i kazała się wieźć do miasta.

Noryński tymczasem mijał wagony jeden po drugim, szukając miejsca. Znalazłszy wreszcie jeden pusty przedział, drzwi zasunął i ułożył się do snu. Upadał ze znużenia. Konduktor niebawem przerwał mu drzemkę. W parę minut po jego wyjściu, Kazimierz spał już snem sprawiedliwego.

Obudził się dopiero w Brześciu Litewskim, gdzie należało zmienić pociąg.

Jasno oświetlona piękna sala dworca, ruch, zgiełk i wrzawa orzeźwiły Noryńskiego. Posiliwszy się, powracał całkiem już wypoczęty. Pociąg był inny, wszędy gotowano się już do spoczynku.

Odszukawszy z trudem miejsce, Kazimierz znalazł się w towarzystwie szlachcica kresowego, rosłego, siwiejącego już mężczyzny, który

natychmiast rozpoczął z nim rozmowę. Czytał właśnie jakiś dziennik i uprzejmie zwrócił się, podając go Noryńskiemu.

— Nie, dziękuję, nie mam jakoś ochoty do czytania! — odparł Kazimierz. — Zresztą ciemno.

— A, tak — potwierdził przygodny sąsiad podróży — i mówiąc między nami, nie warto. Prenumeruję właśnie na wsi ten oto dziennik. Szkoda czasu go czytać. Och, panie, ta prasa!... Rozpacz poprostu! — zwierzać się zaczął Noryńskiemu.

— Prenumeruję zatem owo pismo i uwierzy pan... Dać sobie rady nie mogę! Tak wszystko mi się we łbie kręci. Panie! Każdy objaw życiowy, każda kwestja niemal rozświetlona z punktu stronnictwa. Gryzą się ze sobą, kłóca, aż czytać serce boli. Wszystko owiane duchem, atmosferą partji, lub wyłącznych przekonań, potępiających ryczałowo wszystko, co nie zgadza się matematycznie z wytkniętym z góry programem. Pismo to nie jest w stanie poprostu stanąć na gruncie neutralnym, ponad partjami, ponad programami i nie potępiać wielu objawów życiowych, tylko dlatego, że pochodzą od ludzi wrogiego stronnictwa, cudzych przekonań, nie-nawistnych sfer, lub klas narodu, wreszcie od jednostek li tylko niesympatycznych osobiście, albo należących do korporacyj i związków, stojących na przeciwnym biegunie.

Tout comprendre — c'est tout pardonner! Nieprawda panie?... Co więcej, naród nasz potrzebuje jedności, miłości, zgody i dopiero wtedy mieć może nadzieję dopłynięcia kiedykolwiek

w przyszłości do pomyślnego portu. W zjednoczeniu siła! Lecz, gdzież tu nawet myśleć o tem? Ząb za ząb, oko za oko. To dewiza dzisiejszej prasy partyjnej!

Tu wymowny szlachcic kresowy westchnął, jak miech kowalski i smutnie spojrzał strapiony w oczy Noryńskiemu, oczekując słów, potwierdzających jego wywody.

Kazimierz, uśmiechając się pod wąsem, słuchał z uwagą i rad był w duszy, że los mu narzucił miłego sąsiada. Zajął go poglądy nieznanomego i odparł, ożywiając się bezwiednie:

— Wie pan, iż nie zgodzę się z nim w zupełności. Trudno. Polemika być musi!... Z niej tylko wyłania się częstokroć naga prawda. Z pojedynków na słowa, wśród zderzeń się stali, wśród pocisków i boju na śmierć i życie wytryska czasem promień światła, uwypuklają się szczegóły, odzwierciedla fałsz, znikają wątpliwości, ukazuje się w ramie sprawdzonych faktów, zdarzeń, epizodów, niezbita prawda. Co więcej, często ciemna, podziemna i zakulisowa robota wychodzi na światło dzienne, stawia pod pręgierz ludzi, którzyby pod niem nie znaleźli się nigdy, którzyby dalej oszukiwali społeczeństwo i rzucali mu w oczy pył, ludzające pozory!...

Noryński unilkł i spojrzał z pod oka na sąsiada podróży.

Szlachcic kresowy machnął ręką wzgardliwie.

— Daj pan spokój! Od tej, powiedzmy, nie szlachetnej już szermierki, ale poprostu bijatyki na słowa, żadna prawda nie ukaże się światu. Przeciwnie, wykazuje tylko namiętności ludzkie

i obniża poziom prasy. Ja, przyznam się, mam tego już dosyć! Prenumerowałem kilka pism wrogich sobie, lecz tak znudziły mnie ich polemiki i taki chaos w głowie powstał mi z tego wszystkiego, że dałem spokój. Przestałem je czytać zupełnie, a w końcu prenumerować. I pomyśl pan, — ciągnął dalej z równym zapalem — że takich jak ja, jest u nas, na kresach, daleko więcej. Mamy wprowadzić pisma własne, lecz nie dziw, że garniemy się do waszych. Po pierwsze, to siła przyzwyczajenia, po drugie, nasze redagowane są o wiele słabiej, wreszcie dziwić się chyba nie należy... Przywykliśmy zwracać wzrok i uwagę ku stolicy, skąd płynąć winno strumieniami światło rzeczywiste, promienne, jasne! Wy tam nie zdajecie sobie nawet sprawy, jak śledzimy bacznie wszystko, co u was pisze się i drukuje? Uwierzy pan, że niema miesiąca, bym ja oto osobiście nie był zmuszony wystosowywać listów do redakcji dzienników, z powodu artykułów i artykułików, pojawiających się na ich szpaltach. Szczególniej z jednym z reporterów kłóć się już od roku. Poprawiam mu błędy gramatyczne i historyczne, wyławiam chwasty stylowe, wycinam je z jego artykułów, przyklejam na listach i z właściwymi komentarzami odsyłam do redakcji. Lecz i tu — rozpacz! Wyobraź pan sobie, że dotąd ani na jeden list mi nie odpowiedział!...

Noryński śmiać się zaczął szczerze.

Rozmowny sąsiad umilkł na chwilę. Kazimierz zaś, którego ta pogawędka bawiła i zapominać kazała o Reni i smutnych sprawach,

zagadnął znów ciekawie, zmieniając z kolei temat rozmowy.

— A cóż tam słyszać na kresach?... Jakie myśli, prądy, marzenia, panują tam obecnie? Jakie w życie wcielają się czyny?...

I wypowiedziawszy te słowa, Noryński uśmiechnął się.

— Udał mi się ten frazes — pomyślał z uciechą. — Rozgada się znów mój stary. Tem lepiej.

Nie omylił się. Posłyszawszy pytanie, szlachcic wąsaty zasepił się wprawdzie nieco, na nowo jednak, jak to mówią, rozwiązały mu się usta.

— Wszystko po staremu, kochany panie! — mówić zaczął — obojętność zupełna. Większość ludzi, będąca na stanowiskach wybitnych, rządzi się zasadą: byleby tylko nie było gorzej, to niech już będzie, jak było! Stan średni stanowczo jest za mało uświadomiony.

Noryński począł bronić napastowanych przez szlagona podwładnych i panów.

Zapalczywy szlachcic zmiękł stopniowo i złagodził nieco stawiane zarzuty. Odezwał się po chwili:

— Co do właścicieli ziemskich, kochany panie, stanu średniej własności i oficjalistów, nie potępiam ich wreszcie całkiem. Mówiłem właściwie o mieszkańcach najbliższej mi tylko okolicy. Lecz co do ludu, stanowczo twierdzić mogę, że w ciemnych masach panuje obojętność zupełna na sprawy społeczne, przytem chłopstwo u nas nurza się po uszy w gusłach i przesadach. Dość powiedzieć, iż byłem sam świad-

kiem w najbliższym sąsiedztwie mojem, jak zwyczajny, Bogu duszę winny paralytyk, uchodził za jasnowidzającego i niemal świętego. Jak gdzieś indziej znowu inny, podczas bardzo srogiej zimy, robił przy tej okazji świetne interesa. A wie pan, jakim sposobem?... Oto poprostu, korzystając z jednej strony z łatwowierności ludu, a z drugiej z silnych nadzwyczajnie mrozów, przepowiadał koniec świata, tak określając sytuację: „Słuchajcie ludzie... (Widzicie, co się dzieje? Jakie panują straszne mrozy? Lecz to nie wszystko w porównaniu z tem, co czeka was za tydzień, za dwa! Ptaki oto marznąć będą w powietrzu, dobytek cały, konie, nierogacizna, woły, kury, kaczki, drób cały!... Darujcie mi więc to wszystko póki czas, a ja za to błagać, modlić się będę i może wyproszę wam ocalenie!

— Ha, ha, ha! — roześmiał się szczerze Norryński i śmiał się dalej z opowiadania szlachcica, aczkolwiek słyszał już je gdzieś i kiedyś, a staremu gawędziarzowi nie bardzo wierzył, by to wszystko osobiście mu się przytrafiło...

I rozmawiali w ten sposób jeszcze czas jakiś *de omnibus rebus et quibusdam aliis*, a wreszcie, idąc za przykładem chrapiących bez ceremonji obok sąsiadów, do snu sami układać się zaczęli.

Stary gawędziarz usnął natychmiast, od Norryńskiego jednak uleciał sen. Powróciły pytania, zwątpienia i nadzieje... Zamajaczyła w wyobraźni kusząca postać Iry, przesłoniły ją z kolei wspomnienia smutne i uroczą sylwetka załzawionej Reni.

— Co ona, nieboraczka, porabia obecnie?

— pomyślał nagle Noryński i spojrzał w okno wagonu.

Pociąg mknął przez ciemny cichy bór. Z łoskotem pędziły wagony, budząc drzemiące lasy. Echo igrało po szczytach drzew, odbijało się o pnie sosen rosochatych i szło dalej i dalej, nie-
litościwe i jednostajne.

Na tle zaś ciemnego boru migotały co chwila jakieś niby ogniki błędne. Były to iskry, lecące od lokomotywy pociągu. Noryński, pogrążony w myślach, patrzył wciąż z napięciem w okno.

Przed nim, jak marzenia lotne, rojenia złudne, jak nadzieje ludzkie, porywy serc i ducha — nietrwałe, jak wszystko na ziemi — pyłem ognistym zapalały się cudne, promieniste isierki — motyle i gasły, umierały cicho, na ciemnem tle borów... Czasem snop ich cały mienił się przed wzrokiem Kazimierza, czasem, przeciwnie jedna, jedyna iskra odrywała się i padała na ziemię...

Mrugała światłem i gasła...

A wtedy Noryński żałował jej skonu, bardziej jakoś, niż tamtych, co ginęły wspólnie... Dlaczego?

Myślał może o Reni, której żywot jeden, taka sama isierka mała we wszechżyciu ludzkości, paliła się gdzieś tam sama jedna, zdala od niego i od swoich.

Noryński westchnął i odwróciwszy się od okna, usiłował zasnąć.

Za nim, na tle nocy, snuły się dalej pyły promienne i konały cicho.

IX.

Pachniały bzy i słońce uśmiechało się do bladej, świeżej zieleni łąk, pól i lasów ukraińskiej ziemi, w nowe szaty ubierały się stepy tęskne i ciche, zadumane jary. Nawet chaty kmiecie, małeńkie i skronne, powtulane w ukwiecone sady, na tle białych i blade - różanych drzew, wyglądały uroczu i śmiały się wesoło do jutra, do życia, do szczęścia!

W polu wrzała praca.

Miał też sporo roboty Noryński na nowem stanowisku głównego rzadcy dóbr mokrynowieckich.

Dotychczas nad podziw dawał sobie radę. Uprzejmy, grzeczny, sympatyczny i układny, nie zraził sobie nikogo z dawnych sług i oficjalistów miejscowych.

Przeciwnie. Chętnie pomagali mu wszyscy i obznajmiali z gospodarstwem. Od kilku tygodni Noryński, pracując wprawdzie dniami całymi, nauczył się wiele i mógł już rozkazywać i kierować innymi, tak dobrze i zręcznie, iż wymówić mu nie było można braku znajomości rzeczy.

Energiczny i bardzo zdolny, niezmiernie

szybko wszedł w swą rolę. Podwładni lubili go, słuchali i balli się zarazem. Potrafił karać bowiem bezwzględnie. W miarę przystępny, powagę zachować zawsze umiał. Pomimo to, sympatję już powszechną sobie zaskarbił.

Nietylko w dobrach mokrynowieckich, lecz i w okolicy, z niezwykłą zręcznością, Noryński pozawierał stosunki z ludźmi, będącymi na takich samych mniej więcej stanowiskach.

Bywał więc u dzierżawców okolicznych, u rządców dóbr, u wyższych oficjalistów najbliższej fabryki cukru, u księdza proboszcza, u małomiasteczkowych dostojników. Wpadał zwykle wieczorem, grywał w karty, umizgał się do kobiet, z mężczyznami o gospodarstwie i innych sprawach rozmawiał.

I wszędzie rychło bardzo polubili pięknego, uprzejmego i wesołego rządcę Mokrynowki.

Dnia tego Noryński porzucił gospodarstwo i był od rana, jak w gorączce. Przyjazd pani Iry Rojeckiej zapowiedziany był wieczorem. Kazimierz zaś chciał koniecznie okazać się godnym objętego stanowiska, poprzedników pogrążyć, przedstawić się w korzystniejszym od nich świetle, stać się innym, nowym! Zabrał się do tego z właściwą sobie energją i pomysłowością. Robota była wielka, pani Ira tak dawno nie była w swym dworze.

Zaczął więc przedewszystkiem od pałacu. Od samego rana wietrzono pokoje, froterowano posadzki, ustawiano meble, strojono saloniki i sale w bukiety świeżych kwiatów.

Urządzeniem werandy zajął się Noryński

osobiście. W godzin parę przemienił ją w iście zaczarowany kącik. Później przyszła kolej na pokoje samej pani.

Tu dyskretnie odczyszczono tylko wszystko starannie, nie ruszając nic z miejsca. Pokoje te zresztą, jedynie w całym domu, były zamknięte i zdradzały, że o nich pamiętano od czasu do czasu. Żyły one przytem jakby życiem bardziej współczesnem.

Cały dom, umeblowany solidnie i poważnie, trącił dobrze myszką i stanowił sobą zupełne „wczoraj“ życia. Meble masywne, ciężkie, o wyszarzałych materjach, szafy gdańskie i mahońiowe stoły bratały się tu zgodnie ze starymi zblakłymi gobelinami i dziwnego kształtu szezlongami, z głębokimi fotelami, olbrzymiem i wewnętrzniemi lustrami, przeplatanemi szeregiem wiszących na ścianach portretów, pociemniałych od starości i wilgoci. Kasztelanów, wojewodów i senatorów znajdowało się tam sporo — byli to wszystko przodkowie babki pań Iry Rojeckiej, pochodzącej ze znanego szlacheckiego domu. Po córce jej, a swej matce, pani Ira odziedziczyła te dobra, zaglądając do nich bardzo rzadko, cała oddana życiu stołecznemu, skosmopolityzowana doszczętnie wpływami rodziny ojca — przemysłowca, obca tym ścianom i wspomnieniom, z duszą bogatej mieszcżki, garnącej się do pańskiej klamki arystokratycznych salonów.

Dworzysko tymczasem dawne i ciche stroiło się coraz bardziej na jej przyjęcie, pod umiejętnym kierunkiem Kazimierza Noryńskiego. Pod wieczór przyjechać miała pani, a już w południe

świeciły czystością wszystkie sale i komnaty dworu, błyszczwały posadzki, okurzone starannie meble wyglądały odświeżenie jakoś i sympatycznie.

W pięknych kandelabrach i olbrzymich, wiszących staroświeckich pająkach, widniały poprawiane świece, nęciły oko poustawiane zręcznie cieplarniane krzewy — w każdym niemal pokoju pachniały kwiaty...

Zakurzony, pokryty pleśnią, zapomniany, przeistoczył się stary dwór w Mokrynówce, odżył i spoglądał teraz wesołym okiem na widza.

Obejrzawszy raz jeszcze dokładnie wszystkie komnaty domu, Noryński zadowolony wyszedł do ogrodu. Tu wrzała również gorączkowa praca. Gracowano aleje, strzyżono trawniki i klomby. Cała czereda chłopców i dziewcząt, zagnana do tego trudu energją Noryńskiego, pracowała sumiennie pod kierunkiem starego ogrodnika.

Pozdrowiony uprzejmie i grzecznie przez pracujących ludzi, Noryński obejrzał raz jeszcze wszystkie rozpoczęte roboty i skierował się z kolei w inną stronę.

— Na godzinę właściwą wszystko będzie gotowe! — pomyślał i odetchnął z ulgą.

W istocie, dziedziniec i park przybierał zwolna również inną postać — zaniedbanie, pustka i brak życia znikwały...

Noryński rad i wesoły szedł szybko ku stajniom, by tam zajrzeć z kolei. I tu bowiem wkraśli się: zniszczenie i zastój szeregu lat beczynnych.

Powozy były popsute, uprząż w nieładzie. Rymarz, sprowadzony od świtu, naprawiał angielskie szory, stelmach koła karety, kował osie, szklarz potłuczone szyby. Furman czyścił jednocześnie wnętrze karety, zniszczone nie do poznania. A najpilniejsza była to praca, na dworzec kolejowy, dość odległy, jechać już była pora.

Nareszcie, z uderzeniem godziny drugiej po południu, wszystko w wozowniach i stajniach ukończonem zostało pomyślnie.

Za bramę, odrestaurowaną naprędce, wytoczyła się kareta, zaprzęzona w cztery rosłe i rasowe konie, przybrane w odczyszczone szory. Powoził nimi furman - starowina, ustrojony w wyszarzałą liberję, ze złotymi guzami. Obok niego chłopaczek, przedzierzgnięty w mołojkackozaka, w granatowem ubraniu i pasie czerwonym, sam jeden przyozdabiał odświeżone ekwipaż. Noryński z uśmiechem jechał w karecie, kontent ze swego dzieła.

Powóz zatrzymał się na folwarku, przy jego niziutkim dworku, pod strzechą, tonącym w świeżej zieleni bzów i dzikiego wina.

Kazimierz wyskoczył, zatrzasnął drzwiczki karety i rzekł coś do służby, która odkloniła mu się z przyjaznym uśmiechem. Kareta ruszyła, oglądana ciekawie przez dziatwę wiejską i służbę folwarczną, Noryński zaś znużony przestąpił z ulgą próg swego mieszkania, by nareszcie spocząć nieco po trudach, rozpoczętych dziś ze wschodem słońca.

.

Wychylona przez okno sypialni, zapatrzona w perspektywę cieniściego parku, stała z uśmiechem radosnym na ustach Ira Rojecka, cała w promieniach, w zorzy jakby złotawo-krwawych blasków zachodu.

Gasnące słońce czerwieniło łagodną purpurą białe ściany mokrynowieckiego dworu i zalewało falami światła powłóczyście białą suknię, którą po odbytej podróży narzuciła na siebie zalotna żona Edmunda. Wiedziała, iż Noryńskiego ujrzy za chwilę, okolicznościowo już z góry przybrała się zatem...

Z miękkich rękawów domowej szaty, powyżej łokcia, wychylały się ramiona, wycięcie odkrywało szyję, a suknia cała fałdowała się węzowo i kusząco wzdłuż postaci młodej kobiety.

Noryński rozmyślnie był nieobecny podczas przyjazdu pani Iry. Pewny miłego wrażenie, krórego doznać musiała, widząc, jak drobiazgowo wszystko przygotowanem przezeń zostało. Kazimierz usunął się dyskretnie, czekając wezwania.

Naturalnie, iż odrazu od służby dowiedziała się Ira o energii Noryńskiego, z jaką od świtu pracował, by miłą sprawić jej niespodziankę. Rada niezmiernie, pochwalała więc wszystko, będąc zaś głodną, a bardziej może jeszcze chciwą widoku i rozmowy z pięknym młodym rządcą, kazała podać wieczerzę i przez służącego prosić Kazimierza.

Obecnie czekała, patrząc z przyjemnością na stary ogród, od tak dawna niewidziany. I

uśmiech zalotny, który rozchyłał dotąd zmysłowe usta pani Iry, znikł niebawem. Twarz jej stopniowo zmieniała wyraz. Bezwiednie zadumała się głęboko.

Falami płynęły ku niej wspomnienia dawne, płynęły w szumach starego parku, który szczytami drzew mówił coś jakby do niej, o latach minionych, o zapomnianym śnie dzieciństwa, który zmartwychwstawał nagle i przesuwał się żywo przed oczyma... Po tych trawnikach i alejach biegała z siostrą, bawiła się, a tam, na ocienionej dzikim winem werandzie, siedziała matka, zawsze prawie sama jedna, gdyż ojciec zagniony interesami przebywał w mieście.

Matka Iry zaś nienawidziła stolicy... Wzrosła w te ściany staroszlacheckiego dworu, w ten park, w te tęskne ukraińskie stepy, w te ciche bory i pszenne łąny rodzimej ziemi. Ruszyć się stąd nigdy nie chciała i dzieci trzymała przy sobie. Tak było aż do końca jej życia.

Tu urywały się drogie wspomnienia Iry Rojeckiej...

Pod oknem pachniały tymczasem bzy, park szumiał dalej i nucił pieśń cichą wspomnień przebrzniałych. Ira Rojecka, pogrążona w rozpamiętywaniu przeszłości — marzyła dalej, z dobrym wyrazem łagodności na twarzy, który oblicze jej dziwnie upiększał i wyszlachetniał.

A przeszłość grała dalej symfonię złudną, echową, daleką, harmonijną, a cichą, jak szept liści parkowych, jak lot myśli ludzkich i wspomnień, co niewiadomo jak i kiedy otoczyły Ire z nagłą poszumem skrzydeł i półszepem ech

i wyrazów, całą wyłącznie zabierając sobie, obcą czyniąc na razie życiowemu dzisiaj!...

Czas mijał.

Słońce zgaśło... Szary zmierzch schodził zwolna na ogród pałacowy, otulał kiście bzów i pierwsze na klombach kwiaty, zasnuwał cieniem i mrokiem szczyty drzew i dalekie perspektywy alei parkowych.

— Proszę pani, kolacja na stole! Pan Noryński czeka w jadalnej sali...

Słowa te, wyrzeczone trzęsącym się głosem przez starego lokaja, zbudziły z zadumy Irę Rojecką. Skierowała się w głąb domu.

To życie nowe, uosabiające się w Noryńskim, z całkowitą samowiedzą wprowadzone tutaj, w te ciche ściany starego domu — chwile przeczuwane, które do niedawna nęciły ją już z góry rozkosznie, nagle, niby pod dotknięciem różdżki czarodziejskiej — zmałyły, zbladły...

Szła wolno przez puste pokoje, zamyślona ciągle. Silnym głosem przeszłości zbudzona, przeniesiona w dawne czyste lata dziecięce, Ira bezwiednie trwała jeszcze w życiu „tamtem“ i wyzbywała się odruchowo na chwilę zmysłowych i bardziej poziomych cech swej natury.

Trwało to jednak względnie krótko, niby przelotne muśnięcie skrzydeł anioła.

Jedno spojrzenie na jasno oświetloną salę jadalną i Noryńskiego, z kwiatem w butonierce, przybranego uroczyście, powołały Irę do rzeczywistości. Przeistoczyła się w oka mgnienia. Zalotność i młodość zwyciężyły!...

Wyciągnęła obie ręce z ujmującym wdzię-

kiem do Noryńskiego i rzekła bardzo serdecznie:

— Stokrotne dzięki za tyle dowodów pamięci!... Nie zapomnę panu tego nigdy!... Gdy tu jechałam, smuciłam się już z góry myślą, że owionie mnie tutaj z miejsca i przygnębi: opuszczenie, martwota i pustka. Tak dawno tutaj nie zajrzałam! Przyjażdżam i patrzę... Wszędzie życie, czystość, odświeżenie przybrane drogie ściany! Niespodzianka była niezmiernie mi miłą. A z pana istny czarodziej — zakończyła z przyjaznym uśmiechem.

Noryński skłonił się i ucałował długo obie podane sobie rączki.

— Spełniłem tylko mój obowiązek! — rzekł cichym, matowym głosem. — Cieszę się, że sprawiłem pani przyjemność.

— Ogromną, nadzwyczajną! Powtarzam to panu! — zawołała wesoło i ze swobodą pani Ira. — No, siadamy tymczasem do stołu. Proszę pana — wskazała mu miejsce — bo stary Jan mruczy coś już na nas z niecierpliwością.

— A tak, bo zwierzyzna stygnie. Smakować nie będzie, proszę panienki, to jest przepraszam — urwał i zawstydził się stary sługa.

Młoda kobieta roześmiała się serdecznie:

— Masz tobie, otóż i panienką zostałam!...

Pani Ira i Noryński usiedli za stołem.

Rozpoczęła się pogawędka miła i swobodna, przeplatana co chwila śmiechem i dowcipami. Stary Jan dopuszczony został także do rozmowy, każdy opowiadał coś o sobie. Ira o zagranicy, skąd powracała, stary sługa o prze-

szłości, o latach, w pustce tu przeżytych, Noryński o nowinach miejscowych.

Błyskawicznie minęła wieczerza, po której zjawiała się jeszcze stara dworaczka, panna Ostrzałkowska, klucznica i zarządzająca domem w jednej osobie. Pogwędziwszy z nią wspólnie jeszcze trochę, pani Ira przeszła z Noryńskim do zacieśnego saloniku.

Zapowiedziawszy służbie, by ją już dziś nie zajmowała gospodarskimi sprawami, uprzejmym ruchem wskazała miejsce Noryńskiemu. Zostali sami.

Salonik umeblowany był całkiem skromnie, lecz, jak wszystkie pokoje, solidnie.

Piękny pajak wenecki zwieszał się u sufitu, kominek w kącie przypominał zimowe wieczory, piękne gobeliny zaścielały ściany. Na etażerkach stały ozdobne starożytne cacka, miniatury, kamee, połówki fotografie w ramkach, portreтики małe. Mebli było mało, lecz takie, jakich znaleźć nie łatwo już było dzisiaj.

Całą jedną ścianę niemal zajmowało olbrzymie lustro z jednej sztuki, masywne i ciężkie, kilka foteli głębokich, krytych adamaszkiem, szezlong staroświecki, przed nim skóra tygrysa, wszędzie hafty prababek, dziwnego kształtu poduszki i poduszcзки, serwety wzorzyste i ekrany.

Zegar-antyk, stojący na kominku, zagrał w tejże chwili cichą melodję, przebrzmiał, a jeszcze między Noryńskim, a panią Iram trwało milczenie, które objęło ich dziwnymi kleszczami od chwili, gdy weszli do tego iście archaicznego buduaru.

Pierwsza z tego wrażenia otrząsnęła się młoda kobieta. Zwróciła duże, ciemne, płonące żywym ogniem oczy na Noryńskiego i rzekła:

— Nie może mieć pan nawet pojęcia, jakiego ja naprzykład doznaję wrażenia, wróciwszy tu, po tylu latach. I to — dorzuciła z dziwnym jakimś uśmiechem — prosto z pod szwajcarskiego nieba, z Lucerny, z nad uroczego brzegu jeziora Czterech Kantonów, ze środowiska towarzyskiego, kosmopolitycznego highlife'u, z komfortu pierwszorzędnego w Europie.

Takie wszystko tutaj wydaje mi się dziwne małe, prymitywne i staroświeckie. A jednak... niezmiernie drogie i miłe! Tylko kontrast trochę za silny... Taki archaizm, jak tutaj — objęła wzrokiem salonik — po wielkiej naprzykład sali balowej w Kursaalu, lub otchłannej wprost perspektywie na góry i szczyty ich, we mgłach porannych spowite... Widoku zaś tego doznałam i zachwyciałam się nim jeszcze nie dalej, jak trzy dni temu! A jednak — dodała w zamyśleniu — dziwną jest siła i potęga lat minionych, a głównie dzieciństwa!... Zanim pan przyszedł, patrząc tylko na park i słysząc szept jego liści, trącanych wiatrem, zapomniałam niemal o wszystkim, co nie było tem wczoraj, odległym życia mego! No, ale dosyć o tem! — zaśmiała się pani Ira nagle, dziwnie nerwowo. — Widzę, że dzisiaj dziwnie czułam jestem na echa przeszłości. Mówmy o teraźniejszości — o jutrze!...

Uśmiechnęła się zalotnie kącikami ust i wargi zadrżały jej, rozchyłając się kusząco. Patrzyła z napięciem w oczy i twarz Noryńskiego.

— Mów mi pan o sobie. Co porabiałeś pan przez te kilka tygodni, gdy mnie nie było?... Jakże idą zajęcia gospodarskie?... Czy dobrze jest tu panu? Czy umie pan już gospodarować? Czy nauczili pana?... Kogo pan tu poznałeś?...

Patrzyła ciekawie dalej Kazimierzowi w oczy. Noryński, pod spojrzeniem młodej kobiety, ożywił się, począł opowiadać wesoło pierwsze niepowodzenia agrarne, praktykę gospodarską, postępy swoje wreszcie w trudnej nauce.

Mówił swobodnie, szczerze i z tym nieuję-
tym, jemu tylko właściwym wdziękiem, którym tak umiejętnie działać zwykł był zawsze i pod-
bijać skutecznie serca kobiece.

W czasie rozmowy przybliżył się do pani Iry i siedział już teraz prawie u jej stóp... Młoda kobieta ułożyła się również stopniowo na szez-
longu, w wyszukanie nęcącą i kuszącą pozę.

Odsłoniwszy zręcznie z fałdzistych rękawów piękne ręce, słuchała z wielką uwagą Kazimierza i wabiła go ciągle gorącym spojrzeniem i ruchami gibkiego ciała, w fałdach sukni domowej układającego się nerwowo w coraz to inne pozy.

Z niedbałym wdziękiem, nawpół leżąc, na ciemnem tle adamaszku i gobelinów, czyniła wrażenie dziwnie niepokojące, a wielkie staro-
świeckie zwierciadło, na które wprost padało światło palących się w kandelabrach świec, odbijając jej postać — potęgowało jeszcze ten na-
strój.

Cisza w starym dworze stawała się coraz senniejszą jakby — park usypiał, nadchodziła

Noryński mówił wciąż, lecz rozmowa ta odbiegała powoli od przedmiotu, kierując się bezwiednie na ścieżyny i manowce flirtu...

Pani Ira patrzyła wciąż na Noryńskiego. Pierś unosić się jej zaczęła stopniowo coraz szybciej i na twarz wystąpiły rumieńce.

Jakby nie zwracając już uwagi, co mówił Noryński, wyciągnęła się na szezlongu i zarzuciła pod głowę ręce. Przerwała mu nagle:

— Dziwnie pan mile mówić potrafi... Słowa pańskie brzmią, niby melodia. Mów pan jeszcze, tylko usiądź pan bliżej, koło mnie, nie tam, gdzieś daleko, u moich stóp. I... jeszcze jedno. Widzi pan, jak księżyc świeci cudnie, może pan zechce podnieść story i zgasić światło. Ja kocham tak bardzo te księżycowe tajemnicze cienie... A pan?

Noryński nie odpowiedział, tylko zerwał się spiesźnie spełnić zlecenie młodej kobiety. Gdy wrócił, usiadł blisko Iry. Zapanowało chwilowe milczenie.

Fala księżycowych promieni wpadła do pokoju i oświetliła kusicielkę... Noryński spojrzał na nią i zadrżał.

Młoda kobieta wydała mu się cudnie piękną w tych półświatłach błękitno - srebrnawych.

Pochylił się i począł mówić coś do niej...

I gdy tak słowa wyrzucał ze siebie instynktownie, odruchowo, aby tylko nie milczeć, pochylał się jednocześnie coraz bardziej.

Nagle zadrżał od stóp do głowy...

— Jakiś ty piękny! — namiętnie zaszeptala Ira i w pół leżąc, zarzuciła mu gwałtownie ręce

na szyję, przycisnęła silnie do piersi głowę Kazimierza i zbliżyła usta do jego ust.

Noryński, oszołomiony, poczuł na wargach pocałunek pałacy.

.....
Błado - różowy świt wychylał się nieśmiało z poza parkowego stawu, hen, gdzieś na widnokręgu stepów dalekich, gdy Kazimierz po przez aleje ogrodu, okólną drogą, niepostrzeżenie wracał do siebie.

Wiosenny ranek chłodny był i świeży, zroszone bzy pachniały silnie, Noryński wciągał w płuca ożywcze tchnienie rozległego parku i szedł szybko przed siebie.

Błady był jednak i smutny. Na dnie gdzieś tam bowiem tej zmiennej i dziwnej duszy lekko-myślnego optymisty, tliła się iskra nieokreślonych wyrzutów sumienia.

I rzecz dziwna... W miejsce ponętnej kochanki, zamiast namiętnej Iry, ścigał go teraz obraz tamtej, opuszczonej, wśród murów wielkiego miasta.

— Biedna Renia! — szepnął cicho i niemal z czułością.

Do żony pisywał dotąd często i odbierał ciągle listy. Była zdrową, znalazła nawet jakieś krótkotrwałe przelotne zajęcie. O nim myślała jednak i tęskniła.

Coraz dotkliwiej piekło Kazimierza niewytłumaczone jakieś cierpienie, i dławił usta niesmak. Tamta, jego Renia, była tak inną, tak bardzo odmienną w uniesieniach najwyższych, tak mało zmysłową, tak dziwnie jakoś szlachetną,

uduchowioną — tak czystą... I kochała go bez granic!

On dotąd również kochał ją przecież bardzo. A tu — dziś?...

Noryński zaklął zcicha, posmutniał na inguennie, lecz po chwili natura jego lekka wzięła górę, uśmiechnął się kącikami ust.

Próżność zdobywcy serc i czysto męska miłość własna mile polechtaną dziś była.

— Swoją drogą, mam do kobiet szalone szczęście! — pomyślał i zaśmiał się już całkiem szczerze, głośno, zdrowo, aż drgnęły od tego zwycięskiego śmiechu młodości zroszone liście drzew, które mijał spiesźnie.

Zapomniał wkrótce o zdradzonej tak lekko-myślnie Reni. Uśmiechnięty, rzeźki, zagłębiał się teraz w sad owocowy, łączący park pałacowy z tyłami jego dworku.

W sadzie cicho było jeszcze i sennie. Niby miłosny gaj, cały biały i blado-różowy od rozkwitłych grusz, jabłoni i drzew wiśniowych, cały operlony rosą poranną, woniejący balsamicznie, budził się on zaledwie, spoglądając w oczy promieniejącej coraz bardziej jutrzence...

Noryński brnął teraz po zroszonej trawie, na przełaj, przecinając skośnie zadumany sennie sad owocowy.

Schylał się co chwila, wymijając drzewa, których gałęzie zwisały nad ziemią, brzemienne kwieciem. Śnieżne i różowe płatki kwiatów opadały co chwila boleśnie na świeżą ruń traw, strząsane prędkimi ruchami idącego Kazimierza. Nareszcie dotarł do dworku.

Otulony w zieleń dzikiego wina, śnił on także zapomniany jakby w tym czarownym o tej porze sadzie owocowym.

Noryński ostrożnie z początku przekradać się zaczął ku domowi, wokoło jednak nie było żywego ducha. Okolił go więc śmiało i wszedł przez ganek do wnętrza.

W tej samej chwili niemal, ponad rozgległym stepem zapaśniała jutrznia... Snop promieni rzucił świt we wschodnie okna dworku, od strony sadu.

I utonęły w nim te światła, przemieniając blado - matowy, dotychczasowy koloryt sadu, w promieniejący od blasków jutrznianych, gorejących jakby miłości. Różane płatki kwiecia stały się krwawsze, zarumieniły się blado białe listki i sad cały, dyszący wonią — zajaśniał zwycięsko, jak prawdziwy zaczarowany gaj miłości, niby olbrzymia kopuła, tkana blademi różami, niby olbrzymie serce, otwierające się miłości pieścizom jutrzeńki...

X.

Czysto było i schludnie w pokoiku Reni Norzyńskiej na trzecim piętrze jednej z kamienic śródmieścia.

Odnajmywała pokój ten od wdowy po urzędniku, kobiety dość nieokrzęsanej, mieszczeni prowincjonalnej, która po stracie małżonka zjechała do Warszawy, żyjąc z małej emeryturki, z zarobku córki telefonistki i z komornego, ściąganego bezwzględnie od sublokatorów.

Płacić trzeba było bowiem regularnie i to koniecznie z góry, w terminie od pierwszego do ósmego każdego miesiąca, bo inaczej pani Katarzyna — zwana pospolicie przez lokatorów herod - babą, czarownicą z Łysej góry, lub wiedźmą z piekła rodem — groziła wyrzuceniem bez pardonu lokatora na bruk uliczny.

Panią Katarzynę nienawidzono więc rzetelnie, a poza koniecznością nie utrzymywano z nią stosunków, płacono jednak rzetelnie i regularnie, bo strach ma wielkie oczy.

Kto nie posiadał zatem pewnego grosza co miesiąc, zmykał póki czas, kto miał jednak byt zapewniony, zostawał, nie troszcząc się o resztę, bo czysto tu było i spokojnie, jedzenie dawano

dobre, świeże i zdrowe, nie wtrącano się do niczych spraw, nie plotkowano, każdy żył, mieszkał i robił co mu się podobało...

Pani Katarzyna była zdania, iż każdy za swoje pieniądze, jeśli płacił regularnie, ma prawo wymagać, by się do jego osobistego życia nie wtrącano.

Na trzeciem więc piętrze było zawsze cicho, odgrodenie się zaś wzajemne mieszkańców od właścicielki wpływało jeszcze bardziej na równowagę stosunków, pani Katarzyna Bodziek była bowiem i pod tym względem układną.

Sama nie narzucała się nigdy, czułości nowych przybyszów względem siebie zmrażała szybko, po pierwszym każdego miesiąca, brutalnem żądaniem pieniędzy. Zresztą, dumna sama z nazwiska, ze stanu męża, rządowego urzędnika, żyła tylko we własnem zamkniętem kołeczku przyjaciół i znajomych, w pojęciu jej stojących daleko wyżej od tamtych tam lokatorów, do których ryczałtowo czuła zawsze pogardę.

Mieszkała na samym końcu apartamentu, w dwóch pokojach. Jeden zajmowała sama, łącznie z córką Rozalją, drugi służył za jadalnię, buduar, gabinet pracy, bibliotekę i salon dla odwiedzających ją gości.

I Reni — tęskniącej ciągle za mężem, oddanej całej myślom o nim, o jego życiu dalekiem, poświęcającej codziennie niemal godziny całe korespondencji z Kazimierzem, oderwanej od warunków zewnętrznych — dobrze było u pani Katarzyny Bodziek. Trwało to przez całe dwa miesiące, nagle jednak psuć się zaczęło.

Nadszedł pierwszy czerwca, Renia z pieniędzy, nadsyłanych przez męża, płaciła zwykle czwartego, lub piątego każdego miesiąca, niezwłocznie po powrocie z poczty, najczęściej w południe. Tym razem jednak był już siódmy, listu od Kazimierza nie było.

Zapadał zmierzch... Renia zamyślona i niespokojna patrzyła w okno, śledząc zapalające się kolejno na ulicy latarnie.

Dziwiła ją wielce nieakuratność Kazia. O życiu jej, a więc o bezwzględności pani Katarzyny, wiedział dobrze Noryński, a zarówno i o tem, że obecnie nic zarobić wprost nie mogła.

Lecz i co innego również męczyło i gniewało Renię.

Listy od Kazimierza były od pewnego czasu coraz radsze, coraz lakoniczniejsze, i nawet, ku jej wielkiej trosce, coraz chłodniejsze jakby, bezbarwne, wymuszone i nieszczerze.

Subtelna duszą kochającej kobiety, Renia uchwyciła niezwłocznie odcień ów i przykro jej było. Płakała niejednokrotnie, myśląc o tem, a dziś do cierpienia serca dołączała się bojaźń jutra, lęk o byt chwilowy, zagrożony zwykłą lekomyślnością męża. Renia zapaliła po chwili świecę i włożyła kapelusz.

W tejże chwili zapukał ktoś trzykrotnie. Renia spojrzała w stronę drzwi i uśmiechnęła się smutnie.

— Proszę! — rzekła głośno.

Gruba, starzejąca się żydówka, w zabawnej rudawo - blond peruce na głowie, wtoczyła się

do pokoju. Za nią stała uśmiechnięta ironicznie fertyczna młodsza, która oznajmiła donośnie:

— Ta kupcowa mówi, że pani kazała jej przyjść i ładuje się koniecznie. Czy wpuścić?...

— Proszę! — rzekła krótko Renia i zamknęła drzwi przed ciekawą służącą, która, wzruszywszy ramionami, skierowała się w stronę pokoi, zajmowanych przez panią Katarzynę.

Tu zaś decydowały się już i ważyły losy niewypłacalnej lokatorki.

W saloniku siedziała pani Bodziek, w głębokim fotelu i patrzyła z pod oka na córkę, czeszącą się przed lustrem, myśląc z pewnem zniechęceniem, że mogłaby już przecie wyjść za mąż nareszcie. Jednocześnie zaś porównywała ją w myśli z tą Renią Noryńską i przyznać musiała w duchu, że tamta jednak jest o wiele piękniejszą od jej jedynaczki. I rozgniewało ją to jeszcze bardziej... Odezwała się z przekąsem do córki:

— Cóż tak krygujesz się i czeszesz po dziecięć razy dziennie? Ładniejszą nie będziesz, to trudno! Taką cię już wziąć muszą, jaką jesteś. I wiesz co ci powiem, że ta Noryńska wcale ładna... Wczoraj, jak odwiedzałam ją wieczorem przypomnieć o zapłaceniu komornego, była na wpół rozebrana. Śliczny ma biust i piękne włosy, płeć delikatną bardzo. Ciekawa jestem, czemu ten mąż tak daleko od niej mieszka i ani zajrzy?... Jak myślisz, Rozalciu?

Panna wzruszyła pogardliwie ramionami i podpinąć zaczęła grzebieniami bujne splety kruczych włosów.

Była dość nawet przystojną; ładne, ciemno-

piwne jej oczy błyszczały zalotnie, a wąskie purpurowe usteczka uśmiechały się teraz złośliwie, ukazując drapieżne perełkowate ząbki.

Pani Katarzyna, nie otrzymawszy od córki żadnej odpowiedzi, zagadnęła znowu:

— Widzę, że jakoś nie w smak idą ci pochwały o tamtej. Trudno. Stanowczo jest od ciebie ładniejsza...

Panna Rozalja Bodziek zmarszczyła brwi i wydeła wargi. Zauważyła z kolei ironicznie:

— Niech sobie taką będzie w oczach mamy. Ale niestety, w danym wypadku, nie decydują matrony, tylko młodzi chłopcy. A do tych ostatnich stanowczo ja mam więcej szczęścia. Tu, u nas, zawsze pełno panów i dziś zaraz pewnie przyjdą. A u niej?... Boże, zlituj się! Niema nigdy żywego ducha, i mąż własny uciekł także. Musi to być numer. A jakie to zamknięte w sobie, nieprzystępne i dumne. Słowem nie odezwie się do nikogo! A co do jej tak wielkiej piękności, to także są gusta i guściki. Znajduję, że figurę ma niezłą, ale kształtów żadnych, a twarz i oczy bez żadnego wyrazu. Przytem chód i obejście aktorki. No, a cóż, zapłaciła?...

— Nie jeszcze. Ale może do wieczora przyniesie, lub przyśle pieniądze...

Panna Rozalja zaśmiała się szyderczo.

— Niech mama się łudzi nadzieją, niech! A ja matce powiadam, proszę wierzyć, lub nie, że to ziółko nad ziółkami. Mąż pewnie pieniędzy przysyłać już nie będzie. Czemu mama względem niej tak się ociąga? Z innymi to już szóstego bywają awantury, a tu już ósmy i cicho.

O ten pokój ciągle się proszą. Podług mnie, wielki czas za drzwi ją wyrzucić. Z taką łagodnie nie można, panią udaje, a płacić nie może. Fora ze dwora — to moja rada. Jak mama nie usłucha — będzie źle, prorokuję kłopotów bez końca. Zobaczy matka, tylko popuścić takiej, a po głowie chodzić zacznie!...

Matka ofuknęła swą pociechę zniecierpliwioną.

— Rozalciu, cicho bądź i nie gdacz mi tu nad uchem. Sama już wiem dobrze, co robić. Twoich rad nie potrzebuję. Zaraz do niej poszłę Marcysię, by przypomniała raz jeszcze...

— Natychmiast Marcysię mamie zawołam!

Panna Bodziek wybiegła z pokoju. W duszy cieszyła się już z góry, że wyrządzić będzie mogła przykrość Reni. Nienawidziła jej, gniewała ją cudna uroda Noryńskiej, podniecały zawiść czule i ogniste spojrzenia znajomych jej mężczyzn, gdy przypadkiem zoczyli sąsiadkę — oburzały wreszcie i czyniły stale zazdrosną przydomki pięknej, cudnej, ślicznej, którymi stale obdarzali wszyscy Renię Noryńską, zarówno starzy, jak młodzi, zarówno kobiety, jak i mężczyźni.

Renię bowiem z imienia i nazwiska znała cała kamienica, a z widzenia cała niemal ulica, gdzie śledzono jej ruchy wdzięczne, zgrabną figurę, chód elastyczny i zagłądano ciekawie w twarz, zawsze tak samo uroczą!

Po chwili Marcysia stała oparta około biurka swej pani.

Pani Katarzyna Bodziek pisała list ostry i bezwzględny do niewypłacalnej lokatorki.

U Reni tymczasem odbywał się targ... Szafy i komody były otwarte, a pokój cały zarzucony sukniami, których część leżała na łóżku i otomanie, a reszta snąć już nabyta — walała się na podłodze.

Żydówka handlarka kupowała drobiazgi po sztuce i kładła pieniądze jednocześnie, wyrzekając przy każdej planicy, szukając dziur na całym, a w rezultacie nabywając wszystko za bezcen...

— Co to jest? to nic nie jest! Same móle — mówiła co chwila. — To i na czapki pokrajać się nie da. Na moje sumienie, żebym ja tak doczekała jutra, jak ja do tych łachów tylko dokładam!...

— W chwili najzażartszego targu, weszła Marcysia i obrzuciwszy pokój cały wzgardliwym spojrzeniem, podała Reni dwa listy.

Jeden był od gospodyni, drugi zaś, przed chwilą przyniesiony przez listonosza. Ten ostatni — o szczęście — był od Kazimierza.

— Rumieniec radosny zakwitł na przybladłych policzkach Reni i tak uradowaną była, że nie zauważyła nawet pisma gospodyni i beczelnie impertynenckiej miny Marcysi. Rozerwała gorączkowo kopertę, rzuciwszy żydówce:

— Kupcowa poczeka. Mam list od męża, muszę przeczytać!

Marcysia wzruszyła ramionami i wyszła, a handlarka mówić zaczęła:

— No, ja to rozumiem. Mąż to pewnie panią kocha bardzo. Trzeba zaraz przeczytać. I ja, bywało, jak od mego nieżyjącego Mojsia był list, to zapomniałam o wszystkim. I ja byłam młoda i ja byłam śliczna! — żydówka westchnęła i zamyśliła się.

Renia nie słuchała jej wcale. Pożerała oczyma dość krótki i chłodny list Noryńskiego, a czem dalej czytała, tem większa chmura osiadała na jej czole. Lakonicznie i dość nawet sucho donosił jej Kazimierz, że nie może ani przyjechać na parę dni, jak to obiecywał, ani przysłać pieniędzy, bo z góry na nieprzewidziane wydatki wybrał już pensję miesięczną, a pożyczyć nie może. „Poradź sobie, moja Reniu, tym razem sama — kończył list — i napisz mi zaraz, czy ci się udało?”

Pismo wypadło z rąk zrozpaczonej Reni, sięgnęła po drugie, które dopełniło miary. Pani Bodziek, począwszy od dnia następnego, wymawiała jej mieszkanie, w razie nieuiszczenia jeszcze dzisiaj zapłaty.

Renia zbladła i łzy stanęły jej w oczach. Przeniosła wzrok mimowoli na żydówkę, stojącą w kącie pokoju. Marzenie pierzchało, uciekały złudzenia, miłość, nadzieje zwodnicze, które przynosić się zdawał list Noryńskiego, a przyniatały natomiast bieda i brak, rzeczywistość wracała. Trzeba było poradzić sobie szybko i skutecznie.

Położenie było bez wyjścia. Chyba jedno. Ale przed rozwiązaniem tem wzdrygła się Renia. Tam na dnie pustego kufra, огоłoconego z su-

kien, cenniejszego odzienia i biżuterji, chroniła jedną, jedyną pamiątkę drogą po nad wszystko, bo zamykającą w sobie wspomnienia jedynych chwil prawdziwego, pełnego, niezmaconego niczem szczęścia.

Talizmanem tym drogim — chyba dla każdej zameężnej kobiety — którą miłość, nie wyrachowanie, zaprowadziły do stóp ołtarza — była ślubna suknia, niepokalana, biała.

Czyż przypuścić mogła Renia kiedykolwiek, że zmuszoną będzie wyzbyć się tej pamiątki, że sprzeda ją może i... komu? Prostej handlarce! Przed sponiewieraniem podobnem tej ślubnej szaty cofała się coraz bardziej duchowa jaźń Reni. Przed tą ostatecznością przejmował ją dziwny wstręt, lęk, oburzenie, wstyd, żal — rozpacz prawie i szczególniej tęsknota, bezmierna, dziwna za zdeptanie tak brutalne wyidealizowanych marzeń dziewiczych i wspomnień przeszłości tak bliskiej bardzo, tchnącej czarem dreszczów miłosnych i rozkoszy chwil prześnionych.

— Nie — za nic na świecie! — szepnęła do siebie i spojrzała znów niepewnie prosto w twarz siedzącej cierpliwie handlarki ulicznej.

Ta przyglądała się jej ciekawie bystreimi, przenikliwemi oczkami i odezwała się wreszcie:

— No i cóż, szanowna pani? Złe wiadomości od mężulka? Widzę, co pani smutna i oczy piękne płaczą. Może przyjsć innym razem? Pani dziś do targu nieusposobiona?

— Nie, owszem! — przerwała Renia i zdecydowana nagle, rzekła szybko:

— Niech kupcowa przyjdzie tu bliżej, chciałabym jej coś zaproponować, mały interes — geszeft!

Uśmiechnęła się blado i zbierając jakby rozpierzchłe myśli, potarła ręką czoło.

Żydówka zaintrygowana zbliżyła się zwolna.

— Słucham, szanowna pani. Pani pewnie potrzebuje pożyczyć. Może na weksel?... A podpis dobry jest? A może jaka pamiątka, co żal ją sprzedać, na zastaw?... Przyjmuję, a jakże!... I kosztownościów i bieliznę i futra — wszystko, co pani szanowna zechce.

Przy tych słowach żydówka prześwidrowywała młodą kobietę oczkami, sięgając jakby do dna duszy.

Renia na mówiącą patrzyła zdumiona. Rzeczywiście z podobną chciała wystąpić propozycją — a ta już odgadła niemal wszystko. Rzekła zwolna:

— Tak, w istocie. Mam tu pamiątkę, której sprzedać nie chciałabym. Tylko tak, tymczasem potrzebuję koniecznie pieniędzy. Możeby kupcowa zechciała mi pożyczyć?...

— No, pożyczyć. Dlaczego nie? Ale teraz ciężkie czasy. Wołałabym mieć pewność. Nu, a co to za pamiątka?... Po rodzicach, po babce? Może antyk jaki, zegarek złoty? Może broszka staroświecka, jaka inna rarytna rzecz?...

I oczy handlarki zabłyśły chciwie.

— Nie — odparła, rumieniąc się, Renia. — To moja suknia ślubna, welon i trochę drogich koronek, którymi była ubrana.

Zapanowało ciężkie milczenie.

Z pod rudawej peruki i niskiego czoła, o brwiach krzaczastych i gęstych, pomknęło ku młodej kobiecie spojrzenie żydówki... Handlarka zamyśliła się i po chwili usiadła na kanapie.

— No, ciężkie dziś czasy nastały, ciężkie bardzo! Nu, i wolno pytać, na co szanownej pani potrzeba tak koniecznie tych pieniędzy?

— Na mieszkanie i życie! — odparła cicho Renia. — Jeśli nie zapłacę, muszę stąd się wynosić.

— Nu, a myśli pani zostać?

— Naturalnie! — zawołała żywo Renia. — Gdybym tylko mogła zapłacić. Mąż mój przysłał zawsze, teraz wyjątkowo się spóźnił...

— A dlaczego? — spytała podejrzliwie żydówka. — Może on stracił posadę?

— Ale cóż znowu! Proszę mi wierzyć, że nie! — zawołała Renia, a nuta tak wielkiej szczerości drżała w jej głosie, że żydówka, uspokojona, nie dopytywała się już więcej. Rzekła tylko:

— Nu, ta ślubna suknia? Gdzież ona jest?

Renia wyjęła niechętnie śnieżną szatę, welon i trochę prawdziwych koronek — pamiątkę po babce.

Na widok tych ostatnich zabłyśły chciwie oczy żydówki. Umiotygowała się szybko jednak. Powstała tylko i zbliżyła się spieszenie. Ujęła w ręce materję i pociągnęła zlekka ku sobie suknię.

Renię wstrząsnął dreszcz, odsunęła zlekka handlarke. Ta spojrzała z pod oka, lecz nie ode-

zwała się słowem jednym. Po chwili dopiero, obejrzawszy dokładnie suknię, zawyrokowała:

— Una, ta suknia, dla mnie nie nie warta, za gotówkę! Ale ja chcę wielmożnej pani zrobić wygodę — ja to wszystko razem — wskazała palcem na ślubną szatę, welon i koronki — przechowam u siebie i dam pani na zastaw. — Tu żydówka zawałała się i wymieniła w końcu niewielką sumę. — Mnie pani żal, taka młoda pani, taka śliczna, a takie ma już ciężkie zmartwienie. No, cóż zgoda?

Renia pomyślała chwilę i rzekła:

— Ale, jakżeż ja suknię mogę tak powierzyć? Ja kupcowej wcale nie znam.

— Nie szkodzi... Pójdziemy do mnie, schowamy razem do szafy tę pamiątkę, aj waj, tę śliczną, drogą pamiątkę. Pani weźmie pieniądze, ja dam kwit. Nie! Niech szanowna pani żyje sto lat, ile ja takich interesów już zrobiłam w życiu. Ickową, tę z Franciszkańskiej, każdy zna i bidny i bogaty. I kuźdy uszanuje. Ja z byle kim interesów nie robię, a z nieznanym nigdy. Ot, zdarzyło się. Żal mi wielmożnej pani... Zrobić czasem dobrze komuś, to i Bóg odda i ludzie krzywdy nie robią.

— Ja mam dzieci — ciągnęła dalej handlarka. — Niech ludzie wiedzą, że ich matka, Ickowa, potrafi dobrze zrobić! Czemu nie? Może wielmożna pani odda kiedyś mojemu Lejbusiowi, albo mojej Ryfce. W życiu takie zdarzenia są. Zresztą, co tu gadać! Ja Ickowa, chcę pani dobrodzieje pomóc... Kto mi zabroni? Niech nawet stracę. Ja zawsze mówię Lejbu-

siowu mojemu: Słuchaj, Lejbuś! Bądź ryzykant. Nie było nas, był las, nie będzie nas, będzie las!

Żydówka zamilkła i spojrzała pytająco na Renię. Ta, zdecydowana już zupełnie, pakowała suknię i ubierała się gorączkowo.

Niebawem obie z żydówką jechały w stronę Franciszkańskiej ulicy. W kwadrans później, Renia wchodziła z przygodną opiekunką do kamienicy dziwnej, olbrzymiej, brudnej i ludnej.

Na trzecim piętrze, w dość dużym pokoju, którego ozdobą były dwie solidne i olbrzymie szafy, przy koszlawym stole spisano szybko umowę i w podwojach jednej z szaf zniknęła wkrótce biel szaty ślubnej — szczezło z oczu Reni, jak złudny sen, ostatnie może wspomnienie życiowego jej szczęścia!

Żydówka tymczasem, zamknawszy na klucz szafę, odliczyła pieniądze i wspaniałomyślna do końca, nie odtrąciła nawet procentu, lecz dopisała go do ogólnej sumy.

— Niech będzie na zdrowie wielmożnej pani! My, z panią dobrodziejką porachujemy się później — zdecydowała. — Ja wiem, pani nie pozwoli sprzedać takiej drogiej pamiątki, pani będzie płacić akuratnie, a może i prędko wykupi, jak mąż przyśle pieniądze. Nu, a wtedy, to pani podziękuje lckowej, co poratowała panią dobrodziejkę w nieszczęściu...

— Ja i teraz bardzo pani dziękuję! — zawołała Renia, kładąc małą wypieszczoną rączkę w dłoń żydówki.

Twarz kupcowej opromienił uśmiech i ścisnęła podaną rękę.

Nagle jednak odwróciła się szybko i zawołała głośno:

— Ryfka, Lejbuś! Co to jest? Proszę zamknąć drzwi i uczyć się...

Po przez uchylone drzwi przyległego pokoju mignęły dwie sylwetki i zniknęły szybko dwie głowy ciekawych pociech Ickowej, które czas cały obserwowały nowy geszeft mamusi.

Rozległy się miarowe kroki obojga i zmieszane głosy, powtarzające miarowo zdania i pojedyncze wyrazy.

— To moje dzieci — objaśniała żydówka. — Uczą się. Lejbuś w trzeciej klasie, a Ryfka już w piątej. Zdolne są i dobre mają stopnie, tylko jak kto do mnie przyjdzie, to strasznie ciekawe. Taka już ich natura jest. Zwyczajnie — dzieci!...

Po paru słowach jeszcze, pożegnała Renia kupcowę. Z kuchenki, którą minęła, połechtał jej powonienie ostry zapach gotującej się strawy, we drzwiach otarła się o siwego żyda, który wchodził właśnie do mieszkania Ickowej. Wzrok jego przesunął się badawczo po sylwetce wychodzącej i zajrzał, zda się, do dna jej duszy.

— Dziwny świat, ci żydzi! — myślała Renia, mijając piętra i obszerny dziedziniec.

Wszędzie było gwarno, rojno, uwijano się — pracowano bez wytchnienia. Każdy na swój sposób, jeśli nie fizycznie, to umysłowo, wysilał spryt, by wydrzeć życiu w walce o byt spokojne jutro.

Vae victis! Zewsząd, zda się, rozlegał się ten okrzyk. Słabi padali w tym boju o kawałek chleba, silni zwyciężali, a życie toczyło się dalej

i zasypywało poniewieranych i słabszych, uśmiechało się chytrzejszym i obrotniejszym, stwarzając w tym zakątku wielkiego miasta oddzielny światek zabiegów, nędzy, biedy i bogactwa, oszukaństw, bezczelnych łajdactw i bardzo rzadkich promiennych, szlachetniejszych odruchów serca, które wspomagały czasami bliźnich i zapominać kazały tej czarnej, mrówczej i ruchliwej masie żydów o nienawiści tajonej do gojów!...

Renia w zamyśleniu mijała dalej zwarty tłum, obserwując go ciekawie, nigdy bowiem nie zaglądała dotąd do tej dzielnicy.

Idąc, zastanawiała się z goryczą, dlaczego nikt inny, tylko właśnie przedstawicielka tej sponiewieranej ciżby żydostwa, jedna, jedyna podała jej dłoń pomocną?... Czemu zawdzięcza to? Czy rzeczywiście odruchowi altruizmu, czy też, niestety, tylko chęci w przyszłości możliwego zysku?...

W pół godziny później znajdowała się już Renia w swym pokoiku.

Nic się tu nie zmieniło, ubyla tylko jedna pamiątka.

Renia, poczuwszy zmęczenie fizyczne i moralne, rzuciła się na łóżko, stojące w pobliżu okna. Postanowiła rozmówić się później z nieprzejeжданą właścicielką lokalu, na razie męczyła ją sama myśl, że mówić z nią będzie.

Leżąc, spojrzała w okno i uśmiechnęła się... Z przeciwległej kamienicy lornetował uporczywie okno jej student, który od paru tygodni śle-

dził codziennie każde jej poruszenie. Niecierpliwym ruchem spuściła roletę i zgasiła lampę.

Myśl jej biegła daleko do ubóstwianego Kazia...

Po przez ścianę dolatywał ją odgłos prowadzonej rozmowy i rytmiczne echa wybuchów śmiechu. Panna Rozalja Bodziek bawiła się z gośćmi wesoło. Renia znużona przymknęła powieki.

XI.

Ponad Ukrainą tęskną, ponad cichymi jarami, polami i zielenią sadów, futorów i lasów, palił się żar długiej posuchy.

Promienie słońca od szeregu tygodni wypalały już urodzajną glebę, ani kropelka deszczu nie odświeżyła traw, spragnionych wilgoci, wyschłych zbóż, buraczanych łąnów, roślinności i kwiecia.

Pod błado - lazuiowem, przejrzystem i promiennem, a codziennie jednakiem, cichem sklepieniem nieba, żółkły stepowe trawy, więdły kwiaty i przyroda cała, zbolala gorączką pragnienia, oddychala ciężko...

Ciche jej westchnienia prośby litosnej biegły tam, ponad obłoki i chmury, ponad jaskrawe nie-miłosierne słońce, ku wyżynom niedościgłym wszechświata, gdzie zatrzymały się i trwały w bezruchu upusty niebieskie. Wszyscy mieszkańcy Mokrynówki wyglądali również tej rosi-stej manny z nieba. Jedni troszczyli się o urodzaje i plony własne, inni żalowali dziedziczki.

Obawiano się również powszechnie i drżano przed pożarami, które, codziennie niemal, nawiedzały okoliczne siola. Co rano, wartownicy

dworscy i wiejscy opowiadali dziwy o łunach czerwonych, które ukazywały się, jak groźne widmo, na przejrzystem tle lipcowych jasnych nocy.

Szczegóły pożarów nadchodziły później — paliły się dziesiątkami chaty kmieccie, stodoły, gunna dworskie i sterty zbóż po polach.

W ogólnem tem przejęciu się chwilą obecną, udziału żadnego wprost nie brali Noryński i Ira Rojecka.

Od pamiętnego wieczoru, despotyczna, w ramach egoizmu wyłącznych uczuć oprawna, namiętna i szalona porwała ich miłość i zamknęła sobą świat cały, jego sprawy, interesa, dole i niedole...

Pani Ira żyć już teraz wprost nie mogła bez Kazimierza.

Odnalazłszy w nim po raz pierwszy pokrewny sobie typ mężczyzny, zakochana w jego męskiej urodzie, zapatrzona niewolniczo w jego myśli, czyny — w niego całego, nie była wprost zdolną żyć jakimkolwiek innym bytem i sferą myśli i uczuć, które nie były jej miłością.

Noryński, z lekkomyślnością naturze swej właściwą, poddawał się zupełnie burzy uczuć, która spadła nań tak niespodzianie.

On kochał także Irę. Tak mu się przynajmniej zdawało... Żył pod tym względem złudzeniem, jak zwykle w podobnych wypadkach dziesiątki już razy, jak w życiu całym niemal bezustannie. Lekkoduch, optymista, nie myślący nigdy o jutrze, Noryński w tym wypadku pozostał konsekwentnie sobą...

Żył chwilą i był nią na razie zupełnie pijany. Miłość wykwiitna i subtelna Iry dawała mu szereg niespodzianek, była dlań nową, a stopień jej siły i zapamiętania zadawała coraz bardziej jego próżność zdobywcy serc niewieścich.

Mijały dnie, tygodnie, Noryński i Ira przeżywali w tym cichym zakątku ukraińskim wyznaczone w księdze ich przeznaczeń chwile szału, głusi i ślepi na wszystko dokoła. Ich miłość nie była już dla nikogo tajemnicą. Ci wszyscy jednak, którzy ich otaczali, byli dla nich — zerem.

Ira Rojecka, nie zaglądając tu lat kilkanaście, nie miała żadnych stosunków towarzyskich. Mokrynówka zresztą, odcięta wśród stepów i borów, oddalona była od okolicznych siół i rezydencji pańskich, rzadkich wogóle zresztą w tych stronach kresowych.

W czasie licznych wycieczek powozem, lub konno, Ira i Kazimierz spotykali wprawdzie czasami czwórki obywatelskie, jeźdźców, albo myśliwych — byli to jednak wszyscy ludzie zupełnie obcy.

Sarkali tylko pocichu wokoło starzy oficjałści mokrynowieccy i dziwowali się włóscianie miejscowi, widząc ich ciągle razem, nie liczących się z pozorami.

Noryński jednak i Ira nie widzieli nawet tego i nie słyszeli nic. Śnili na jawie, zapatrzeni w miłość i szal!

Przypadek dopiero podjął się zdjąć im z oczu przepaskę i powołać do rzeczywistości, zbudzić do szarego życia, przywrócić przytomność.

Stało się to, jak zwykle, niespodzianie, całkiem naturalnie — pocztą.

Do Iry Rojeckiej przyszedł list z Nizzy od jednej z licznych światowych przyjaciółek. W powodzi błahych wiadomostek, donosiła Irze o Edmundzie Rojeckim i o projektowanym jego rychło już wyjeździe do kraju — prosto na Ukrainę.

Był wieczór letni, cichy — powiało nareszcie świeżością, po polach i lasach padała rosa i chłodziła pieśczołą kropielek znuzone upałem główki polnego kwiecia, rozżarzone trawy i łaknące wilgoci liście u drzew.

Słońce zaszło, a grę jego promieni wchłonał w siebie daleki widnokrąg, ponad tęskną i spokojną równią stepu...

Cienie światła coraz bardziej łagodniały i bladeły. Cudne, mleczno - różane, seledynowe i jasno - żółte pręgi zlewały się teraz coraz bardziej na niebie i roztopiały, nikły, uchodziły w mrok, co tał się po jarach, futorach i lasach i wychylał się już z nich i skradał ścieżynami siół pod sady i białe chatki, pod dzwonnice cerkiewek, śniących w ciszy wieczornej.

Na stepie tylko widno było jeszcze i przezroczo. Szerokie jego tchnienie, odświeżone wilgocią padającej rosy, przenikało płuca i orzeźwiała je, odmładzało...

Z łączki i moczarów, biegnących wzdłuż dalekiej równiny, płynęła świeża, balsamiczna woń traw i kwiecia, łącznie z przytłumionem echem rytmicznych śpiewów i grania bąków wodnych.

Dosiadając pięknych i rasowych wierzchow-

ców, Noryński z Iry Rojecką jechali stepem zwolna...

Piękny kary arab Kazimierza, ogier z białą strzałką na czole, prychał nozdrzami, strzygł uszami i słuchając, zda się, jakichś dalekich głosów stepu, dosłyszalnych jakby dla niego tylko, zrywał się butnie, rżał od czasu do czasu i gryzł wędzidło zaciekle, a biała piana odrywała mu się od nozdrzy co chwila i spadała na zieloną ruń traw.

Obok, uczenie, grzecznie, szła stepa skarogniada białonóżka, pół krwi arabskiej i podrzucając bezustannie rasową głowę, stanowiła piękną bardzo całość ze zgrabną amazonką, której kształty gibkie, opięte były zręcznie w ciemnozieloną suknię i kołysały się z rytmicznym wdziękiem, unoszone równym, kolebiącym się chodem wierzchowca.

Ira Rojecka do zasluchanego w jej słowa Kazimierza mówiła, z żywością i mocą:

— Ja nie mogę, Kazińku, ścierpieć wprost myśli tej, żebym go tutaj przyjać miała, tego nieznośnego Edmunda! Widok możliwy was obu razem sprawia mi już z góry niewymowną przykrość i spać mi nie daje... Jechać musisz ze mną! Wyjedziemy jutro. Pomkniemy w świat szeroki, daleki, użyjemy życia w całej pełni, jego czarów, jego upoień, tam — na wolności, na swobodzie, nikomu nieznani, przez nikogo nie śledzeni...

Kaziu, Kazińku! Zrób to dla mnie. Rzuć wszystko!

I przechyliwszy się na siodle, Ira prawdzi-

wie dziś ponętna, na tle stepów samotnych wokoło, spojrzała w oczy Noryńskiemu namiętnie, z prośbą błagalną w spojrzeniu.

Mówiła dalej z równym zapalem:

— Widzisz-bo, Kazińku, ja żyć już bez ciebie nie mogę i nie potrafię! Jedź ze mną, Kaziu. Rzuć, podepcz te marne, drobne, małostkowe, niskie i ciasne, w porównaniu z naszą miłością — konwencjonalne poglądy i przekonania!...

— Żyć i kochać! — zawołała nagle w głos Ira, wyzywając jakby te stepy szerokie i wolne. — To postaw sobie za drogowskaz, a wówczas będziesz prawdziwie szczęśliwym. Zrób, jak ja! Wszak poświęcić ci gotowam wszystko! Rzucam jutro: męża, rodzinę, stosunki światowe, zdzieram ze siebie aureolę nieskazitelności, jako małżonka Edmunda, lekceważę wszystko, co nie jest tobą — dla ciebie!... I tybyś, tybyś chciał temu, co tobie poświęcić pragnę — przeciwstawić jakieś tam obowiązki dla twojej Rieni?...

— A któż to jest — ta twoja Renia, — wołała dalej rozgorączkowana Ira, przechylając się na siodle i muskając amazonką odzienie Kazimierza, paląc go tchnieniem pięknych ust, z których, z żywiołową namiętnością, wyrzucała ten potok wyrazów.

— Cóż dała ci ona? — powtórzyła rozgorączkowana. — Czy dała ci cośkolwiek ze siebie, czy ofiarowała choćby cząstkę tego, com już poświęciła i oddać gotowam ci jeszcze?... No, powiedz tylko? Przyznaj otwarcie! Cóż dała ci twoja równa, jak gościniec ubity, jak zabrukowana szosa, miłość małżeńska?... Trochę szalu

zapewne — świeżości, niewinności dziewczęcej... Ha, ha, ha!... Ale jakaż za to zapalita? Miesiące i lata biedy, stek upokorzeń i braków, tysiące przykrosteń, ciasnota życia, ciężka walka o byt, zapomnienie ludzi, społeczeństwa — kajdany i tylko kajdany!

— A cóż ja ci dać chcę, Kazińku?... Mój ty, najdroższy! — zawołała i przelotnie musnęła jego usta pocałunkiem.

Ogier zarżał, spłoszyła się białonóżka — oba wierzchowce ruszyły z miejsca galopem. Kazimierz usiłował wstrzymać karosza.

— Nic to, nic to! — zawołała Ira. — Zostaw, niech biegają...

I puścili się pędem po gładkiej stepowej drodze, ku widać już na tle równiny Mokryńcówce. Jechali równo, obok siebie blisko.

W rytmie cichego galopu, w ciszy stepów, rozległy się znów słowa Iry Rojeckiej:

— Chcę ci dać wszystko, co posiadam!... Rzucić ci pod stopy cały mój majątek... Będę twoją rzeczą, twoją niewolnicą... Pieniędźmi ułatwie ci rozwód, jeżeli zechcesz tylko?... I pozbędziesz się raz na zawsze tej tam twojej... kuli u nogi!

— Cicho, cicho, Iro!... — zawołał gwałtownie niemal Kazimierz. — Nie obrażaj przynajmniej jej — niewinnej!...

— Ha, ha, ha!... — zaśmiała się zwycięsko Ira. — Porównaj tylko miłość jej z moją! A wtedy sam osądzisz, kto winniejszy?... Kto pragnie więcej twojego dobra?... Zrób zresztą, jak ci się podoba! Namyśl się i daj mi znać nad ra-

nem. Ja jutro stanowczo ruszam stąd w świat szeroki. Jedź ze mną! Jedź, a nie pożałujesz nigdy. To ci przysięgam!...

Podniosła rękę do góry i skinęła główką, patrząc mu w oczy z bezgraniczną miłością.

— Kocham cię! — rzuciła jeszcze prosto i blisko w twarz Kazimierzowi z beźmiernem i namiętneć uczuciem w głosie.

Uderzyła gwałtownie szpicrutą wierzchowca i pomknęła szalonym pędem.

Noryński wspiął konia. Za sobą jednak, ruchem energicznym uderzyła pejcem Ira Rojecka i krzyknęła jeszcze:

— Nie chcę — zostań! Do jutra!

Zniknęła wkrótce w mroku stępów.

Spłoszony ogier Noryńskiego rwał się, jak szalony, rżał i prychał. Kazimierz gwałtownym wysiłkiem wstrzymał konia i począł jechać stępa. Pokryty pianą arab oddychał ciężko, strzygł uszami i rwał się ciągle.

Wreszcie, gdy sylwetka amazonki znikła w oddali — uspokoił się zupełnie. W ciszy i mroku jechali coraz wolniej.

Ciemniało... Na niebie zapalała się Wenus, cisza i spokój obejmowały konia z jeźdźcem! Tylko tam, w dali, huczał jeszcze milknący stopniowo tętent białonóżki — szalonej Iry Rojeckiej!

Noryński zdjął z głowy kapelusz i otarł pot z czoła. Błady był i wzruszony. Godzin niespełna dwanaście miał tylko, by rozstrzygnąć losy swe i przyszłość dwóch kochających go kobiet.

Ogier Kazimierza żuć począł znowu niespokojnie wędzidło i rwać się do biegu, rżąc od

czasu do czasu. Stepowe dale i okoliczne jary oddawały echo tego rżenia, a z pobliskiego już mokrynowieckiego siola odzywały się do wtóru poszczekiwanie psów, stłumione głosy ludzkich rozhovorów i przygłuszonego gwaru gotującego się do wieczery, po znojnym dniu trudów, ukraińskiego ludu.

Niebawem też Noryński mijać zaczął kręte drożyny wioski, zdążając do swego dworku, na przelaj, po przez olbrzymią, bo liczącą wiorst parę długości — Mokrynowkę.

Przed izbami odpoczywali kmicie i kłaniali się z pokorą przejeżdżającemu „panyczowi”. W niektórych chatach błyszczały już światła, a inne tonęły w cieniu i tylko żar palącego się ognia, przy którym warzono strawę, rozwidniał mrok, który je otaczał.

Lustrzana tafla stawu śniła senna i cicha, ktoś łódką krążył brzegiem sitowia — zapóźniony pewnie myśliwy.

Woda u młyna szemrała i pieniała się w cieniach zmierzchu, koło jego obracało się leniwie przy martwym już i szczelnie zamkniętym budynku.

Minawszy groblę, Noryński znalazł się wkrótce na folwarku dworskim.

Wokoło jego dworka kręciło się na olbrzymim dziedzińcu wielu ludzi. Byli to parobcy z pobliskich gumien, sporo dziatwy, oficjalistów i kilkanaście dziewczyn. Te śpiewały, przekomarzały się i śmiały kolejno, wystając u płotów. Z pobliskiej kuźni dolatywał jeszcze huk ude-

rzanych młotów i sypały się w ciemnościach snopy iskier...

Kazimierz znużony, oddając pozdrowienia, znikł natychmiast poza drzwiami dworku.

Wokoło panowała już wszędzie cisza nocy, zmilkły oddawna pojedyncze głosy zapóźnionych parobków i dziewcząt, a Noryński czuwał jeszcze. Zagasił lampę i srebrno - płynne, marzące cienie księżycowego światła snuły się po kątach, po podłodze i białych ścianach izdebki.

I po falach tych drżących miesięcznych promieni schodzić się zdawały do samotni Noryńskiego jakieś kuszące mirażę, zamglone obrazy i wizje przyszłości innej, swobodnej, życia szerszego, przy boku... Iry!

O tamtej, o Reni, nie mówiły nic półświatła tajemnicze, pochłaniały ją mrok i zapomnienie.

Kazimierzowi w arterjach krew biła i huczał mózg cały, od zwątpień i myśli.

Co czynić? Co postanowić? Czy wyrwać się z jarzma twardego obowiązku i odtrącić precz od siebie cichą, zaparcia się pełną, miłość dożgonną Reni, z dośmiertnym może ciężarem walki o byt, biedy i ciasnego widnokregu życia? Czy rzucić się na oślep w prąd i wir nowego, barwnego życia, kuszącej silnie egzystencji towarzysza Iry Rojeckiej, kto wie, później... jej męża?...

I na wspomnienie Iry zadrżał Noryński. Półsłyszał głos jej namiętny, słowa rzucone mu w twarz wśród tumanu mroków wieczornych, wśród szalonego pędu, na cichym, olbrzymim stepie. Pamiętał wszystko!

Wspomniał jej pieszczoty, jej uściski, jej miłość! Poczul się pijanym... zerwał się z siedzenia, tłuc się poczał po izdebce małej.

Huczało mu w głowie — szalał!

Wspomnienia Reni, obowiązków twardego życia, dochowania wierności, stawały się coraz niksze, dalsze, bardziej niepochwytne...

Rozpływać się poprostu zaczęły i uchodziły już bezpowrotnie po fali księżycowych światła i srebrzystych pyłów.

Rozpylały się w nich i ginęły.

Namiętność do Iry, żądza bogactw i użycia zwyciężały coraz bardziej obraz cudnej Reni, o której myśl obecnie gniotła i bolała, której obraz wywoływał twardy byt biedaka, a choć opromieniony miłością pięknej kobiety, lecz zgrzytający echem kajdan biedy, zamykającej szerokie technienie wolnego życia, równającej go z poziomem trosk codziennych, braków i udręczeń, niszczących uciechy tego właśnie życia i cały jego urok i jego czar — szarą płachtą okrywających wszystko!...

Jak pod ukąszeniem gadu, skoczył przy tych myślach Noryński i nagle obraz Reni przysłoniła mu zupełnie ta alegoryczna, brudna, w łachmanach cała, poszyta, pocerowana, olbrzymia płachta, co przesłaniała mu w oczach świat cały, a którą kurczowo trzymały dłonie Reni, krępując w jej załomach i zagięciach zarówno i ręce jego, Kazimierza!

Noryński, jak szalony, poczał trząść rękoma i całym ciałem!...

— Oderwać się od tych kajdan! — zahu-

czało mu w głowie. — Zerwać ze siebie pęta, zedrzeć z przyszłości własnej tę płachtę szarą, ten całun nędzy i biedy!...

Wkrótce we wszystkich komnatkach małego dworku zarządcy dóbr mokrynowieckich paliły się już światła...

Kazimierz, jak szalony, spiesźnie, bez ładu i składu, gotował się gorączkowo do drogi. Czynił porządek pobieżny w papierach, składał odzienie, pakował drobiazgi, latał z pokoju do pokoju i bez niczyjej pomocy pakował się na łeb, na szyję.

W trzy godziny później, w dworku pogasły znów wszystkie światła. Dwa duże kufry i parę zawiniątek leżały na ziemi. Ściany, stoły, stoliki, szuflady i szafy, ogołocone, puste — zostały tylko na tem pobojuwisku i patrzyły smutnem okiem zniszczenia na pierwsze nieśmiałe promienie szarego przedświtu, wkradającego się do wnętrza domu.

Noryński natomiast, rozdziany, spał snem kamiennym na łóżku, usta rozchyłał mu jakiś uśmiech szczęścia i wesela i radował się z jakiejś zapewne wizji sennej, co miała mu wzrok i wyobraźnię: Oddychał równo i spokojnie. Renia przegrała.

Dla pewnych natur męskich, lekkomyślnych i słabych, piękność jej nie wystarczała, czar jej, anielska dobroć, zaparcie się siebie, nie zdołały przezwyciężyć huraganu namiętności i fosforycznego blasku, egzystencji szerokiej, barwnej uciech pełnej, toczącej się szybko, równo i bez trudu, a pełnionej potęgą pieniędzy i rączką ponętnej.

przewrotnej i obdarzonej silną indywidualnością — współzawodniczki kobiety!...

Renia przegrała sromotnie, a kusicielka, co zwyciężyła tak butnie, ani spodziewała się tego.

Sen jej był niespokojny.

Nad ranem obudziła się wcześnie i poruszyła również dom cały.

Wreszcie, przygotowawszy się zupełnie do drogi, pełna wciąż obawy, napisała słów parę i wysłała służącego do dworku plenipotentą. Drżała w niepewności i trwodze.

Czas i chwila odjazdu zbliżały się nieubłaganie. A tu?...

Wolnym krokiem zmierzał kozak pałacowy przez dziedziniec folwarczny do Noryńskiego.

Drzwi były niedomknięte, wszedł tedy swobodnie do wnętrza i zbliżył się do śpiącego Kazimierza. Począł go targać bez ceremonji za łokieć, oglądając się ciekawie wokoło i wzruszając ramionami flegmatycznie na widok panującego tu nieładu.

Wreszcie obudził śpiącego. Noryński zerwał się nawpół przytomny i czytać zaczął podaną sobie kartkę.

— Kocham cię, najdroższy, ubóstwiam! — pisała Ira Rojecka. — Konam z niepokoju!... Czy zostajesz?... Czy jedziesz ze mną?... Odpowiedz!... Zlituj się! L...nie odmawiaj! Zaklinam się na naszą wspólną miłość... Kaziu, Kazienu! Kocham cię!...

Noryński, jeśli się tak można wyrazić, połknął jednym tchem zawartość bileciku i uśmiechnął się błogo.

— Semenie, leć do pani i powiedz, co tu widziałeś! — wskazał ręką kufry i nieład. — Zrozumiałeś?

— Zrozumiał, panyczu... Panycz także razem z paniej jidut do welykoho horoda.

— Tak, tak. Do horoda! — wrzasnął niemal z niecierpliwością Noryński. — No, ruszaj gamoniu, do kroćset! — i pchnął ręką kozaka.

Ten posłusznie wybiegł szybko.

W niespełna godzinę, stała się rzecz rzadka w Mokryńówce. Na dziedziniec folwarczny, na który nie wjeżdżały nigdy powozy ze dworu, wjechała pędem karetą pałacowa. Wpadła i wypadła, ruszając z podjazdu galopem.

Za Kazimierzem Noryńskim, który wskoczył do wnętrza karety, zaparły się drzwiczki z trzaskiem i błyskawicznie, a zdumionym paru świadkom tej całej sceny mignęły tylko pochylone ku sobie blisko głowy Kazimierza i Iry.

— Jej Bohu, ciłowały się!... Sama baczyła! — zawyrokowała młodyca, niosąca na kształtnych i gipkich ramionach dwa wiadra wody...

I stojąc tak w słońcu, zapatrzyła się ciekawie w tuman kurzawy, który za kareta złocił się szarawy w promieniach lipcowego słońka.

Przy dworku tymczasem kończono ładować wózek z pakunkami Kazimierza Noryńskiego. Wytoczył się on zwolna za ogrodzenie folwarcznego dziedzińca i spotkał się niebawem u bramy dworskiej z furgonem, wiozącym kufry i rzeczy dziedziczki.

Truchcikiem pojechały oba, w ślad za powozem pańskim.

W siole rozpoczynał się tymczasem ruch codzienny, wstawano i dążono do pracy.

Po drodze rozmawiano głośno i komentowano wyjazd nagły pani z „panyczom“.

Rychło jednak zapomniano o wszystkim. Znojna praca zawrzała po polach, a nad nią rozlały się lawą piekące i żarzące promienie lipcowego ranka, jednego więcej w łańcuchu bliźniaczo do siebie podobnych upalnych dni nieprzejednanej i upartej ukraińskiej posuchy.

XII.

Zdaleka, z podmiejskich może pól i lasów, po przez ruchliwe mrowie wielkiego miasta, płynęło jakieś tchnienie świeższe i czystsze, budzące przedsmak zapomnianych u brzegu boru, cichych łąk i ruczai, strumieni leśnych i moczarów, wchłaniających o tej porze ciszę lipcowego wieczoru i ostatnie zamierające blaski gasnącej łuny zachodu.

Przy otwartem oknie pustego pokoju Reni, panna Rozalja Bodziek stroiła się zawzięcie. Obciśnięta w piękną, skrojoną doskonale suknię Reni, wyglądała wcale pokąźnie, lepiej i dystyngowaniej, niż zwykle.

Kładła właśnie na głowę zastosowany do sukni gustowny kapelusik, wyjęty z dużego kuфра Reni Noryńskiej.

I gdy tak panna Rozalja — przywłaszczając sobie bez ceremonji cudze mienie, wykończyła strój i sięgała już ręką po nową parasolkę — weszła nagle mama Bodziek i spojrzała zdumiona na kunsztownie przybraną córkę.

— Bój się Boga, Rozalcu! A to cóż znowu za maskarada?

Panna uśmiechnęła się triumfująco i uderzając zlekka o bucik piękną parasolką, rzekła spokojnie:

— Cóż to mama sobie myśli, że będę chodziła dziś, przy niedzieli, po alejach w starej sukni, kiedy tu leży w kufrze nowiuteńka tej tam pięknej, co jej chwala Bogu już niema!...

— Ale, zmiłuj się, Rozalciu — upomnęła matka — przecież to cudza własność! A jak ona do nas wróci ze szpitala, to co będzie? Zniarkuje i będziemy mieli nieprzyjemność! Przytem nie lubię nieporządków... Fe, wstydź się, doprawdy, dziwowiska takie wyprawiać!...

— Cóż to znowu matka z morałami wyjeżdża! — odezwała się szydersko panna, a ceglasty rumieniec tłumionego gniewu zabarwił jej śniade policzki.

Pani Katarzyna zmarszczyła brwi groźnie i chciała już zmyć głowę córce, gdy ta bez ceremonji odtrąciła zlekka matkę i skierowała się ku drzwiom. Jako ultimatum rzuciła jeszcze krótko:

— Niech matka da lepiej spokój. Szkoda gadania. Winna nam tu za ten miesiąc, matka znów odemnie pożyczyła pieniędzy, kupuję więc sobie na rachunek tę suknię. Później przetargujemy resztę i będzie mama ze mną na kwit. A co się tyczy jej pretensji?... Ho, ho, można być spokojnym! Z tamtego świata nikt nie wraca. A, kto ma taką chorobę, jak ona, to idzie na Powązki, albo na Brudno. No, do widzenia! Ja macham do Łazienek! Wrócić może późno...

I panna Rozalja trzasnęła energicznie

drzwiami. W bramie domu, kilka służących, na jej widok, roześmiało się ironicznie, stróż obejrzał ją ciekawie i drwiąco, student zaś z przeciwnika, który wychodził właśnie na ulicę — a kochając się w Reni, znał na pamięć jej suknie — ten, aż przystanął ze zdumienia.

Panna Bodziek, ujrzawszy go, przeszła spieszenie na drugą stronę ulicy i naumyślnie minęła go blisko, czelnie patrząc w oczy. Student zapienił się, i odwzajemnił nienawistnym wzrokiem.

— Podła! — syknął i splunął.

Wyprostowana, gibka, rzucając na przechodzących mężczyzn palące i zalotne spojrzenia, w cudzych piórkach szykowna, szła hardo panna Rozalja ku rojnym o tej porze Alejom Ujazdowskim.

Ożywiała ją radość niewytłomaczona, dziwna. Uśmiechała się do swych myśli bezustannie. Nie było więc nareszcie tej pięknej!... Pozbyła się jej, lecz ile ją to trudu kosztowało!

Gdy znienawidzona przez nią lokatorka zachorowała i zawezwany lekarz, zaleciwszy dla innych ostrożność, stwierdził tyfus bardzo ciężki — ona pierwsza postawiła wniosek wywiezienia Reni Noryńskiej do szpitala.

Początkowo nikt słuchać jej nie chciał, nawet matka.

Wszyscy jednomyślnie oburzyli się ryczałtowo na ten projekt.

Z samotnego pokoju — oddzielona — wywierała urok jeszcze piękna, sympatyczna i anielsko dobra Renia.

Nikt jednak przejednać nie zdołał pałającej zawiścią panny Rozalji. Po kilku dniach pogarszającej się stopniowo choroby, przy pomocy znajomego lekarza, który się do niej zalecał, przekonała w końcu matkę i lokatorów.

Stan Reni jednak był już tak groźny, iż przewiezienie nieostrożne groziło jej życiu. U lekarza zwyciężyła zawodowa uczciwość. W ostatniej chwili cofnął się.

Wtedy panna Rozalja na własną odpowiedzialność, pozornie zaś z polecenia tegoż lekarza, postanowiła przewieźć chorą do szpitala.

W piękny lipcowy poranek, gdy w kamienicy wszyscy spali jeszcze, zajechała przed dom — obstałowana i zapłacona przez pannę Bódziek — karetka Pogotowia Ratunkowego. Chorą przywieziono do szpitala, w którym jednak nie było innego miejsca, tylko na tak zwanej ogólnej sali. Tam też spoczęła na łóżku szpitalnem Renia Noryńska.

Panna Rozalja triumfowała — współzawodniczki pozbyła się nareszcie! Z czelnością poszła odwiedzić chorą nazajutrz i wyniosła w duszy skrytą nadzieję, że już ta „piękna“ w drogę jej może nigdy nie wejdzie.

I obecnie myślała to samo, wchodząc już pomiędzy rojny, niedzielny i wystrojony odświeżenie tłum spacerujących w alejach.

Zgiełkliwa ciżba ludzi pochłoneła ją wkrótce.

W szpitalu, oddalonym od śródmieścia i huczących wrzawą ulic, cicho było o tej porze. Na obszernych dziedzińcach panowała zupełna pustka, nikogo już z obcych nie wpuszczano. Po

korytarzach szpitalnych rozgaszczał się zmierzch, w szarych mrokach przesunęła się tylko czasami sylwetka spieszącej siostry miłosierdzia i kornet jej biały, niby skrzydła anioła, zamajaczył na chwilę, znikając gdzieś natychmiast, jak senne marzenie...

Chorzy wypoczywali po posiłku i modlitwie wieczornej. Światel nie zapalano jeszcze.

W jednym z pawilonów szpitala, przeznaczonym dla zaraźliwych chorób, w oddziale kobiecym, na olbrzymiej sali, tonał w mroku podwójny rząd łóżek, przykrytych dnia tego różowymi kapami.

Czysto tu było i schludnie — nawet rzecz dziwna, wesoło.

W dużych, widnych oknach, stały doniczki z kwiatami. Piękny ołtarzyk do porannej i wieczornej modlitwy, ubrany także świeżem kwieciem, zdobił salę, której czysta posadzka, nieposzlakowanej białości firanki i nastrój dziwnie pogodny, nadawały cechę bynajmniej nie przybytku bólu i cierpienia, lecz przeciwnie, jakby jakiejś tylko cichej przystani.

Zmierzch zapadał coraz większy... Czasami, w ciszy, odezwało się westchnienie, lub jęk przytłumiony, czasem przemknęła środkiem sali, pomiędzy rzędami łóżek, sylwetka posługaczki.

Opodal drzwi wyróżniało się jedno łóżko.

Obok dwóch zeschłych staruszek, wynędzniałych i biednych, świeciło w cieniach mroku tragiczne wprost bladością swą oblicze młodej, bardzo pięknej kobiety.

Ponad łóżkiem, na tablicy, wypisany był

numer porządkowy i nazwisko: Regina Norzyńska.

Tu spoczywała więc żona Kazimierza, tu, powalona przez ciężką chorobę, leżała biedna Renia, pod dach szpitalny zaprowadzona twardą ręką przeznaczenia i bezwzględnością zazdrośnej o nią Rozalji Bodziek.

Z przymkniętymi oczyma leżała cicho, blada, z wypiekami na policzkach i spalonymi gorączką ustami.

Spokojniejsza nieco, drzemała zdaje się w tej chwili.

Nie trwało to jednak zbyt długo. Drzwi najbliższe otworzyły się cicho i w ramie ich stała zakonnica w towarzystwie księdza. Rozległ się dzwonek...

Do szpitalnej sali wkraczało przypomnienie łepszego i innego bytu, sługa Boży udzielić miał — skazanej przez wiedzę ludzką, na rychły już zgon jednostce — ostatniego namaszczenia i ostatniej doczesnej pociechy.

W kwadrans później, młody ksiądz elastycznym krokiem opuszczał już salę. Do odprowadzającej go siostry, rzucił zcicha:

— Cóż to za jedna? Taka młoda jeszcze i urodziwa. Czyż naprawdę, niema już dla niej żadnego ratunku?

— Niewiadomo. Złe jest bardzo... Może łaska Boska ją ocali? Zdarza się to często.

Ksiądz rzucił szybko i nerwowo:

— Czy nie należałoby uprzedzić telefonicznie szpitalnego lekarza? Wszak to jego obo-

wiązek. Mojem zdaniem, z chora źle bardzo. Szkoda młodego życia. Ratuńek przyniesiony w porę zbawić ją może! Jak się chora nazywa?

— Nie wiem nawet, księżu kanoniku, to jest nie pamiętam. A co się tyczy doktora, próżna praca telefonować. Za nic na świecie po raz drugi nie przyjdzie... tegoż dnia. Zapowiedział stanowczo raz na zawsze. Za to rano bardzo chętnie i sumiennie opatruje chorych.

— Ba! Do jutra chora skończyć może... No, zobaczymy zresztą, może, jeśli się uda, ja sam z miasta przyszlę lekarza. Niech będzie pochwalony...

— Na wieki wieków! — szepnęła siostra i znikła w głębiach mrocznego korytarza.

Minęło kilka godzin. Doktor zapowiedziany przez księdza nie przyszedł wcale.

Chorzy układali się już do snu... Renia, nieprzytomna, majacząc, leżała wciąż w jednej i tej samej pozycji.

A na sali rósł gwar przytłumiony, gawędzono sobie przed nocą. Jedna z najbliższych sąsiadek Reni odezwała się głośno:

— Biedna chudzina, biedna ślicznota!... Patrzcie ino, jak gorączkuje. Co to będzie? Boje się!...

Zaszemrały wokoło głosy chorych. Ubolewały kolejno biedne kobieciny nad dołą Reni.

Słowa były współczujące, serdeczne i proste, jak prostemi i szczeremi były dusze tego polskiego ludu, z którego głównie składały się chore kobiety na ogólnej sali. Kilka z nich zbliżyło się i otoczyło kołem Renię Noryńską.

Kontrast dziwny. Obok skromnego szpitalnego łóżka, na stoliczku, stał bukiet pięknych bladych róż, naiwny dar zakochanego studenta.

Kielichy kwiatów już wiedły... Ktoś litościwy opryskał je wodą i pochylały się kornie w stronę chorej, roniąc jakby łzy współczucia nad nią biedną, której nieść miały w dani zapach i urodziwą krasę, jako symbol ludzkiego serca, oczarowanego doczesnem pięknem.

— Co jej już po tych kwiatach?... Co jej tam po tych wszystkich marnościach — rzekła półgłosem do gromadki stojących kobiet jedna z chorych, leżących opodał.

Była to młoda jeszcze i dość ładna dziewczyna, wychudła tylko i blada, bielejąca na pościeli, jak podcięty kwiatusek.

Po słowach tych zapanowało milczenie. Przerwała je po chwili krępa i młoda jeszcze kobiecina, wyglądająca wprost zabawnie w stroju szpitalnym w paski. Mówiła rezolutnie:

— Mościewy, wolę ja już te kwiaty, co ten pan student przynosi, niż tego tam familjanta, który sam nawet przyjść nie chciał, a przysyłał ino lokaja.

Fakt ten widocznie nie był powszechnie znany. Posypały się bowiem ciekawe pytania.

Kobiecina, słysząc to, rada, uśmiechnęła się zwycięsko. Pochyliła się i przyciszonym głosem opowiadać zaczęła:

— A tak, mościewy... Był tu dziś rano taki drab w liberji i długo gadał z dobrodżiką. Dowiadywał się o zdrowiu tej ślicznoty, ale nawet

tu nie wszedł. Tylko tak ciekawie przez drzwi spoglądał. Ja słyszałam trochę, co mówił do dobrodziki, bo byłam niedaleko. Powiadał tak: „Mój pan przyjechał z Krakowa i chciał się z krewną zobaczyć. A tu szpital... Nie wypada mu przyjść, więc przysyła mnie dowiedzieć się o zdrowie?... Jakby było nieszczęście, to gotów jest i za przyzwoity pogrzeb zapłacić, tylko, żeby zaraz dano znać.“ Dobrodzika coś jeszcze mu tam opowiadała i napisała białą kartkę do tego pana, a sama do książki zapisała adres tego tam familjanta, niby, na ten przykład, numer domu, gdzie mieszka... Tak, moiściewy! To wy nie nie wiedzieliście?...

— A to ci familjant!... Niech go choroba zadusi! — zaklęła w kącie jakaś babina.

— Żeby to do tego biedactwa samemu nie przyjść, tylko jakiegoś tam draba wysyłać!

Ubolewaniom powszechnym nie było końca.

Renia tymczasem leżała wciąż z oczyma, błędzącymi w przestrzeni. Była nieprzytomna i gorączkowała. W tejsze chwili na sali ukazała się siostra miłosierdzia, „dobrodzika“, w towarzystwie paru posługaczek i adeptki, uczącej się doglądać chorych. Umilkły głosy i każda z chorych podażyła na miejsce. Dobrodziejka nie lubiła nieporządków, zresztą nadchodził czas rozdawania lekarstw przed nocą. Chwilę siostra z adeptką zatrzymały się przed łóżkiem Reni.

— Nie wiem, czy dożyje jutra? — rzekła jedna.

Siostra w milczeniu, ujęła za puls rękę chorej i wlała jej do ust lekarstwo. Renia, tragicznie piękna, w półcieniach sali, z oczyma palającymi dzikim ogniem, nie drgnęła nawet.

Siostra z towarzyszką wysunęły się cicho, spiesząc do innych... W około cisza nocy rozgaszczała się zwolna...

W półmrokach świeciły tylko, jak ogniki błędne, oczy cięższej chorej, dolatywały szepty majaczeń, lub wstrząsała milczeniem jęk bólu.

I noc letnia, taka piękna w przyrodzie, taka wesoła i pełna rozkoszy dla setek istnień, tu, w murach szpitalnych, przeznaczonych dla ukrycia od oczu ludzkich bólu i cierpienia, dłużyła się niepomieranie.

Stan Reni pogarszał się. W głowie jej blednej huczało od myśli błędnych, od widzeń gorączkowych.

Odpychała kogoś gwałtownie, to znów uśmiechała się rzewnie, cicho, by znów z dzikim spojrzeniem i wyrazem niepoczytalnej furjatkę na obliczu, rzucać się gorączkowo, z zaciśniętymi pięściami!...

Parokrotnie siostra, lub posługaczka zaglądały do Reni, najgroźniej chorej na tej sali ludzkiego cierpienia, tak bardzo ludnej, a tak cichej. Godziny mijały.

Pogaszono światła. Szary mrok letniego przedświtu wkładał się już po przez śnieżną biel firanek i zielen kwiatów na oknach. Spali, lub drzemali wszyscy — ze służby szpitalnej nie było nikogo.

W półcieniach i zupełnej ciszy, czuwać zdawała się tylko nad salą, łagodna twarz ukrzyżowanego Chrystusa, z ram obrazu, wiszącego ponad ołtarzem.

Renia leżała teraz spokojniej nieco. Oczy jej jednak wciąż otwarte błyszczały zawsze złowrogo, zasnuwając się mgłą chwilami.

Czy te cudne oczy widziały już może zagadkową przyszłość tamtego życia? Czy wpatrywały się dalej w złudne, gorączkowe miraż doczesnego bytu? Któż zgadnie?...

W tajnych księgach przeznaczenia znaczył się już kres ziemskiej wędrówki pasującego się tu jeszcze z ciałem ludzkiego ducha... Za jednym zamachem przekreślało się tam dalsze jego istnienie na ziemi, z miłości, czy z litości może wielkiej ku niemu?

Renia konała...

Śliczna jej twarz pięknej kobiety, cudnej, jak miłość, którą rozsiewała wokoło, anielskiej, jak dobroć, którą promieniała jej dusza — przybierała stopniowo błądź marmurowego posągu.

Zbliżało się ukojenie wieczne, spływała na nią ostatnia łaska — śmierci pogodnej i cichej.

Stopniowo, dziwnym blaskiem opromieniało się oblicze Reni, uduchowanie dziwne przekształcało jej rysy, łagodziło zmarszczki cierpienia, zagięcie bolesne ust, uśmiechem, prawie ze szczęścia, rozchylając wargi małe, które błądły coraz bardziej z tchnieniem lodowatym zbliżającego się zgonu...

I liczne cierpienia Reni kończyły się nieod-

wołałnie, los oszczędzał jej ostatniego ciosu, wieści o lekkomyślnej zdradzie ukochanego Kazimierza.

Samozaparcie się jej i szlachetnie pojęta miłość, utrzymana w karbach wierności małżeńskiej, twardy byt i ciężki, w ramy złoczonej nędzy oprawny, i wiara, iż miłość sama przez się zapełnić potrafi istnienie człowieka i nie zawiedzie go nigdy — taką tylko odbierały nagrodę!...

Śmierć!

Cienie przedświtu rozsnuwały się coraz bardziej... Hen, gdzieś po za miastem, na skraju pól i lasów, poprzez ich zieleń i gałęzie, sączyły się już pierwsze nieśmiałe promienie jutrzeńki. Różowiły i złociły mchy leśne i polany, pieściły opalone rosą kwiaty, opromieniały strumienie i budziły do pracy, do czynu, do życia — świat milionów istnień ludzkich.

Tu z nich jedno — gasło w mrokach szpitalnych, opuszczone, same jedne, w obliczu potęgi kresu i wiecznej zagadki... Członki Reni sztywniały.

W milczeniu szpitala wydzwonił zegar ścienny dziwnie ponuro jakąś godzinę. Milczenie zupełne panowało wokoło. Gdzieś w kącie sali rozległ się w tej chwili przytłumiony jęk, poza oknami dał się słyszeć turkot pojazdu...

W pobliżu zaświergotało jednocześnie budzące się ptactwo, liście bzu zaszemrały i uderzyły zlekka o tafle szpitalnego okna, pierś Reni Noryńskiej uniosło westchnienie ciche i łagodne.

Nie żyła...

Pierwsze promienie słońca, wkraczające triumfalnie do szpitalnej sali, zastały Renię z gromnicą w ręku — u stóp jej łóżka siostra miłosierdzia, sama jedna, odmawiała modlitwy za umarłych.

XIII.

W ciche, letnie południe odbył się pogrzeb Reni Noryńskiej... Trumnę zdobiło kilka wieńców, karawan był parokonny, wyprowadzenie zwłok z kościoła nastąpiło po uroczystem nabożeństwie. Nawet w gazetach był nekrolog i wzmianka w tekście.

Któż to z mroków zapomnienia i z plejady cichych zgonów szpitalnych wydobyć na światło dzienne wspomnienie Reni i już po za progiem ziemskiego bytu zrównał ją z poziomem tych, którzy w otoczeniu rodziny i bliskich, na ręku drogich sercu osób, oddają ducha Panu?...

Jeden gość pogrzebowy zdradzał to wyraźnie:

Za garstką osób, idących za trumną, jechał uroczyście wykwinny pojazd pański.

Para gniadoszów, przystrojonych w angielskie szory, wiozła w powozie otwartym jakiegoś starego, pochylonego i zasuszonego jegomościa. Był w cylindrze i letnim paltocie, nieokreślonej barwy, ba, nawet w czarnych nowiuteńkich rękawiczkach.

Jechał zamyślony, tępyim wzrokiem spoglądając wokoło. Z większem natomiast zacięciem patrzano na niego, głównie zaś z po-

wodu ekwipażu. Powóz ten, liberję i konie — znało całe miasto. Był to pojazd popularnego w stolicy księcia — magnata, właściciela jednego z pięknych pałaców pańskich w śródmieściu.

Któż go jednak dziś zastępował?... Nikt z gromadki dążącej za karawanem domyśleć się tego nie mógł. Nie znała go z widzenia ani krocząca na czele swych lokatorów pani Katarzyna Bodziek z panną Rozalją, ani student zakochany w Reni, ani publiczność, śledząca ciekawie kondukt pogrzebowy.

Zagadkową postacią był bogaty stryj nieboszczki, stary Usza - Uszański, zamieszkały od lat trzydziestu w Krakowie, ostatni przedstawiciel rodziny, ten sam, do którego na początku samodzielnego życia Renia kołatała bezskutecznie o protekcję.

Dopiero — poza grobem — odezwał się głos krwi!

Dowiedziawszy się o zgonie krewnej, stary bogacz zajął się jej pogrzebem i obecnie oddawał tak zwaną ostatnią posługę.

Podczas rzadkich pobytów w stolicy, stawał zawsze u bliskiego kuzyna i dlatego dziś jechał jego ekwipażem.

O tem wszystkiem jednak nikt nie wiedział. Obserwowano dalej ciekawie tajemniczego gościa. Na cmentarzu zdziwienie wzrosło jeszcze bardziej.

Trumnę poniesiono do nowego grobu, na którym stał już nawet wdzięczny kamienny i gustowny pomniczek.

Zabrzmiał skryty poza drzewami chór śpiewaczy... Popłynęła piękna melodia, później solo zabrzmiał śpiew męski. Grał na sercach słuchaczy, na sercach, których nie było!

Rozległo się tylko jedno łkanie... Płakał, pochylony na klęczkach, student nieznany. Wkrótce ucichły pienia i zamknięto grób. Wracano teraz do domów...

Najdłużej został przy grobie, w cichej zadumie, stary Usza - Uszański.

Skorzystali z tego ciekawi i paru z nich otoczyło wykwitny pojazd pański. Pytano się ciekawie o staruszka. Sztywna jednak, w liberyjnych frakach i lakierowanych butach, służba książęca półgębkiem tylko i niechętnie udzielała objaśnień.

Niebawem zresztą wszyscy od pojazdu odstąpić musieli.

Główną aleją cmentarza szedł wolno, podpierając się laską, stary Usza - Uszański. Pod marsowem jego czołem, w głębi oczu przybladłych, tało się lekkie znużenie, połączone z pewną melancholją i cichym smutkiem.

Ostatni z Mohikanów rodu Usza-Uszańskich, wspomagany przez służącego, wsiadł do powozu i nie spojrzawszy nawet na otoczenie, skinął ręką...

Pojazd ruszył z miejsca i znikł w perspektywie ulicy.

W pół godziny później, z całego orszaku nie było już nikogo w pobliżu cmentarza.

Samotna, w aureoli ostatniego rodowego splendoru, rzuconego, jak pozagrobowa jałmuż-

na, przez bogatego krewnego — spoczywała Renia Noryńska pod kamienną płytą grobowca, ozdobionego kwieciami — ostatnia z rodu po każdej, pierwsza z Usza - Uszańskich życiowo wykolejona...

Śniła już sen wieczny, obojętna na błahość i małości doczesnego bytu, daleka od jego namętności, walk i upadku, obca już zapasom o kęs chleba, o zaszczyty, o złoto, o szczęście!...

Zachodzące pięknie dnia tego słońce, prze-
darłszy się przez liściastą koronę drzew cmen-
tarza, rzuciło ostatni snop płomienistych pro-
mieni na szary kamień grobu, zabarwiło purpurą
blade róże, pęki jaśminów i białe kielichy lilij
i zagasło, żegnając do jutra tę nową mieszkańkę
cichego grodu zmarłych.

XIV.

Chyląc się już ku zachodowi, słońce złoćło i rumieniło wyniosłe szczyty Alp szwajcarskich, wzdłuż kolejowej linii, biegnącej z Włoch poprzez Saint Gotard ku Lucernie.

Cudne kaskady, jedne z hałasem i majestatycznym szumem, inne, sącząc się cicho i jakby nieśmiało, spływały i pienily się, spadając w dół na kamienie, wabiąc mile wzrok widza.

Świeża zieleń łąk i lasów stroiła góry. Ponad niemi unosiła się w tej przedwieczornej chwili — cisza, majestatu pełna, spokój potężny, boski prawie...

Gdzieniegdzie, na skrętach górskich, majaczyły tylko sylwetki nikłe zapóźnionych turystów, lub mignęły trzody owiec i krówek, podzwaniając uwiązanyimi u szyi dzwonekami. Przytulone do gór sioła i spiczaste dzwonice kościołów stroiły wdzięcznie krajobraz, a ponad nim niebo czyste zabarwiał się zwolna błądą purpurą zachodu i zlewało się ze śnieżnymi szczytami Alp, siejąc dalej wokoło coraz większą ciszę.

Pociąg mknął poprzez góry, wpadał w drobne tunele i wychylał się z nich znowu i wił się węzowo dalej, wśród cudów i czarów otaczającej przyrody.

Wewnątrz zaś wagonów czyniono już przygotowania do dłuższej przeprawy przez tunel Saint - Gotard.

Zapalano w tym celu lampy i z trzaskiem zasłaniano żaluzje drewniane u okien. U jednego z nich stało już dawno dwóch mężczyzn, wpatrzonych w cudny widok Alp o zachodzie.

Nagle jeden z nich krzyknął zlekka i schwylił gwałtownie towarzysza za ramię.

— Edmundzie, patrz uważnie na prawo! Patrzże na prawo! Tam! Na zakręcie! To oni! To twoja Ira i ten... Noryński!...

Podróżny, zagadnięty w tak gwałtowny sposób, drgnął, lecz spojrzał spokojnie we wskazanym kierunku.

Widział przed sobą dwoje ludzi, wspartych na alpensztokach: kobietę młodą, zwinną, w krótkiej spódniczce, kamaszach i kapelusiku fantazyjnym, obok rosnącego mężczyzny w szkockim ubiorze.

Stali oboje w jakiejś zwycięskiej jakby postawie, na złomie skały, zapatrzeni w siebie, dziwnie pociągający i piękni. Stali blisko pędzącego pociągu, jak zaczarowani i zaklęci, w promieniach łuny zachodu, ponad ich głowami, u górskiego szczytu, snującej bajkę piękna, grającej symfonię światła i cieniów, czarów i cudów, na tle śnieżnego alpejskiego cyplu — mo-

rza zieleni i wijącej się u ich stóp węzowo, rozpięzionej kaskady, różanej i złotej od promieni słońca...

Zjawia trwała mgnienie tylko... znikła rychło — pociąg wpadał w szyję jednego z licznych tuneli.

Pociągnięty energicznie przez Żyleńskiego, cofnął się spiesźnie Rojecki od okna. Czas już był wielki — pociąg zanurzał się w ciemność.

Za podróżnymi zjawiała się niezadowolona twarz konduktora, który bąknął pod nosem jakąś uwagę i bez ceremonji zamknął żaluzję okna.

Jednocześnie zabłysło nad nimi światło w porcelanowym globie.

— Saint - Gotard a l'instant — vingt minutes de trajet!...

Gdy konduktor znikł, spojrzeli na siebie niepewnie Edmund z Marjanem... W oczach ich jeszcze stała żywo zjawia i nie wiedzieli, co o niej myśleć.

— Poznałeś ich? — spytał w końcu dziwnie nieśmiałym głosem Żyleński.—

Rojecki jednak śmiał się już szczerze i całkiem swobodnie.

— Ha, ha, ha!... mój Marjanie!... Ty naprawdę czasami paradny jesteś!... Poznałeś ich? — pytasz. To sobie dobre! Jakżeż mogłem ich poznać, kiedy to byli całkiem inni ludzie. Piękni byli oboje i malowniczo ugrupowani, że zaś lubię rzeczy ładne — zapatrzyłem się w nich!... A ty, nieboże, myślałeś już pewnie, iż obróciłem się w słup soli z zazdrości i zdumienia. Nie,

bratku, tak naiwnym jeszcze nie jestem, a także na przytomności mi nie zbywa! Cóż chcesz, u djaska, żeby tu robili Ira i Noryński, ten biedak z pod ciemnej gwiazdy?...

— Lecz który, o ile wiem, był wzięty na plenipotentą dóbr twojej żony?...

— Na Ukrainie, w Mokrynówce. Siedzą tam sobie. Ona, naturalnie, romanse czyta, a on pracuje. Miałem nawet już ich zamiar odwiedzić, lecz, jak widzisz, zmieniłem projekt. I dobrze się stało. Bo cóżbym tam robił w tej ukraińskiej dziurze, sam na sam z nieznosną Irawą! A tak, zabawimy się trochę w Lucernie, a potem — do Paryża!... Ach, Paryż, żyć tam i umierać! No, cóż, Marjanku?... I ty nic na to?...

Żyleński przetarł ręką czoło i uśmiechnął się blado. Raziała go na dobre niefrasobliwa wesołość przyjaciela. Rojecki wprawdzie miał trochę krótki wzrok, chybiał często na polowaniu i to widocznie go ocaliło.

On, Marjan, nie wątpił ani na chwilę, że tam, u stóp alpejskiej skały, stali Ira i Noryński. Żyleński przeczuwał już katastrofę i bolał nad przyjacielem, martwił się o Renię.

Postanowił jednak w duchu zamilczeć do czasu i pozostawić Rojeckiemu złudzenia. Uczynił wysiłek i odparł spokojnie:

— Nic nie mówię, mój drogi, bo do żartów nie czuję się usposobionym. Lecz, gdy już mówimy o twojej żonie, powiedz raz nareszcie, dlaczego ty z nią nie czujesz się szczęśliwym?... Bo, że tak jest — nie od dziś już widzę...

Rojecki spoważniał, zamyślił się i odrzekł po chwili:

— Długa to historia... kiedyś ciekaw jednak, to słuchaj:

Na życiowej stawce, a właściwie mówiąc, na loterii małżeńskiej, po raz pierwszy w życiu przegrałem. I to z własnej winy. Chciałem być bogaty, ożeniłem się dla pieniędzy i dziś gorzko za to pokutuję.

Ira mnie znieść nie może, ja jej również. A stało się to w ten sposób: Jak wiesz, miałem już w mem życiu dwie żony. Nie kochałem ich tak zwaną przez was miłością. Uważałem dotąd wogóle uczucie za rzecz zbyteczną w małżeństwie, drwiłem z zakochanych par, skutych ze sobą sakramentem. Pomieścić mi się w głowie nie mogło, by miłość — tego wolnego czarodziejskiego ptaka, co żyje swobodą, co rodzi się, jak motyl, by umrzeć wkrótce, co przychodzi najczęściej do człowieka z zewnątrz, niespodzianie — zamknąć wogóle była można w klatce matrymonjalnej, unieruchomić przez szereg lat — na ciasnej przestrzeni sypialni małżeńskiej.

Kochałem, przyznaję, nie raz, nie dwa, ale zawsze, poza rodziną! Żony obie kochały mnie i ja je kochałem, to jest miałem dla nich wiele przyjaźni i przywiązania. Musiało im to wystarczyć, mnie zaś aż nadto starczyła ich miłość. Co mówię, krępowała bardzo częstokroć. I ożeniłem się po raz trzeci, z Iram. Tu przyszła dopiero Nemezis! Poczulem, że byłem, jak dziecko, że psychologja moja, względem kobiet, równała się zeru.

Ira nie kochała mnie wcale. Wyszła za mnie jedynie, bo nazwisko moje otworzyło jej salony i równało towarzysko z poziomem siostry, która, jak wiesz, jest hrabiną Liwską. O to jej głównie chodziło. I po ślubie odkryła karty. Zaczęła bywać i przyjmować zapamiętale. Ja nie istniałem wprost dla niej. Rozpoczęła się dla mnie męczarnia. Raziło mnie w niej wszystko: usposobienie, charakter, rozmowa, zapatrywania, dowcipy i tryb życia.

— Znienawidziłem Ire — ciągnął dalej Rojecki. — Ona płacić mi zaczęła tą samą monetą. Posiadałem oczyszczony z długów rodowy majątek, lecz nie miałem żony. I wówczas dopiero zrozumiałem, jakim skarbem dwukrotnie obdarzyło mnie życie w małżeństwie. Nie oceniłem tego, póki na własnej skórze nie odczułem różnicy pomiędzy kobietą dobrą i kochającą, a takąż egoistką, samolubną i przewrotną!...

Dwie pierwsze żony moje kochały mnie miłością równą i cichą, tą właśnie, którą pogardzałem. Ira dla mnie nie ma odrobiny serca i tu tkwi tajemnica naszego złego pożycia. Gdyby mnie kochała, byłoby inaczej! Miłość dziwnie i nadprzyrodzenie przeistacza duszę kobiety, przekształca ją całą i z kruszcu szlifuje diament czystej wody! Tymczasem jednak pokutuję. Może za własną przeszłość... Nie mam domu i rodziny. Czy myślisz, Marjanie, że gniewałbym się, gdyby mnie Ira zdradziła?... Bynajmniej! Kto wie, byłoby to może wyzwolenie? Podałbym się do rozwodu i stałbym się wolnym. Sprzedaćbym tylko musiał rodzinne gniazdo,

które za jej pieniądze wyratowałem. Lecz nie cofnąłbyś się i przed tą ostatecznością. Do tego stopnia Ira mi już dokuczyła. Tak, mój drogi Marjanie — kończył Rojecki — jestem zupełnie wykolejony. I dziwię się tylko, że tak mało świat i ludzie zwracają uwagi na podobnych mi wykolejeńców! Jest ich wprawdzie — milion! I świat nie rozczuła się nad nimi. Powszechnie bowiem wykolejonymi życiowo — zwiemy innych: alkoholików, mizantropów, manjaków, samotników, wyrzuconych z siodła, ze stanowiska, wyzutyh z mienia, honoru, dobrej sławy, lub opinji! Tylko o tej szarej masie skazańców moralnych, skutych węzłem dozgonnym z niekochaną kobietą, o tej plejadzie pominiętych w miłości i szczęściu ludzkim, milczy się zawzięcie. A oni może bardziej jeszcze wykolejonymi są od tamtych, bo subtelniej i duchowo tylko — tem dotkliwiej, że wobec innych zawsze, a przed sobą często, muszą grać komedję bezustanną — do grobu!...

Rojecki westchnął i zamilkł.

Marjan uściął serdecznie dłoń przyjaciela w milczeniu. Dorzucił przytem cicho:

— Zapominasz jeszcze, Edmundzie, o innych wykolejonych... Pomiñałeś tych cichszych jeszcze, samotników życiowych, którym życie nie dało nawet najmniejszego powodzenia. Zapominasz o tych, jak ja, wykolejonych, co pozornie mają może wiele, lecz brak im najżywotniejszego, najsilniejszego promienia, którzy ukochali daremnie, jedną, jedyną... stracili ją bezpowrotnie, których cień i wspomnienie tej wyśnionej ściga,

życie całe — a idealizując się zbyttnio może w ich pojęciach i doskonałąc — przechodzi w końcu w nieuchwytny zupełnie i nieziszczalny ideał, takim już pozostając na zawsze! Tacy istoty doskonalszej nigdy już znaleźć nie potrafią! Wspomnienie przeszłości zabija u nich i niweczy terażniejszość — przyszłość omracza. Pozostają bez najsilniejszej dźwigni życiowej, bez nadziei! Ci są także subtelniej może jeszcze, niż tamci — duchowo i moralnie wykołejeni i to bez jutra, bez wyzwolenia!...

Żyleński zwiesił głowę smutnie. Rojecki, wieczny sceptyk życiowy, patrzył na przyjaciela, nie wiedząc, jak go pocieszyć. Bardziej do siebie, niż do niego, szepnął tylko:

— Tak, twoja Renia, wydarła przynajmniej życiu z łudę szczęścia — ty, biedaku, nawet tego nie miałeś!...

Umilkli.

Pomiędzy nimi przepływały tylko i przechodziły ciężkie, ołowiane myśli i zwątpienia, gniotąc ciężarem nierozwiązanych zagadnień.

Wagony tymczasem zwalniały już biegu. Ku światłom, ku przestrzeniom włonym, ku cudniejszym jeszcze krajobrazom górskim — ku wyzwoleniu, wyłonił się pociąg z ciemności długiego tunelu i stanął na małej stacji. Pasażerowie rzucili się gwałtownie niemal ku drzwiczkom, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Uczynili to z innymi Edmund z Marjanem.

Na platformie stacyjnej sprzedawano owoce, krzątano się ruchliwie.

U wszystkich, po denerwującym okresie dłuższej jazdy tunelem, budzić się zdawała jakaś swawola, radość życia, oraz pragnienie jego blasków i czarów.

Uczucie to zawładnęło i dwojgiem przyjaciół, biorąc ich zupełnie w posiadanie i rozświetlając mroki ich dusz, przez które przed chwilą przeszedł gniotącą stopą — życiowy, ludzki ból!

Coraz cudniejsze, cichsze, tonąc w czerwieni, zasypiały Alpy...

U szczytu małej skały, zawieszeni nad przepaścią, trzymając się za ręce, stali ciągle Kazimierz i Ira, zapatrzeni w cudną symfonię barw i cieni, rozsnutych po urwiskach, kaskadach i wierzchołkach gór. Stali zadumani, milczący i pokorni wobec majestatu przyrody, niepomni na nic, co nie było nimi i otaczającym ich Pięk-
nem.

— Może zejdziemy? — rzekła wreszcie Ira.

— Nie, zostań chwilę! Zapominam, że żyję...

I Noryński, objawszy kibić młodej kobiety, przytulił ją do siebie.

— Czy kochasz mnie?... — szepnął.

— Kocham bez pamięci — nad życie!

Słońce złotobarwną aureolą dotknęło dwójga niewiernych, zrywających tak samowolnie z drzewa życia zakazany owoc szafu.

Na różano - złote od zachodzącej łuny słońca szczyty Alp spływała już zwolna kojąca przedwieczorna cisza...

Nieśmiały, daleki, odezwał się dzwon wiejskiego kościółka. Po chwili uderzył jędrniej,

donośniej — zabrzmiał uroczyście w majestatem milczeniu górskich szczytów.

Słońce zgasło.

Noryński i Ira krętą ścieżyną schodzić zaczęli zwolna w dół — ku dolinie. Serca im były przyspieszonym tętnem, falowała krew i dusze zrywały się do lotów podniebnych.

Czemże były dla nich nawet cierpienia innych, kiedy w piersiach szalała im egoistyczna radość z życia, kiedy tchnienia ich zlewały się w jedno, kiedy nie istniało już dla nich nic zgoła — tylko te otaczające cuda przyrody i własna miłość szaleńcza!...

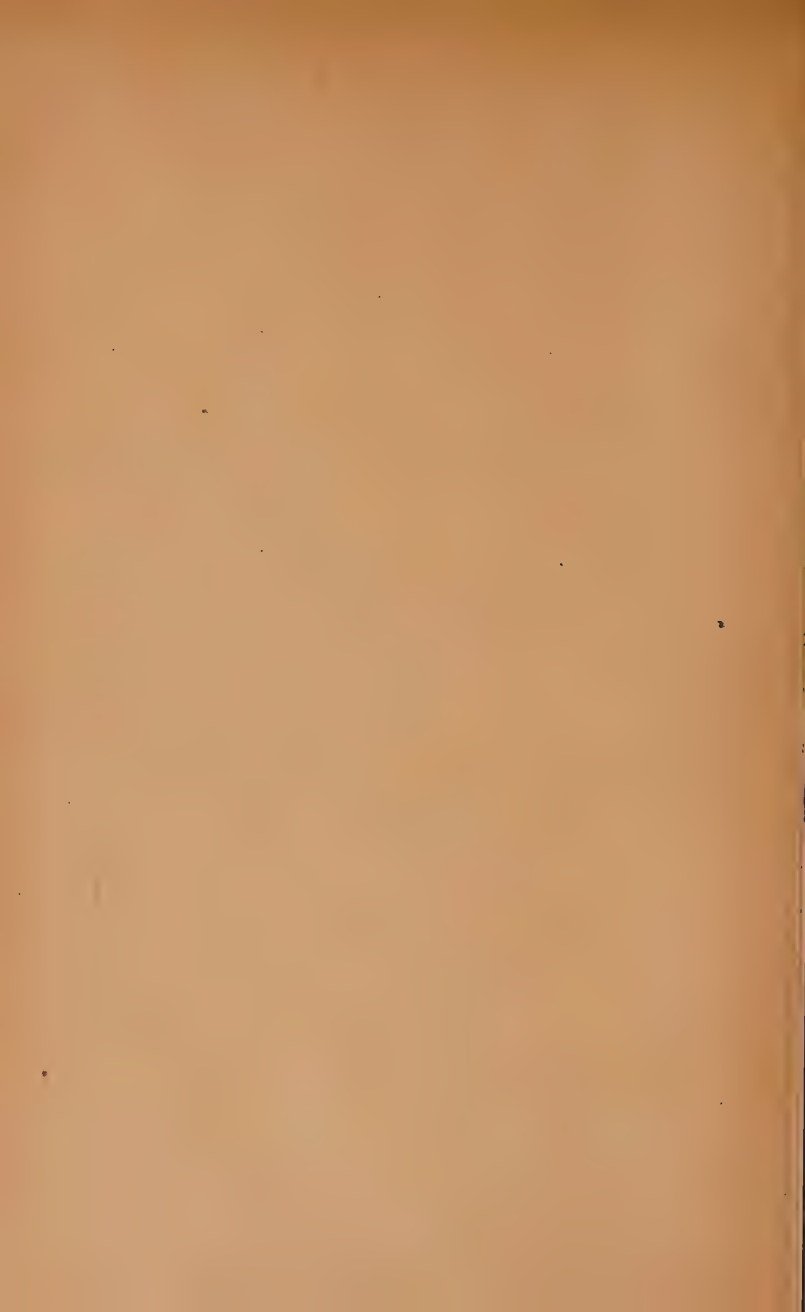
Szli wciąż, trzymając się za ręce. Po chwili milczenie górskiego zakątka wstrząsnął śpiew, pełen triumfu i radości — dziarska, ochocza zabrzmiała pieśń!...

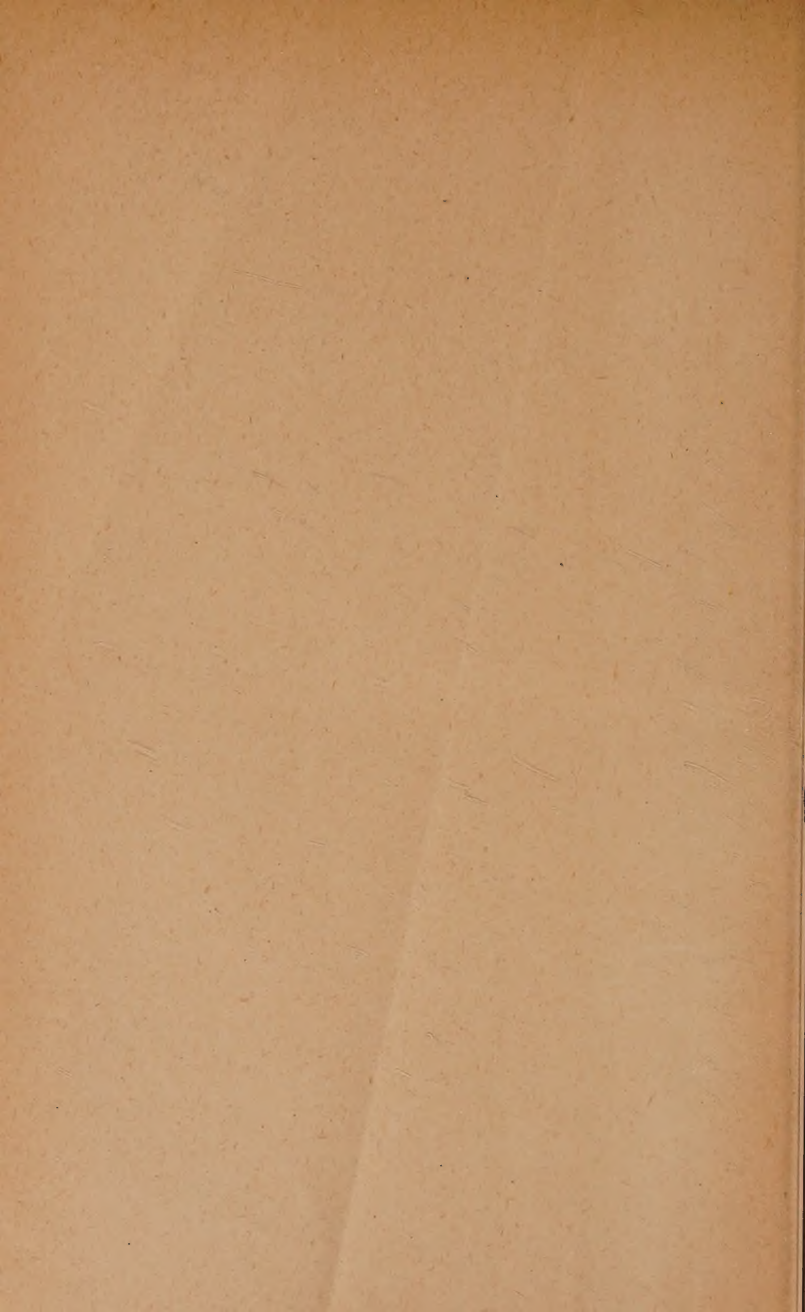
Na cześć miłości, na cześć wieczystej, odradzającej się mocy, ufny w jutro, a niepomny już wczorajszego dnia — uderzył hymn z ust Kazimierza i Iry i popłynął echemi górskich szczytów...

KONIEC.









U.C. BERKELEY LIBRARIES



C096414226

